

Gyorgy Dragoman
BIAŁY KRÓL
Przełożyła Elżbieta Cygielska

wydawnictwo- Czarne
Wołowiec 2007

Tytuł oryginału węgierskiego A feher kiraly
Projekt okładki i stron tytułowych kamil targosz
Zdjęcie Autora na iv stronie okładki © by anna t. szabó
Copyright © by dragoman györgy, 2005.
FIRST EDITION MAGVETŐ KIADÓ, BUDAPEST, 2005
Copyright © for the Polish edition by wydawnictwo czarne, 2007
Copyright © for the Polish translation by Elżbieta cygielska, 2007
Książka ukazała się dzięki pomocy finansowej
TRANSLATION FUND OF THE HUNGARIAN BOOK FOUNDATION
Redakcja Magdalena Budzińska
Korekta Małgorzata poździk/ design plus
MAŁGORZATA PASZ/DESIGN PLUS
Projekt typograficzny i skład robert oleś
isbn 978-83-7536-001-1
matce

TULIPANY

Wieczorem schowałem budzik pod poduszkę, żeby usłyszeć jego terkotanie i żeby matka się nie obudziła, ale nim zadzwonił, już nie spałem, tak się szykowałem do tej niespodzianki. Wziąłem z biurka niklowaną chińską latarkę, wyciągnąłem budzik spod poduszki, poświeciłem sobie, była za kwadrans piąta, wyłączyłem go, potem zdjąłem z oparcia krzesła przygotowane wieczorem rzeczy i szybko się ubrałem, cały czas uważając, by nie hałasować. Kiedy wciągałem spodnie, przypadkiem kopnąłem krzesło, nie przewróciło się na szczęście, tylko stuknęło o stół. Ostrożnie otworzyłem drzwi do pokoju, choć wiedziałem, że nie zaskrzypią, bo dzień wcześniej nasmarowałem zawiasy. Podszedłem do kredensu, bardzo wolno wysunąłem środkową szufladę, wyjąłem duże nożyce krawieckie, którymi matka zwykle obcinała mi włosy, potem przekręciłem zamek yale w drzwiach i bardzo cicho wyszedłem, do półpiętra nie biegłem, dopiero stamtąd puściłem się pędem w dół. Zanim znalazłem się przed blokiem, zdążyłem się rozgrzać i taki rozgrzany poszedłem w kierunku skweru, bo tam, obok źródelka, rosły na klombie najpiękniejsze w mieście tulipany.

7

Byliśmy wówczas już dobre pół roku bez ojca, a wyglądało na to, że wyjeżdża tylko na tydzień. Pojechał nad morze, do pewnej stacji badawczej, w niezwykle pilnej sprawie,

kiedy się ze mną żegnał, mówił, jak bardzo żałuje, że nie może mnie wziąć ze sobą, zwłaszcza że morze teraz, późną jesienią, stanowi niezapomniany widok, jest dużo bardziej gniewne niż latem, potężne, żółtawe fale biją o brzeg, jak okiem sięgnąć jedna biała piana, ale nic straconego, obiecuje, że jak tylko wróci, to mnie tam zabierze i mi je pokaże, właściwie nie rozumiem, jak to się mogło stać, że mam już dziesięć lat, a jeszcze nie widziałem morza, zresztą nieważne, kiedyś to sobie odbijemy, tak jak parę innych rzeczy, z niczym nie należy się spieszyć, na wszystko mamy czas, dużo czasu, bo życie przed nami. Było to jedno z ulubionych powiedzeń ojca, nie bardzo rozumiałem, co znaczy, a kiedy potem nie wrócił do domu, tym częściej nad nim rozmyślałem, często też przychodziło mi do głowy tamto pożegnanie, chwila, kiedy widziałem go po raz ostatni, koledzy ojca przyjechali po niego szarym furgonem, właśnie wróciłem ze szkoły, kiedy ruszali, gdyby nie przepadła nam ostatnia lekcja, przyroda, nie spotkałbym się z nimi, akurat wsiadali do auta, kiedy dotarłem do domu, bardzo się spieszyli, koledzy ojca próbowali mu nawet przeszkodzić w rozmowie ze mną, ale ojciec twardo powiedział, żeby tego nie robili, sami też mają dzieci, wiedzą więc, jak to jest, pięć minut nikogo nie zbawi, i wtedy jeden z jego kolegów, wysoki mężczyzna o białych włosach, ubrany w szary garnitur, wzruszył ramionami i powiedział, dobrze, pięć minut już faktycznie nie ma znaczenia, no i wtedy ojciec podszedł do mnie, ale mnie nie pogłaskał ani nie objął, tylko, trzymając przed sobą w wyciągniętych rękach marynarkę,

8

opowiadał tę historyjkę o morzu i że jest pilnie potrzebny w tym instytucie badawczym, będzie tam z tydzień, a jeśli sytuacja okaże się bardzo trudna, to trochę dłużej, dopóty, dopóki nie uporządkuje wszystkich spraw, i znowu zaczął mówić o morzu, ale wtedy podszedł do nas ten jego wysoki, siwy kolega, położył ojcu rękę na ramieniu i powiedział, niech pan już idzie, panie doktorze, pięć minut minęło, musimy już iść, bo spóźnimy się na samolot, wtedy ojciec pochylił się, pocałował mnie w czoło, chociaż objąć, to mnie nie objął, i powiedział, żeby uważałem na matkę, żeby być grzecznym, bo teraz ja będę w domu jedynym mężczyzną, muszę się więc dobrze sprawować, powiedziałem, że w porządku, będę greczny, i niech on na siebie uważa, a jego kolega popatrzył na mnie i powiedział, nie martw się, szczyłu, już my będziemy uważać na pana doktora, i puścił do mnie oko, potem otworzył boczne drzwi furgonu i pomógł ojcu wsiąść, szofer tymczasem zapuścił silnik i kiedy drzwi zatrzasnęły się za ojcem, ruszyli, a ja wziąłem teczkę, odwróciłem się i poszedłem w kierunku klatki schodowej, bo właśnie udało mi się zdobyć nowego napastnika do mojej guzikowej drużyny piłkarskiej, chcia-

łem się więc przekonać, czy tak samo gładko przesuwa się po ceracie co po kartonie, nie zostałem tam i nawet nie pomachałem, nie patrzyłem za furgonem, nie poczekałem, aż zniknie u wylotu ulicy. Wyraźnie pamiętam twarz ojca, był zarośnięty, pachniał papierosami, wyglądał na bardzo, bardzo zmęczonego i uśmiechał się tak jakoś półgębkiem, dużo o tym myślałem, lecz nie sądzę, by wiedział z góry, że nie będzie mógł wrócić do domu, po tygodniu dostaliśmy od niego list, pisał, że sytuacja okazała się dużo trudniejsza, niż przypuszczali, o szczegółach, niestety, z uwagi

9

na bezpieczeństwo państwa pisać nie może, ale musi tam jeszcze zostać czas jakiś, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to może za parę tygodni dostanie dzień czy dwa urlopu, na razie jednak nie mogą się bez niego obejść. Od tamtej pory przysłał jeszcze kilka listów, jeden na trzy-cztery tygodnie, i w każdym z nich pisał, że niedługo przyjedzie do domu, ale potem nawet na Boże Narodzenie nie przyjechał, i w sylwestra też na próżno na niego czekaliśmy, i mieliśmy już kwiecień, a tu nawet listy nie przychodziły, i zacząłem myśleć, że ojciec tak naprawdę uciekł za granicę, jak ojciec mojego kolegi ze szkoły, Egonka, który przepłynął Dunaj i dostał się do Jugosławii, a stamtąd na Zachód, lecz od tamtej pory nie mieli od niego żadnej wiadomości, nie wiedzieli więc nawet, czy żyje.

Szedłem z tyłu, za blokami, bo nie chciałem się na kogoś natknąć, wolałem, żeby mnie nikt nie pytał, dokąd się takim bladym świtem wybieram. Przy źródleku na szczęście nikogo nie było, spokojnie więc przelazłem przez łańcuch i już byłem na klombie, wśród tulipanów, wyjąłem nożyce i zacząłem ścinać kwiaty, u samego dołu, tuż nad ziemią, babcia kiedyś mówiła, że im niżej się ścina, tym dłużej potem postoją, najlepiej jak się zetnie całe, razem z liśćmi, z początku chciałem ściąć tylko dwadzieścia pięć, ale tak gdzieś koło piętnastego straciłem rachubę, ścinałem więc jednego tulipana za drugim, całą kurtkę miałem mokrą od rosy, spodnie zresztą też, ale nie przejmowałem się tym, myślałem o ojcu, że on robił mniej więcej to samo co roku, że każdej wiosny podobnie jak ja teraz ścinał tulipany, matka często opowiadała, że ojciec oświadczył się jej z bukietem tulipanów, że zalecał się do niej, przynosząc tulipany, i że rocznicę ich ślubu też zawsze świętował tulipanami,

10

siedemnastego kwietnia robił jej niespodziankę, przynosząc ogromny bukiet tulipanów, rano, kiedy się budziła, zawsze czekały na nią w kuchni na stole, wiedziałem, że właśnie przypada piętnasta rocznica ich ślubu, chciałem więc, żeby matka dostała z tej okazji bukiet większy niż kiedykolwiek.

Ściąłem tyle tulipanów, że ledwie mogłem je utrzymać,

kiedy próbowałem przycisnąć do siebie kwiaty, bukiet mi się rozsypał, położyłem więc tulipany obok siebie na ziemi, otrząsnąłem nożyce z rosy i dalej ścinałem jedną łodygę za drugą, myślałem w tym czasie o ojcu, że on pewnie tymi samymi nożycami ścinał kwiaty, patrzyłem na swoją rękę i usiłowałem sobie wyobrazić rękę ojca, lecz na próżno, widziałem tylko własną chudą, białą dłoń, własne palce w wytartych metalowych otworach, no i wtedy jakiś staruszek krzyknął na mnie, co robię, mam natychmiast przestać, co sobie wyobrażam, nie można tak po prostu ścinać kwiatów, i żebym wiedział, że zawoła milicjantów, trafię do poprawczaka, gdzie jest miejsce dla takich jak ja, popatrzyłem na niego, na szczęście nie był to nikt znajomy, odkrzyknąłem więc, żeby się zamknął, kraść kwiaty to nie grzech, potem schowałem nożyce do kieszeni, z trudem zgarnąłem z ziemi tulipany, parę sztuk nawet zostało, potem wyskoczyłem z klombu po drugiej stronie, słyszałem, jak za mną woła, że powinienem się wstydzić swoich słów, ale że i tak mi się nie upiecze, bo spisał z tarczy numer mojej szkoły, nawet się jednak nie obejrzałem, wiedziałem, że nie mógł tego zrobić, bo byłem w kurtce, na rękawie której akurat nie miałem naszytej tarczy, biegłem więc spokojnie do domu, oburącz trzymałem kwiaty, żeby się nie połamały, główki tulipanów uderzały o siebie, co jakiś czas dotykały mojej

11

twarży, szerokie liście szeleściły, wokół unosił się zapach, który czuje się zwykle, gdy strzygą trawę, tylko znacznie silniejszy.

Kiedy dotarłem na czwarte piętro, zatrzymałem się przed drzwiami, przykucnąłem i ostrożnie położyłem kwiaty na wycieraczce, potem wstałem i powoli otworzyłem drzwi, zrobiłem krok przez kwiaty, dłuższą chwilę stałem w ciemnym przedpokoju i nasłuchiwałem. Matka się na szczęście nie obudziła, zaniósłem więc całe naręcze tulipanów do kuchni, położyłem na stole, poszedłem do spiżarni, wyjąłem spod półki największy słoć po ogórkach, postawiłem pod kran, nalałem wody, potem postawiłem na środku stołu i włożyłem tulipany, było ich tyle, że się nie zmieściły, z dziesięć sztuk zostało, włożyłem je do zlewu, potem poszedłem do stołu i najlepiej jak umiałem, starałem się ułożyć bukiet, ale nie bardzo mi to wyszło, z powodu nadmiaru liści tulipany stały dosyć bezładnie, poza tym jedne były za krótkie, inne za długie, wiedziałem, że muszę przyciąć łodygi równo, jeśli chcę, żeby bukiet jakoś wyglądał, przyszło mi wtedy do głowy, że jeśli wezmę ze spiżarni kocioł do gotowania bielizny, to wszystkie kwiaty się w nim zmieszczą i może nawet nie trzeba będzie ich przycinać, poszedłem więc znowu do spiżarni, otworzyłem drzwi, schyliłem się i wyciągnąłem spod półki ten gar, no i wtedy usłyszałem, jak matka pyta kto to, jest tam ktoś, nie

widziała mnie, bo byłem zasłonięty drzwiami, ale ja przez szparę widziałem, jak tam stoi, w długiej, białej nocnej koszuli, boso, i widziałem jej twarz, kiedy zobaczyła tulipany, zrobiła się biała jak kreda, oparła się ręką o futrynę, otworzyła usta, myślałem, że się uśmiechnie, ale wyglądała raczej, jakby miała za chwilę krzyknąć albo zacząć się pieklić,
12

jakby ogarnęła ją złość czy jakby coś ją bolało, zastygła w kurczowym grymasie, oczy się jej zwęziły, słyszałem, jak głęboko oddycha, i wtedy wolno rozejrzała się po kuchni, a kiedy zobaczyła otwarte drzwi do spiżarni, puściła futrynę, odgarnęła z twarzy włosy, głęboko westchnęła i spytała, synku, to ty, nic wtedy nie powiedziałem, tylko wyszedłem zza drzwi spiżarni i stanąłem koło stołu, powiedziałem, że chciałem jej sprawić niespodziankę i niech się nie gniewa, nie miałem nic złego na myśli, zrobiłem to tylko dlatego, że ojciec mnie prosił, bym, póki nie wróci, pełnił w domu rolę mężczyzny, i wtedy zobaczyłem, że matka próbuje się uśmiechnąć, w jej oczach jednak widziałem, że wciąż jest bardzo smutna, powiedziała, że się nie gniewa, miała bardzo głęboki i chropowaty głos, nie gniewa się i bardzo dziękuje, kiedy to mówiła, podeszła i objęła mnie, ale nie tak jak zwykle, tylko znacznie, znacznie mocniej, bardzo mocno mnie do siebie przycisnęła, jak kiedyś, kiedy byłem chory, ja też ją objąłem i przycisnąłem do siebie, i przez swoje ubranie i jej nocną koszulę czułem, jak jej serce bije, pomyślałem o tulipanach, o tym, jak klęczałem w parku na ziemi i ścinałem jednego tulipana za drugim, czułem, jak matka jeszcze mocniej mnie przyciska, ja też coraz mocniej ją przyciskałem, a nos miałem pełen zapachu tulipanów, tego silnego, zielonego zapachu trawy, nagle poczułem, jak matką wstrząsa dreszcz, wiedziałem, że zaraz zacznie płakać, wiedziałem, że i ja się rozpłaczę, nie chciałem tego, ale nie mogłem jej puścić, tylko ją ścisnąłem i chciałem powiedzieć, żeby się nie martwiła, że nic się nie stało, ale nie byłem w stanie się odezwać, zupełnie nie mogłem otworzyć ust, no i wtedy ktoś nagle nacisnął dzwonek do drzwi, musiał naciskać całą dłońią, bo dzwonek długo

13

i bardzo głośno dzwonił, raz, dwa razy, trzy, poczułem, że matka mnie puszcza, tak jakoś nagle całe jej ciało zrobiło się zimne, ja też ją puściłem i powiedziałem, żeby poczekala, pójdę, zobaczę kto to.

Kiedy szedłem do drzwi, pomyślałem, że to na pewno milicjanci, widocznie ten człowiek w parku mnie poznał i doniósł na mnie, no i teraz przyszli, żeby mnie zabrać, bo zniszczyłem mienie publiczne, zerwałem tulipany, pomyślałem, że może nie powinienem otwierać drzwi, ale dzwonek cały czas dzwonił, bardzo głośno, rozległo się też pukanie, sięgnąłem więc do zamka yale i otworzyłem.

To nie byli milicjanci, tylko koledzy ojca, ci, których widziałem, jak z nimi wyjeżdżał, byłem tak zaskoczony, że aż nie mogłem wydobyć z siebie głosu, wtedy ten wysoki siwy spojrzał na mnie i spytał, czy mamusia jest w domu, a ja skinąłem głową i pomyślałem, że na pewno ojciec przesyła przez nich prezent na rocznicę ślubu, i właśnie chciałem powiedzieć, żeby weszli, mama na pewno bardzo się ucieszy, ale nim zdążyłem się odezwać, siwy znowu zwrócił się do mnie, czy nie słyszałem, przecież o coś mnie pytał, no i wtedy powiedziałem, że tak, jest w domu, na co ten drugi, niższy, też się odezwał i powiedział, że skoro tak, to oni wejdą, potem odepchnął mnie od drzwi i rzeczywiście weszli, stanęli w przedpokoju, a wtedy ten niższy spytał, gdzie jest pokój matki, powiedziałem, że matka jest w kuchni, i poszedłem przodem, powiedziałem, że przyszli koledzy ojca, na pewno przynieśli list albo jakiś prezent, matka piła właśnie wodę z kubka z długim uchem, którego używaliśmy do napełniania maszynki do kawy, ręka jej zastygła w połowie drogi, spojrzała na mnie, potem obok mnie, na kolegów ojca, i widziałem, jak za tym kubkiem blednie, następnie

14

opuściła kubek i zobaczyłem, że jej usta się zaciskają, jak zawsze, gdy była wściekła, właśnie tak, wtedy spytała bardzo głośno kolegów ojca, czego tu szukają, i tak postawiła kubek z uchem na blacie, że aż wylała się z niego resztką wody, powiedziała jeszcze, żeby się stąd zabierali, obaj już jednak weszli za mną do kuchni, ten wysoki siwy nawet nie powiedział dzień dobry, tylko od razu zapytał matkę, co jest, nie powiedziała pani dziecku, na co matka potrząsnęła głową, nic panu do tego, ale wysoki siwy powiedział, że to błąd, bo wcześniej czy później dziecko i tak się dowie, takie rzeczy lepiej od razu mieć za sobą, bo kłamstwo rodzi kłamstwo, na co matka się roześmiała i powiedziała, no tak, przecież panowie stoją na straży prawdy, wtedy ten niższy wrzasnął na matkę, żeby stuliła pysk, i matka faktycznie zamilkła, siwy stanął przede mną i spytał, ty, mały, nadal myślisz, że jesteśmy kolegami twojego ojca, a ja nic na to nie powiedziałem, tylko czułem, że cały drętwieję, jak na gimnastyce, po biegu na czas, kiedy trzeba się pochylić do przodu, bo inaczej trudno złapać powietrze, i wtedy ten siwy uśmiechnął się do mnie, i powiedział, że muszę wiedzieć, że oni nie są kolegami ojca tylko pracownikami służby bezpieczeństwa, mój ojciec został aresztowany, bo brał udział w organizowaniu antypaństwowej działalności, więc przez jakiś czas na pewno go nie zobaczę, w dodatku przez długi czas, bo mój ojciec macha łopata na budowie Kanału Dunaj - Morze Czarne, i czy wiem, co to znaczy? to znaczy, że jest w obozie pracy, a ponieważ cherlak z niego, długo nie pociągnie, nigdy stamtąd nie wróci, możliwe nawet, że już nie żyje. Kiedy to mówił, matka chwyciła

kubek i rzuciła nim o ziemię z taką siłą, że aż się rozprysnął na kawałki, oficer wtedy zamilkł i przez chwilę panowała
15

cisza, a matka powiedziała, że dość, niech przestaną, jeśli ją również chcą zabrać, to niech zabiorą, ale mnie niech zostawią w spokoju, bo ja jestem jeszcze dzieckiem, powinni zrozumieć, niech mi dadzą spokój i niech powiedzą, czego chcą, czego tu szukają.

Niższy powiedział na to, że tylko tędy przechodzili i skoro już tu byli, pomyśleli, że się trochę rozejrzą, a nuż znajdą coś ciekawego w pokoju pana doktora.

Wtedy matka spytała, czy mają nakaz, a wysoki siwy uśmiechnął się i powiedział, że nie muszą mieć nakazu do byle drobnostki, nic złego w tym, że się trochę rozejrzą, nie sądzi, byśmy mieli coś do ukrycia.

Matka powiedziała wówczas bardzo głośno, że nie mają do tego prawa i żeby się stąd zabierali, żeby sobie poszli, bo jak nie, to zaraz, tak jak stoi, pójdzie, usiądzie pod ratuszem i zacznie strajkować, publicznie zażąda, żeby wypuścili na wolność jej męża, bo co to znaczy, że trzymają go już pół roku bez rozprawy i bez wyroku, jaki ten kraj jest, taki jest, ale mamy konstytucję, mamy w końcu swoje prawa, aby przeprowadzić rewizję, wciąż jeszcze potrzebny jest nakaz, niech go więc albo pokażą, albo się wynoszą.

Siwy oficer znowu uśmiechnął się do matki i powiedział, że bardzo jej do twarzy z tą bojowością i że na pewno ojcu tam, nad Kanałem, musi jej bardzo brakować, bo naprawdę piękna z niej kobieta, szkoda tylko, że nigdy więcej się nie spotkają.

Matka zrobiła się wtedy cała czerwona na twarzy, jej ciało naprężyło się, myślałem, że zaraz podejdzie i spoliczkuje tego siwego oficera, chyba nigdy jeszcze nie widziałem jej tak rozwścieczonej, i wtedy rzeczywiście ruszyła, podeszła jednak nie do oficera, tylko prosto do drzwi wejściowych,
16

otworzyła je i powiedziała, że ma dość, wynocha, mają natychmiast opuścić jej dom, bo jak nie, to ona zaraz zadzwoni do teścia, dobrze wiedzą, że był sekretarzem partii i nie szkodzi, że jest na emeryturze, bo wciąż jeszcze ma wokół siebie wystarczająco dużo życzliwych ludzi, by spowodować, iż za to, co tu zrobili, zostaną przeniesieni do drogówki, jeśli więc sami sobie dobrze życzą, to niech już idą. Matka powiedziała to w taki sposób, tak zdecydowanie, że nawet ja niemal jej uwierzyłem, chociaż wiedziałem, że z własnej nieprzymuszonej woli nigdy, przenigdy nie zadzwoniłaby do dziadków, bo od kiedy babcia powiedziała jej w oczy, że jest nienormalną żydowską kurwą, matka ani z nią, ani z dziadkiem nie rozmawia, tylko że po sposobie, w jaki mówiła, wcale nie można było tego poznać.

Niższy oficer powiedział wtedy, a więc tak się rzeczy

mają, jeśli jednak matka sądzi, że stary ma jeszcze jakiegokolwiek wpływy, zwłaszcza teraz, kiedy zabrali jego syna, to się grubo myli, i niech się cieszy, że sama nie jest internowana, ale jeśli chce zadzwonić i się poskarżyć, to proszę bardzo, podszedł do kredensu, złapał za szufladę, w której były sztucce, i szarpnął z taką siłą, że szuflada została mu w rękach, noże, widelce, łyżki i łyżeczki rozsypały się po całej kuchni, potem oficer walnął pustą szufladą o blat tak, że aż złamała się tylna część szuflady, i powiedział, proszę, teraz przynajmniej będzie się na co poskarżyć, to jednak dopiero początek, naprawdę, początek, i wyszczerzył zęby w uśmiechu, wiedziałem, że za chwilę przewróci stół, ale wtedy siwy położył mu rękę na ramieniu i powiedział, spokojnie, Gyurka, spokojnie, zostaw ją, widać myliliśmy się co do pani, sądziliśmy, że to mądra kobieta, że wie, kiedy i dla kogo powinna być miła, wygląda jednak na to, że nie ma

17

dość rozumu, by wiedzieć, kto tak naprawdę jest jej życzliwy, wygląda na to, że za wszelką cenę chce sobie narobić kłopotów. Dobra, niech będzie, jak chce. Oficer nazwany Gyurką cisnął połamaną szufladę na podłogę, obok porzuczanych sztuczków, i powiedział, w porządku, towarzyszu majorze, zrobimy tak, jak towarzysz sobie życzy, idziemy. Oficer nazwany Gyurką spojrział następnie na matkę, skinął głową, potem odwrócił się i powiedział do mnie, dobrze, pójdą sobie, ale tylko dlatego, że widzi, iż lubimy kwiaty, a ten, kto lubi kwiaty, nie może być złym człowiekiem, kiedy to mówił, podszedł do stołu, sądziłem, że rozbije słoje, lecz tylko wyjął z niego jednego tulipana, powąchał i powiedział, problem w tym, że tulipany nie pachną, poza tym to naprawdę cudowne kwiaty, po czym wyszedł z kuchni, mówiąc, chodźmy, towarzyszu majorze, na co siwy nic nie odpowiedział, tylko machnął ręką, żeby tamten szedł, i oficer nazwany Gyurką ruszył do wyjścia, gdy mijał matkę, wręczył jej tulipana, matka wzięła go bez słowa, a wtedy tamten powiedział - kwiat dla kwiatu, jeszcze raz się odwrócił, puścił do mnie oko, w końcu wyszedł i zaczął schodzić po schodach.

Major też wyszedł, matka chciała zatrzasnąć za nim drzwi, ale major nagle zrobił krok przez próg i zablokował drzwi nogą, żeby matka nie mogła ich zamknąć, po czym powiedział spokojnie i dobitnie, jeszcze pani pożałuje, proszę pani, bo kiedy tu wrócimy, to nawet podłogę zedrżemy, nawet kit z okien wydfubiemy, zajrzemy pod wannę i do przewodów gazowych, rozbierzemy na części cały dom, i może być pani pewna, że znajdziemy to, czego szukamy, może być pani tego pewna, umilkł, odwrócił się i ruszył w dół po schodach.

18

Wtedy matka zamknęła drzwi, wcześniej jeszcze usły-

szałem, jak major mówi jej do widzenia, odwróciła się, oparła plecami o zamknięte drzwi i stała tak, z czerwonym tulipaniem w ręce, patrzyła na rozbity kubek, na porzucane sztucce, na połamaną szufladę, usta jej zadrgały, potem powoli zastygły, zacisnęła wargi i spojrzała na mnie, bardzo cicho powiedziała, że bym przyniósł śmietniczkę i szczotkę, pozmiatamy skorupy, popatrzyłem wtedy na tulipany stojące na stole i chciałem zapytać matkę - prawda, że to, co oficerowie mówili o ojcu, to kłamstwo, bo on wróci do domu, prawda, że wróci, lecz kiedy się odwróciłem w jej stronę, zobaczyłem, że właśnie wacha tego jednego tulipana, a po jej błyszczących, mokrych oczach poznałem, że z trudem powstrzymuje łzy, wolałem więc o nic nie pytać.

SKOK

Dość szybko wpadliśmy z Szabim na to, że kreda wcale nie wywołuje gorączki, to bajki, bo zjedliśmy po półtora kawałka na głowę i nic się nam nie stało, a eksperymentowaliśmy nawet z kolorową, Szabi zjadł zieloną, ja czerwoną, lecz na próżno czekaliśmy koło szkoły pod mostem na efekty, nic nam nie było, tylko siusialiśmy na kolorowo, ja na czerwono, a Szabi na zielono, nie mieliśmy już jednak odwagi zrobić numeru z termometrem, mnie matka złapała kiedyś na tym, jak przykładam koniec termometru do kaloryfera, a Szabi dwa tygodnie temu, przed klasówką z matematyki, wpadł jeszcze gorzej, bo przytknął go do żarówki w nocnej lampce, rtęć w jednej chwili tak się rozgrzała, że rozsadziła termometr, ojciec złał więc Szabiego pasem złożonym w ten sposób, by Szabi poczuł kłamrę, numer z termometrem nie wchodził więc w rachubę, coś jednak trzeba było wymyślić.

Wiedzieliśmy, że jeśli na drugi dzień nie zachorujemy, to koniec, reszta nas zabije, bo wyda się, że klasowe pieniądze, z których mieliśmy kupić materiały do flag i transparentów na pochód pierwszomajowy, przegraliśmy przypadkowo na automatach w suterenie koło Teatru Lalek, bo Feri

20
nakłamał, że na tych nowych maszynach co trzeci gracz automatycznie wygrywa, od czego są automaty, i kiedy po raz pierwszy spróbowaliśmy, rzeczywiście wygraliśmy dziesiątkę, potem jednak ciągle traciliśmy, i w końcu chcieliśmy już tylko odzyskać pieniądze, trzecią setkę naprawdę rozmieniliśmy tylko po to, żeby sobie odbić przegraną, i prawie nam się udało, ale nie mogliśmy złapać tempa, nacisnęliśmy akurat wtedy, gdy maszyna z ekstrapremii przeskoczyła na zero, straciliśmy więc wszystko i na próżno mówiliśmy potem temu, co rozmienia pieniądze, że to nie była nasza forsa i żeby nam oddał, tylko się z nas śmiał i mówił, że gra losowa to gra losowa, a jak będziemy py-

skować, to nam wleje, i skoro nie chcemy już grać, mamy zjeżdżać, bo tylko blokujemy miejsce tym, którzy płacą, no i kiedy znaleźliśmy się na ulicy Męczenników Rewolucji, spojrzeliśmy po sobie i obaj wiedzieliśmy, że teraz to już naprawdę mamy przechlapane, wtedy Szabi powiedział, że najlepiej będzie, jak pójdziemy na stację kolejową, wskoczmy do pierwszego lepszego pociągu towarowego i pojedziemy do Petrozseny, gdzie zostaniemy górnikami, bo słyszał, że tam nawet dzieci mogą pracować i nikt nikogo o nic nie pyta, bo w kopalniach zawsze potrzeba rąk do pracy, ale ja powiedziałem, żeby sobie jechał, jak chce, ja nie jadę, bo nie mam ochoty umrzeć na pylicę, i że raczej spróbujmy zachorować, bo jak nam się uda, to przy okazji cały pierwszy maja będziemy mieli z głowy, i wtedy Szabi powiedział, że dobrze, od kredy można dostać gorączki, zaraz więc wypróbowaliśmy ten sposób, ale okazał się do niczego, od czerwonej kredy siusiałem wprawdzie na czerwono, lecz nie wyglądało to wcale na krew ani nią nie pachniało, słowem, wiedzieliśmy, że musimy wymyślić coś

21

innego, i wtedy Szabi powiedział, żebyśmy poszli do źródelka i spróbowali wypić tyle wody, ile się tylko da, bo jeśli dostatecznie szybko wypijemy dużo tej lodowato zimnej źródlanej wody, to mamy jak w banku ciężkie zapalenie płuc, a to oznacza co najmniej trzy tygodnie w szpitalu, na dodatek wszyscy będą nam współczuć, z pewnością więc nikt nie będzie miał głowy do pieniędzy.

Przy źródle prawie nikogo nie było, jakieś cztery osoby stały z bańkami po wodę, zanim je napełniły, wdrapaliśmy się na cokół skradzionego pomnika, raz Szabi udawał, że niesie Pochodnię Rewolucji, raz ja, chodziło o to, żeby jak najdalej wyciągnąć prawą rękę, jakby się rzeczywiście trzymało pochodnię, i stać tak bez ruchu, wolno było przy tym rzucić w pomnik tylko pojedynczymi ziarenkami żwiru, i to też nie w twarz, ten, kto dłużej wytrzymał, wygrywał, i właśnie ja stałem na cokole, kiedy ostatnia osoba z kolejki napełniła bańkę, wtedy jednak Szabi zaczerpnął garść żwiru i cisnął we mnie, mówiąc, byśmy szli, bo zapalenie płuc czeka, na co ja, że dobrze, ale niech on zaczyna, bo w końcu sam na to wpadł, no i oszukiwał przy zabawie w pomnik, wtedy powiedział, że i tak wie, jaki ze mnie tchórz, mimo wszystko pokaże mi, jak się to robi.

Przez umieszczoną poziomo grubą żelazną rurę woda wypływała ze ściany poniżej tablicy pamiątkowej, na której było napisane, że gasił tu pragnienie Janku Żjanu, sławny hajduk, obrońca biednych, kiedy uciekał przed żandarmami, oraz że to woda lecznicza, kobiety w ciąży i karmiące matki nie powinny jej pić, kiedy więc Szabi nachylił się nad rurą, powiedziałem, żeby się wstrzymał, żeby się tak nie spieszył, bo chyba nie przeczytał napisu na tablicy doty-

czącego kobiet w ciąży, ale Szabi wcale się z tego nie uśmieiał,
22

choć kiedy indziej zawsze go to bawiło, powiedział nawet, że bym się nie wygłupiał, bo nie pora na żarty, należy tak przystawić usta do rury, żeby ją całkowicie zatkać, nie od razu jednak wolno pić, najpierw trzeba zacząć liczyć i dojść co najmniej do stu, a kiedy w rurze ciśnienie będzie już tak wysokie, że nie da się wytrzymać, należy nagle otworzyć usta, lodowata woda błyskawicznie przepłynie wtedy przez gardło i przełyk, i od razu wypełni żołądek, od czego tak nam się wychłodzi organizm, że zapalenie płuc murowane, a kto to zrobi porządnie, zemdleje, ale nie wolno go cucić, bijąc po twarzy, tylko trzeba mu pociąć twarz zimną wodą, po tym z miejsca odzyska przytomność, powiedziałem, że dobrze, niech już tyle nie gada, tylko zaczyna, trzeba wykorzystać fakt, że akurat nikogo nie ma, bo jak zobaczą, że przykładamy usta do rury, z której wypływa źródło, to wcale nas nie pochwalą, i Szabi przyznał mi rację, powiedział, że wobec tego zaczyna, ukucnął przy rurze, zatkał ustami wylot, a ja zacząłem głośno liczyć, by słyszał i wiedział, do kiedy ma powstrzymywać napór wody, głowa Szabiego zaczęła się w trakcie tego liczenia robić czerwona, z początku tylko tak, jakby się czerwienił pod wpływem drwin, a potem coraz bardziej, nim doszedłem do pięćdziesięciu, miała kolor buraka, po czym zaczęła z wolna sinieć, Szabi zamknął oczy, widziałem, jak obiema rękami ściska rurę, miał już zupełnie siną twarz, a ja byłem dopiero przy osiemdziesięciu pięciu, kiedy nagle puścił rurę, woda buchnęła z niej z taką siłą, że odrzuciła Szabiego, całe ubranie miał mokre, widziałem, że mimo to próbuje pić, z rozdziawionymi ustami przełyka, ale woda pod ciśnieniem musiała mu się dostać do nosa, bo kiedy wycierał twarz rękawem szkolnej koszuli, powiedział, że to

wszystko bez sensu, czysta głupota, zupełnie nic nie czuje w płucach, a przecież powinny go teraz boleć, ta metoda więc się nie sprawdza, jeśli jednak chcę, mogę spróbować, a nuż mnie się uda, ale żeby nie podnosił ciśnienia aż tak bardzo, wystarczy, że będę pił z zatkanym nosem, ile tylko zdołam, powiedziałem więc, że dobrze i ukucnąłem przy rurze, jedną ręką zatkałem sobie nos, drugą skierowałem strumień wody do ust, potem zacząłem połykać wodę, była dość zimna, ale w miarę, jak ubywało mi powietrza, odczuwałem wrażenie, że jest coraz cieplejsza, i zanim przestałem pić, wydała mi się wręcz gorąca, do tego stopnia brakowało mi tchu, i też byłbym upadł, gdyby mnie Szabi nie podtrzymał i nie pomógł mi wstać, a wtedy poszliśmy wolniutko w stronę ławki, która miała jeszcze zarówno oparcie, jak i siedzenie, i usiedliśmy, kręciło mi się w głowie i lekko szumiało, Szabi powiedział, że czuje się dosyć podle, co,

jego zdaniem, bierze się tylko stąd, że tak nagle wypiliśmy tyle wody, do tego jednak, by dostać zapalenia płuc, ta woda nie jest wystarczająco zimna, możemy od niej dostać co najwyżej biegunki, a ta się na nic nie zda, i wtedy poczułem, że rozboleł mnie brzuch, musiałem przycisnąć go ręką, lecz kiedy się pochyliłem, ból z wolna przeszedł, i wtedy powiedziałem Szabiemu, że ten pomysł z zapaleniem płuc jest kiepski, nic z niego nie będzie, jeśli więc chcemy uniknąć awantury, musimy wymyślić coś innego, coś, co na pewno się uda, i wtedy Szabi powiedział, że mam rację i najlepiej będzie złamać nogę, na co ja, że jest kretynem, bo przecież złamanie nogi nie da się symulować, a on, że oczywiście się nie da, ale przecież zapalenia płuc też nie zamierzaliśmy symulować, i jeśli naprawdę chcemy, żeby się nam ta sprawa z pieniędzmi upiekła, to symulowaniem niczego

24

nie osiągniemy, widziałem przecież, że nawet kreda nic nie dała, chodźmy więc pod las, na niedokończoną budowę, tam, gdzie nie tylko zrobili już głębokie wykopy, lecz także zdążyli położyć grubą betonową rurę, bo jeśli na nią skoczymy, to na pewno połamiemy nogi w kostkach i zanim pozwolą nam chodzić z gipsem, minie co najmniej tydzień, ale ja na to, że złamanie nogi jest zbyt niebezpieczne, mogą z tego wyniknąć poważne komplikacje, lecz Szabi zaczął się śmiać i powiedział, że jestem tchórzem i że on już dwa razy miał złamaną nogę, i niech się dowiem, że to nic takiego, no, może z wyjątkiem zakładania gipsu, bo jest taki gorący, że aż parzy, potem jednak można się spokojnie objąć i bardzo fajnie jest się drapać pod gipsem drutem do robienia swetrów, a kiedy pada deszcz, to nie trzeba iść do szkoły, i na gimnastyce jeszcze przez pół roku można się wykręcać od biegania, bo nie wolno przeciążać tej nogi, i jeżeli nie mam odwagi tego zrobić, to on wszystkim powie, jaki ze mnie tchórz, powiedziałem więc, żeby dał spokój, wcale nie jestem tchórzem, a wtedy Szabi zdecydował, w porządku, obgadamy to po skoku, i ruszyliśmy na budowę.

Nie mogliśmy iść za szybko, bo wciąż mieliśmy brzuchy ciężkie od wody, przy każdym kroku czułem, jak woda chlupie mi w środku, raz musieliśmy też stanąć, bo Szabiemu zachciało się siku, a raz dlatego, że o mało nie zmiotowałem, kiedy zakreśliło mnie w żołądku, w końcu jednak dotarliśmy do budowy, Szabi wiedział, gdzie można się przedostać przez płot, bo już kiedyś szukał tu plastikowej rurki i karbidu, powiedział też, że bym się nie bał, bo w stróżówce od dawna nikt nie mieszka, nie było również problemu ze znalezieniem wykopu, bo po jednej stronie leżały zwały ziemi, Szabi poszedł przodem, wdrapaliśmy

25

się na sam szczyt tego ziemnego wału i stamtąd spojrzeliśmy na rów, w którym leżały już fragmenty grubej beto-

nowej rury, choć nie były jeszcze zacementowane, i wtedy Szabi powiedział, że on teraz szczerze żałuje, że tak zostawiliśmy na lodzie klasowy kolektyw, i przykro mu, że inni z naszego powodu nie wezmą udziału we współzawodnictwie na najpiękniejszy transparent, bo przecież to jest klasa, która robi najpiękniejsze transparenty i w nagrodę mogłaby pojechać na dwutygodniowy obóz nad morzem, wtedy ja powiedziałem, że też żałuję, bo bardzo chciałbym pojechać nad morze, potem znowu spojrzałem na betonową rurę i przyszło mi do głowy, że nigdy nie popłynie nią ani woda, ani ścieki, bo to osiedle nigdy nie zostanie zbudowane, wtedy powiedziałem Szabiemu, żeby się nie martwił, bo tego współzawodnictwa i tak byśmy nie wygrali, tylko jakaś klasa ze szkoły numer trzy, wszystko zawsze wygrywa trójka, bo do niej chodzą dzieci aktywu partyjnego, a o nasz kolektyw nie ma się co martwić, bo nie zdarzyło się jeszcze i nie zdarzy, by jakaś klasa nie wzięła udziału w konkursie na transparent czy w pochodzie, a skoro już konkurs został ogłoszony, to wychowawca na pewno zdoła gdzieś materiały i zrobią transparent, bo inaczej sam miałby kłopoty, wtedy Szabi spytał, czy to pewne, na co ja, że pewne jak w banku i skaczymy już, bo jak będziemy tak stali i stali, to nam odwaga w pięty ucieknie, wtedy Szabi powiedział, że dobrze i żebyśmy głośno policzyli do trzech, i na trzy skoczyli, obaj raz jeszcze spojrzeliśmy w rów, wydał nam się głęboki, stąd, gdzie staliśmy, miał ze cztery metry, zaczęliśmy liczyć, ale Szabi przy dwóch się zatrzymał i powiedział, byśmy zamknęli oczy i zaczęli od początku, zamknęliśmy więc i zaczęliśmy od nowa, kiedy

26

nagle przyszło mi do głowy, że jeśli obaj skoczymy i każdy z nas złamie nogę, to nie będziemy się mogli wy dostać, chciałem więc powiedzieć Szabiemu, żeby zaczekał, ale nie zdążyłem, bo Szabi właśnie skoczył, otworzywszy oczy, zobaczyłem, jak się odbija i niemal przeskakuje rów, skok okazał się jednak za krótki i Szabi walnął ramieniem o przeciwległą ścianę wykopu, spadł na beton, wrzasnął, złapał się za kostkę i leżał skulony koło rury, ciągle trzymając się za nogę, wykrzykiwał moje imię, płakał i jęczał, zawołałem wtedy, żeby poczekał, zaraz zejść, on jednak popatrzył w górę cały zapłakany i powiedział, że bym sobie poszedł w cholerę, jestem tchórzliwym dupkiem, bo pozwoliłem mu samemu skoczyć, wtedy jednak powiedziałem, żeby się zamknął, bo widziałem, jak usiłował przeskoczyć rów, wcale nie chciał do niego skakać, i gdybym nie wykazał się większym rozsądkiem od niego, to teraz nie miałby kto pójść po pomoc, ale Szabi wciąż tylko kłął i powtarzał, że strasznie boli go noga, znowu więc krzyknąłem do niego z góry, że zasłużył sobie na to, chciał mnie przecież przerobić, i niech poczeka, zaraz kogoś spro-

wadzę, choć tak naprawdę wcale nie zasługuje na pomoc, kiedy zacząłem biec w stronę bloków, wiedziałem już, co na drugi dzień powiem w szkole, a więc powiem, że nie mamy tych pieniędzy, bo połowę musiałem dać facetom z pogotowia, żeby zawieźli biednego Szabiego do szpitala, a drugą daliśmy lekarzowi, żeby nie składał Szabiemu nogi bez znieczulenia.

KONIEC ŚWIATA

Nam bramkarzom ujek Gica poświęcał szczególnie dużo uwagi, musieliśmy przychodzić na trening godzinę wcześniej, kazał nam wykonywać ćwiczenia przede wszystkim na szybkość reakcji, trzeba było dużo skakać i rzucać się na ziemię, wyskakiwać do piłki, i znowu się rzucać, no i miał tę bramkarską maszynę tortur, sam ją wynalazł, a wykonali mu ją robotnicy z fabryki wyrobów metalowych. Pomysł polegał na tym, że na końcu długiej żelaznej rury umieszczano się piłkę wypełnioną piaskiem i montowało na czymś w rodzaju osi, wokół której się obracała, ujek Gica z całej siły popychał piłkę w naszą stronę i obaj z Janiką wiedzieliśmy, że jak nie złapiemy, to walnie nas w głowę i połamie nam kości, a potrafiła wałnąć potężnie, ludzie mówili, że zdarzało się już dzieciom, które trafiły w ręce ujka Gicy, że przyplącały to życiem, został trenerem młodej kadry, bo dorośli gracze nie wytrzymywali jego twardych metod, raz nawet go dopadli i omal nie zabili, od tamtej pory nie trenował już dorosłej drużyny metalowców, wolno mu było pracować tylko z nami, jedenasto-, dwunastoletnimi chłopcami. Wtedy w maju byliśmy o krok od wypadnięcia z rozgrywek, ujek Gica codziennie prowadził trening, zdobył dla

28

nas zaświadczenia i nie trzeba było chodzić na pierwsze cztery lekcje, każdy wiedział, że drużyna metalowców musi się obronić, w żadnym razie nie możemy odpaść, ujek Gica powiedział zresztą, że jak nie pokonamy Naprzodu, drużyny wojskowej, to koniec, mogiła, każdemu po meczu złamie nogę w kostce metalową rurką, jemu już i tak będzie wszystko jedno, trenowanie to całe jego życie, jeśli więc odpadniemy, to on już nie ma czego szukać w sporcie, od tej pory więc każdy będzie chodził do szkoły o kulach, i nawet pokazał nam tę metalową rurkę, wałnął nią w płot i strzaskał deskę, powiedział, że nasze kości też tak będą wyglądać, zostaną z nich drzazgi, i żaden lekarz tego nie złoży. Wiedzieliśmy, że nie kłamie, nie miał już wtedy rodziny, mieszkał w pomieszczeniach klubowych młodej kadry, słowem, wiedzieliśmy, że mówi poważnie, bardzo starannie szykowaliśmy się więc do tego meczu, wszyscy biegaliśmy, nikt nie śmiał się objąć, każdy bał się o swoje nogi, ja też biegałem, dając z siebie wszystko, chociaż wiedziałem, że na pewno nie zagram w tym meczu, bo byłem tylko rezerwowym bramkarzem, prawdziwym był Janika,

który należał do świadków Jehowy i na dobrą sprawę nie powinien nawet grać w drużynie metalowców, bo ojciec nie pozwalał mu zostać pionierem, ale tak dobrze bronił, że ujek Gica poszedł do towarzysza dyrektora i załatwił Janice, żeby mógł grać, i prawie w każdym meczu on właśnie stał na bramce, miał dużo większe wyczucie piłki niż ja, nawet wtedy, gdy nie był w formie. Słowem, bardzo ciężko trenowaliśmy, bo baliśmy się ujka Gicy, choć z drugiej strony wiedzieliśmy, że i tak wszystko jedno, bo Naprzodu nie da się pokonać, wspiera go wojsko, grają tam tylko dzieci wojskowych, siły zbrojne zapewniają im wszystko,

29

wszystko też zapewniają sędziom, Naprzód był w rozgrywkach niepokonany, wiedzieliśmy więc, że nie mamy szans, i baliśmy się bardzo.

Janika bał się nawet bardziej niż ja, ujek Gica również w dniu meczu zorganizował specjalny trening dla nas bramkarzy i kiedy szliśmy o świcie do klubu, Janika nagle stanął, przycisnął rękę do brzucha, potem złapały go mdłości i zaczął wymiotować, gdybym go nie podtrzymał, może by nawet zemdlął, powiedział, że dopiero teraz, kiedy zobaczył bramę stadionu metalowców, dopiero teraz przypomniał sobie sen, śnił mu się ujek Gica, jak roztrzaskuje mu kostkę, podałem mu swoją manierkę, żeby sobie przepłukał usta, powiedział, że uknowi Gicy w tym śnie, kiedy się zamachnął metalową rurką na jego kostkę, leciały łzy, i że nawet teraz pamięta poczerwieniałą, błyszczącą gębę starego, i wszystko mu jedno, on idzie do domu, nie pójdzie na trening, bo już tego dłużej nie wytrzyma, i żebym ja też poszedł do domu, żebym tu sam nie zostawał, i nic go nie obchodzi, że drużyna będzie bez bramkarza, futbol to w końcu tylko gra, nie jest aż tyle wart. Otarł usta, i dał mi manierkę, chodźmy, powiedział, zanim ujek Gica nas zobaczy.

Dobra, powiedziałem, chodźmy, i przyszło mi do głowy, że ja też się w nocy obudziłem, usłyszałem jakiś łomot, od tego momentu, lecz już w ciszy, leżałem i długo nie mogłem zasnąć, powtórzyłem więc, chodźmy, wtedy jednak usłyszeliśmy dudnienie, dokładnie w chwili, kiedy pomyślałem o swoim śnie, ale był to zupełnie inny dźwięk, znacznie cichszy, wiedziałem zresztą, co to jest, to tylko dwie ciężarówki nadjeżdżają z dużą prędkością, z daleka było widać, że są pomalowane na zielono, plandekę również miały

30

w kolorze maskującym, staliśmy tam i patrzyliśmy, jak jadą, potem zahamowały i zatrzymały się tuż przed nami, z jednej z nich wysiadł żołnierz, podszedł do nas i spytał, co tu robimy, Janika tak się przestraszył, że nie mógł wydobyć z siebie głosu, ja więc powiedziałem, że przyszliśmy na trening, jesteście oficjalnymi graczami młodzieżowej

drużyny Czerwonego Młota, Janika jest bramkarzem, a ja bramkarzem rezerwowym, ale żołnierz zupełnie nie zwrócił na to uwagi, w porządku, powiedział, w takim razie po co tu stoimy, zmiatajmy do swoich spraw, poszliśmy więc do szatni, ale widzieliśmy jeszcze, jak żołnierze zaczęli wypakowywać z ciężarówek jakieś wielkie przyrządy.

Ujek Gica już tam był, jadł słoninę, nic nie powiedział, tylko wskazał na zegarek i podniósł trzy palce, wiedzieliśmy, że to znaczy trzy minuty spóźnienia i że będziemy musieli przebiec dodatkowo piętnaście okrążeń pod koniec treningu, powiedziałem jednak, że to nie nasza wina, bo spóźniliśmy się przez żołnierzy, wtedy ujek Gica spytał, przez jakich żołnierzy, mam nie kłamać, bo dostanę w pysk, aż się nogami nakryję, powiedziałem, że nie kłamię, sam zobaczy, że są tutaj żołnierze, na pewno przyjechali obejrzeć trening, żeby się przekonać, na co mogą liczyć, chcą pewnie sprawdzić, jak jesteśmy przygotowani do meczu z Naprzodem. Na to ujek Gica odłożył nóż, zapakował resztki słoniny i wstał, dobra, powiedział, mamy się przebrać, nie tracić czasu, bo nam wleje, po czym wyszedł i trzasnął drzwiami.

Przebieraliśmy się w ciszy, nie śmieliśmy się odezwać, bo baliśmy się, że ujek Gica podsłuchuje, lubił wiedzieć, co się o nim mówi za jego plecami, Janika był bardzo biały, kiedy wyszliśmy z szatni, ujek Gica czekał już na nas

31

na skraju boiska, rozmawiał z jakimś oficerem, kiedy nas zobaczył, pomachał nam, pachołki były już rozstawione, przygotował też dla nas dwie pary „ołowianych” ochraniaczy, czyli skórzanych nagołenników, do których wkładało się ołowianą rurkę, żeby były cięższe, też je specjalnie zamówił, włożyliśmy ochraniacze i zaczęliśmy robić slalom, po jakimś czasie ujek Gica zostawił oficera, poszedł do nas i kazał nam skakać, za którymś razem Janika nie był dostatecznie szybki, ujek Gica zdzielił go więc rurką po nodze, Janika upadł, uderzył się, krew poszła mu z nosa, ale ujek Gica nie pozwolił przerwać treningu, kazał mu dalej skakać.

Żołnierze cały czas tam byli, oficer tylko patrzył, pozostali w jakichś dziwnych ubraniach chodzili wokół boiska, pchali przed sobą okrągłe maszyny składające się z mnóstwa drutów i rur, trzymali też w rękach rozmaite urządzenia, z których wystawały druty i anteny, nie wiedziałem, co robią, sądziłem, że może chcą transmitować ten mecz przez radio, choć nigdy wcześniej o czymś takim nie słyszałem, maszyny strasznie warczały i terkotały, nie bardzo jednak mogłem je śledzić, bo trzeba było biegać, skakać i rzucać się na ziemię.

Najtrudniejsze były ćwiczenia z piłką, zwłaszcza jak trzeba się było rzucać na piłkę z zawiązanymi oczami, usi-

łując wyczuć jej kierunek, raz walnąłem przy tym o słupek, raz też dostałem od ujka Gicy piłką w brzuch, aż mi się słabo zrobiło, Janika ciągle skakał nie w tę stronę, co trzeba, ja więc wygrałem to współzawodnictwo, Janika był już wtedy biały jak papier, wiedział, co to oznacza, wiedział, że dzisiaj po raz pierwszy ja będę wybijał piłkę, wybijanie polegało na tym, że ujek Gica ustawiał jedenaście piłek, następnie

32

jeden z bramkarzy odchodził na trzy metry, a drugi, ten co wybijał, próbował z rozbiegu trafić go piłką w głowę, i nie wolno się było uchylić, tylko przyjąć piłkę, złapać lub odbić, a jak nie kopaliśmy dostatecznie mocno, to ujek Gica sam stawał jako wybijający, trzeba więc było kopać, i ten miał lepiej, kto kopał pierwszy, bo kiedy następowała zmiana, to ten drugi był już tak zmęczony i słaby, że nie miał siły kopnąć naprawdę. Przy czwartej piłce Janice znowu puściła się krew z nosa, nie chciałem więc kopać za mocno, nic jednak nie mogłem poradzić, musiałem brać rozbieg z czterech kroków i walić, a piłka za każdym razem trafiała z trzaskiem, pod koniec Janika już nawet nie podnosił rąk, tylko ciałem wyskakiwał do piłki i padał razem z nią, w jednym miejscu trawa była cała we krwi, Janika z trudem się podnosił, widać było, że nie jest w stanie kopnąć piłki, że się śłania, wtedy podszedł do niego ujek Gica, podał Janice ręcznik i powiedział, w porządku, niech sobie wytrze twarz, teraz wyjątkowo zrobimy przerwę i żebyśmy poszli do szatni, bo towarzysze oficer chce specjalnie z nami porozmawiać.

Poszliśmy, a Janika cały czas przyciskał ręcznik do nosa, oficer rzeczywiście był w szatni, po naramiennikach poznałem, że to pułkownik, dziadek już dawno nauczył mnie rozróżniać stopnie wojskowe, a więc ten pułkownik siedział w szatni na ławce, dał nam znak, żebyśmy zamknęli drzwi, potem kazał nam usiąść i spytał, do której klasy chodzimy i jak się uczymy, ja musiałem odpowiadać, bo Janice wciąż jeszcze leciała krew z nosa. Oficer wyjął jabłko i przełamał na pół, jedną połowę dał mnie, drugą Janice, powiedział, że w porządku, zuchy z nas, widział, jak ciężko i uczciwie Pracujemy, możemy być z siebie dumni, bo ciężką pracą

33

udowodniliśmy, że zasługujemy na chustę pioniera. Potem spytał, czy kochamy swoją ojczyznę, a my oczywiście przytaknęliśmy, nawet Janika, chociaż Janika był jehowitą, a jehowici nie mogą być ani pionierami, ani nie mogą kochać ojczyzny, potem pułkownik zapytał, czy wiemy, co to jest radioaktywność, powiedziałem, że nie wiemy, bo jeszcze nie mamy fizyki, ale na lekcjach z przysposobienia obronnego nauczyliśmy się, że jak wybuchnie bomba atomowa, to człowiek powinien sobie zakryć twarz i wejść pod stół albo pod łóżko, a potem musi się zgłosić do dowództwa obrony

przeciwichemicznej po wyposażenie ochronne i że w podręczniku do przysposobienia obronnego o radioaktywności piszą, że promieniowanie przenika przez wszystko i że uszkadza żywy organizm, oficer skinął głową, powiedział, że on też ma dwóch synów, dokładnie w naszym wieku, i dlatego powie nam teraz to, co powie, jeśli jednak ośmielimy się komuś o tym powiedzieć, to trafimy do domu poprawczego za rozpowszechnianie fałszywych wiadomości, a naszych ojców i matki zamkną w więzieniu, spytał, czy zrozumieliśmy, a my skinęliśmy głową, ale powiedział, że chce jasnej odpowiedzi, powiedzieliśmy więc, tak jest, towarzyszu pułkowniku, zrozumieliśmy, Janika nawet odjął ręcznik od twarzy, kiedy to mówił, taki był wystraszony, wtedy pułkownik powiedział, że w nocy w Związku Radzieckim zdarzył się wypadek w jednej z elektrowni atomowych i że wiatr przeniósł tutaj radioaktywność, i że tak naprawdę nie powinno się rozgrywać meczu, ale nie chcą paniki, mecz więc się odbędzie, nam jednak, bramkarzom, radzi, byśmy się nie rzucali na ziemię i byśmy unikali kontaktu z piłką, bo ona zbiera z trawy radioaktywność, i w ogóle to uważajmy na siebie, bo ładni i zdrowi

34

z nas chłopcy, potem dał nam po jakiejś białej tabletki i powiedział, że musimy ją wziąć tu, od razu, to tylko jod, nie trzeba się bać, i dopiero kiedy wzięliśmy tabletki, przyszło mi do głowy, że widziałem kiedyś film o Niemcach, którzy truli się takimi białymi tabletkami, i możliwe, że towarzyszu pułkownik też chce nas otruć, bo pożałował, że powiedział nam o tym wypadku, i widziałem, że Janika też o tym myśli, ale nie umarliśmy, tabletki miały gorzki smak, jednak nie jak migdały, bo ja wiedziałem, że trucizna ma smak migdałowy. Wtedy pułkownik pogłaskał mnie po głowie, powiedział, że w porządku, nic nam nie będzie i żebyśmy na siebie uważali, odwrócił się i już chciał wyjść, kiedy Janika zapytał go, towarzyszu pułkowniku, skoro nie wolno nam łapać piłki ani rzucać się na ziemię, to jak mamy bronić, i wtedy pułkownik znowu się odwrócił i spojrzał na nas, nic nie powiedział, sądziłem, że zacznie krzyczeć albo nas spoliczkuje, ujek Gica też czasem milczał chwilę, zanim nas dopadł, ale towarzyszu pułkownik tylko potrząsnął głową i bardzo cicho powiedział, że nie wie, jak Boga kocha, nie wie, potem zwiesił głowę i wyszedł bez słowa, zostawił nas w szatni.

Janika tylko dwa razy ugryzł jabłko, powiedziałem mu, że jak nie ma ochoty, to niech mnie odda, i bez słowa mi dał, właśnie łykałem ostatni kęs, kiedy otworzyły się drzwi i wszedł ujek Gica, miał w ręku piłkę, stanął i spytał, czego chciał od nas towarzyszu pułkownik. Spojrzeliśmy po sobie, potem Janika przycisnął ręcznik do nosa, a ja powiedziałem, że niczego, ale ujek Gica podszedł do mnie

i bez słowa wymierzył mi taki policzek, że aż się zachwia-
łem i upuściłem ogryzek, musiałem się oprzeć o wieszak,
żeby nie upaść, wtedy ujek Gica powiedział, żebym nie
35

kłamał w żywe oczy, bo słyszał każde słowo, poza tym i tak
wszystko o nas wie, wie, że chcieliśmy zwać z treningu,
i dobrze słyszał kłamstwa, których nam naopowiadał
pułkownik, i widzi po nas, że mu wierzymy, a skoro tacy
z nas idioci, to zasługujemy na to, żeby nam młotkiem
wybić z głowy tę resztkę rozumu, która nam jeszcze została,
powinniśmy bowiem wiedzieć, że żołnierze przyjechali
tylko po to, żeby nas postraszyć, żebyśmy przegrali, nie
mając odwagi porządnie bronić i unikając kontaktu z piłką,
kiedy ujek Gica to powiedział, wpadł w taką wściekłość, że
z całej siły kopnął w ławkę, aż wieszak nad ławką złamał
się i spadł, o mały włos nie stłukł szyby w oknie, wtedy
ujek Gica zamilkł i potrząsnął głową, musimy zrozumieć,
że pułkownik kłamał, bo gdyby rzeczywiście doszło do
wypadku w tym reaktorze, to już byśmy nie żyli, a zresztą
partia nie pozwoliłaby rozgrywać meczu, gdyby nam coś
groziło, bo każdy wie, że młodzież to przyszłość narodu,
że młodzież to największy w kraju skarb i że tego skarbu
partia w żadnym razie nie naraziłaby na niebezpieczeń-
stwo, Janika usiadł wtedy na ławce, odłożył ręcznik, całe
usta i brodę miał we krwi, bardzo cicho powiedział, on
wie od taty, że nadejdzie koniec świata i że zacznie się
od wojny atomowej, i wie, że pułkownik nie kłamał, bo
powiedział - jak Boga kocham, a żołnierze to przecież
ateiści i nigdy nie mówią bóg, a skoro mówią, to znaczy,
że oni też czują koniec świata, nic się więc już nie liczy.
Wtedy ujek Gica podszedł do Janiki, stanął przed nim,
odbił piłkę o ziemię, potem chwycił oburącz i kazał Janice
wstać, ale Janika się nie ruszył, tylko potrząsnął głową,
ujek Gica znowu odbił piłkę i krzyknął, że drugi raz nie
powtórzy i że niech wstanie, kurwa jego mać, jehowita,
36

wtedy Janika wstał i rzucił ręcznik na ziemię, a ujek Gica
powiedział, w porządku, rozumie, wystraszyliśmy się puł-
kownika, ale aż takimi tchórzami chyba nie jesteśmy i jeśli
Janika przeprosi, to on się na niego gniewać nie będzie,
zaraz zjawi się tu reszta drużyny, trzeba przygotować się
do meczu, ale Janika potrząsnął głową i powiedział, że
nadszedł koniec świata, on nie przeprosi, wtedy ujek Gica
znowu odbił piłkę o ziemię, potem sięgnął do kieszeni
i powiedział, że chciał je dać Janice tuż przed meczem, że
należały do prawdziwego bramkarza reprezentacji, sam
bronił w nich kiedyś, kiedy był w kadrze, i wyciągnął rękawice,
proszę, niech Janika je włoży, ochronią go przed
promieniowaniem, lecz Janika znowu potrząsnął głową,
krzyknął, że nie potrzebuje, i splunął na rękawice, wi-

działem, że splunął raczej krwią niż śliną, wtedy ujek Gica krzyknął coś bardzo głośno, nawet trudno było zrozumieć co, i z całej siły rzucił rękawice Janice w twarz, potem cofnął się i kopnął kolanem piłkę prosto w splot słoneczny Janiki, Janika skulił się, a kiedy piłka wróciła, ujek Gica znowu chciał ją odbić kolanem, ale zamiast w piłkę trafił w twarz Janiki, i wtedy usłyszałem, jak coś zatrzeszczało, Janika poleciał na wieszak, potem osunął się na ziemię, a kiedy ujek Gica schylił się, podniósł piłkę i spojrzał na mnie, zobaczyłem, że ma twarz czerwoną i całą błyszczącą od potu, krzyknął wtedy, dobra, wobec tego ty będziesz bronił, głos miał taki wysoki, że ledwie mogłem go zrozumieć, potrząsnął głową, potem nagle kopnął piłkę, prosto w moją twarz, a ja wyskoczyłem, ściągnąłem ją obiema rękami, złapałem mocno w dłonie, aż mnie skóra zaszczy- Pała, i kiedy schyliłem się do samej ziemi, zgodnie z radami ujka Gicy instynktownie przyciskając piłkę do siebie, by

37

nie dać szansy atakującym napastnikom, zobaczyłem, że Janika leży obok ławki, widziałem też, że się nie rusza, a z ucha płynie mu krew, miałem wrażenie, że piłka jest trochę śliska, na pewno od krwi Janiki, kiedy ją łapałem, pomyślałem o radioaktywności, ale nic szczególnego nie poczułem, piłka była dokładnie taka jak zwykle, na chwilę zamknąłem oczy, kiedy je otworzyłem, ujek Gica wciąż stał drzwiach, a Janika nadal leżał bez ruchu, pomyślałem wtedy, że może jednak nie umarł, tylko zemdlął, bo jeśli umarł, to mecz się nie odbędzie i nie będę mógł bronić, popatrzyłem na piłkarskie rękawice z prawdziwej skóry leżące na ziemi obok Janiki i nagle pociekły mi łzy, piłka wypadła mi z rąk, odbiła się, potem potoczyła się w kąt, ale wtedy ujka Gicy nie było już w szatni.

KILOF

W niedzielę przed południem przyjechały koparki, właśnie graliśmy w piłkę z chłopakami z sąsiedniej ulicy, prowadzili cztery do dwóch, umówiliśmy się na mecz do pięciu goli, było więc prawie pewne, że przegramy, ale nie żałowałem, chciałem już iść do domu, w niedzielę zawsze starałem się być w domu, czekałem na ojca, bo kiedy go zabierali nad Kanał Dunaj-Morze Czarne, obiecał, że przyjedzie i weźmie mnie ze sobą, matka co prawda mówiła, żebym nie czekał, bo po ośmiu miesiącach przymusowych robót może go nawet nie poznam, zresztą wiedzielibyśmy wcześniej, gdyby miał przyjechać do domu, ale ja nie bardzo wierzyłem, że jest w obozie pracy, chociaż dostaliśmy parę takich gotowych, z góry napisanych kartek z obozu, ja jednak myślałem, że może ojciec nie jest w obozie pracy, tylko w jakimś tajnym instytucie badawczym, tak jak mówił, bo czytałem, że kiedy Amerykanie robili w Los Alamos bombę atomową, to również nikt nie mógł wiedzieć, gdzie

tak naprawdę znajdują się uczeni, i wiedziałem, że ojciec na pewno wróci do domu, wróci po mnie i zabierze ze sobą, pojedziemy nad morze, i wiedziałem, że gdyby nawet on mnie nie poznał, to ja bym go poznał na pewno, bo jego

39

zdjęcie, które wyrwałem ze starej książeczki wojskowej, zawsze nosiłem przy sobie, słowem, chciałem iść do domu, nie mogłem się wręcz doczekać, kiedy nam wbiją jeszcze jednego gola i mecz się zakończy.

nie atakowaliśmy, przy piłce był Duży Prodan, koparki zjechały z drogi prosto na boisko, dotarły na środek, jedna maszyna omal nie rozjechała Prodana, ledwie zdążył uskoczyć, potem obie stanęły na środku pola, bardzo głośno warczały, w powietrzu pełno było śmierdzącego, niebieskiego dymu, potem obaj kierowcy jednocześnie wyłączyli silniki, zapadła cisza, my też milczeliśmy, staliśmy wokół maszyn, były pomalowane na żółto, w wielu miejscach rdzewiały, tylko zęby czerpaków lśniły tu i ówdzie.

Wtedy jeden z kierowców wyszedł z kabiny, stanął, spojrział na Prodana, chodź no tu, powiedział. Prodan bardzo wolno podszedł, przedtem jeszcze rzucił piłkę Ósiemu, stanął przed robotnikiem, miał tylko czternaście lat, był jednak wysoki, prawie taki wysoki jak robotnik, od roku już nie chodził do szkoły, bo ojciec posłał go do pracy na budowie, widać było, że nie boi się robotnika, słowem, stanął przed nim i zapytał, czego.

Robotnik zarechotał, po czym walnął go pięścią w splot słoneczny tak, że aż Prodan zgiął się wpół, zabiję cię, ty, jak do mnie mówisz, powiedział, wcale przy tym nie krzyczał, tylko cofnął się i z uśmiechem patrzył, jak Prodan przyciska ręką żołądek. Czego pan sobie życzy, spytał Prodan, ciągle trzymając się za brzuch. Robotnik skinął głową, jak chcesz, to umiesz się zachować, powiedział, potem spojrział na drugiego robotnika, który dalej siedział w kabinie, słyszysz Trojan, jak chce, to umie się zachować, tamten

40

skinął głową, potem splunął na ziemię, dobra, powiedział, cieszę się.

Robotnik sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze, dał Prodanowi, pójdziesz i przyniesiesz mi trzy paczki karpackich bez filtra, powiedział do niego, no leć, wiesz, gdzie masz iść, do gospody Pod Jeleniem, jest otwarta również w niedzielę. Prodan kiwnął głową, odwrócił się i ruszył w stronę asfaltowej drogi, ale robotnik jeszcze za nim zawołał, czekaj, posłuchaj, być może siedzi tam i pije taki dziobaty facet, nazywają go Kilof, no, jak go zobaczysz, to powiedz mu, że my z Trojanem mamy dla niego wiadomość, może już przywieźć budę, zapamiętasz?

Prodan skinął głową i ruszył, robotnik przyglądał się,

jak idzie, potem zawołał za nim, powiedziałem, biegiem, jak za pięć minut cię tu nie będzie, to zabiję, słyszysz, potem odwrócił się, sięgnął pod siedzenie koparki, wyciągnął dużą papierową torbę i klucz francuski, spojrzał na nas, chodźcie no bliżej, nie bójcie się.

Nikt się nie ruszył, ja patrzyłem na buty robotnika, jedno sznurowadło miał czerwone, prawdziwe sznurowadło do butów za kostkę, ale drugie było już domowej roboty, ze sznurka, słowem, nikt się nie ruszył, robotnik otworzył torebkę, wyciągnął w naszą stronę, prawdziwe irysy, powiedział, każdy może brać.

Wtedy reszta podeszła bliżej, torba była duża, co najmniej trzykilowa, widziałem kolorowe papierki, rzeczywiście były w niej irysy, robotnik znowu wyciągnął do nas torbę, bierzcie, powiedział, śmiało, Aronek pierwszy podszedł i sięgnął do torebki, a kiedy wyjął rękę, trzymał całą garść irysów, jednego od razu włożył do ust, nawet nie odwinął, tylko rozgryzł, dziękuję, powiedział z pełnymi

41

ustami, robotnik kiwnął głową, wyciągnął torebkę do pozostałych, proszę, powiedział, bierzcie, bierzcie sobie.

Wszyscy po kolei sięgnęli do torebki, każdy już wziął, tylko nie ja, ale irysy się nie skończyły, ciągle było ich dużo, wtedy robotnik spojrzał na mnie, co jest, spytał, ty nie chcesz, potem zrobił krok w moją stronę, podstawił mi torbę pod nos, nie obrażaj mnie, bierz, wtedy ja potrząsnąłem głową i powiedziałem, że nie mogę jeść nic słodkiego, chociaż tak naprawdę bardzo lubiłem cukierki, ale poprzedniego dnia zjadłem tyle miętówek, że miałem serdecznie dosyć słodczy, robotnik zaszeleścił torebką, możesz, powiedział, jak to nie możesz, potem sięgnął do torebki i wyjął irysa, podał mi go, trzymając dwoma palcami, powiedział, żebym otworzył usta, miał wielką rękę, widziałem jego palce uwalane smarem, chciałem się odwrócić i uciec, wtedy jednak poczułem, że ktoś z tyłu chwyta mnie za ramię, był to drugi robotnik, podszedł tak, że nawet go nie zauważyłem, ścisnął mnie mocno, słyszałem, jak mówi, żebym się nie ruszał, bo mnie rozerwie na strzępy, i żebym natychmiast otworzył usta, jedną ręką złapał mnie od tyłu za szyję, a drugą, konkretnie kciukiem i palcem wskazującym, uciskał mi żuchwę, zmuszając do otwarcia ust, potrząsnąłem głową, próbowałem go ugryźć, ale trzymał mnie zbyt mocno, potem usłyszałem, jak jeden z robotników mówi, nie tak, Trojan, lepiej zatkaj mu nos, wtedy poczułem, że tracę oddech, zamknąłem oczy, chciałem krzyknąć, żeby mnie puścili, bo ojciec im pokaże, nie zamierzałem otwierać ust, szumiało mi w uszach, a potem już jakoś tak się stało, że miałem smak irysa na języku, czułem, jak mi się razem z papierkiem rozpuszcza między zębami, w końcu mnie

puścili, upadłem na ziemię, usiłowałem wypluć cukierek, ale wtedy już nic nie miałem w ustach, tylko ten gorzki smak tytoniu, gardło mi się ścisnęło, za nic jednak nie chciałem się rozplakać, krzyknąłem do nich, że mój ojciec ich za to zabije, ale robotnicy tylko rechotali, potem ten, który nazywał się Trojan, powiedział, że to oni mojemu ojcu nakładają po pysku i żebym się zamknął, bo inaczej wpakuje mi do gęby wszystkie irysy, potem spojrzał na pozostałych, dobra, chłopaki, powiedział, zjedźcie cukierki, lepiej jednak, byście wiedzieli, że nie dostaliście ich za darmo, na świecie nic nie ma za darmo, na wszystko trzeba zapracować, wtedy ten drugi kiwnął głową, właśnie, powiedział, kto nie pracuje, ten nie je, ale wy już zjedźcie, to teraz popracujecie, po czym podszedł do koparki, z tylnej części zdjął jakiś duży pakunek i rzucił na ziemię, macie, rozwińcie, paczka potoczyła się nam pod nogi, była przewiązana jakimś paskiem, wszyscy się cofnęli, nikt nie chciał jej dotknąć, staliśmy tylko i patrzyliśmy na robotników, a oni na nas, Trojan gapił się na mnie, patrzył mi prosto w oczy, oblizywał wargi, wiedziałem, że zaraz każe mi zająć się paczką, że ja będę musiał zdjąć pasek, lecz nagle odwrócił się i razem z drugim robotnikiem popatrzyli na drogę, Prodan właśnie wrócił, podbiegł do Trojana, podał mu papierosy i resztę, Trojan schował dwie paczki i pieniądze, trzecią rzucił drugiemu robotnikowi, masz, Feri, ty też się podtruj, powiedział, potem znowu spojrzał na Prodana, nie spotkałeś tego dziobatego, spytał, Prodan potrząsnął głową, wtedy robotnik o imieniu Trojan splunął na ziemię, chuj ci w dupę, Kilof, kurwa twoja mać, powiedział cicho, potem znowu spojrzał na Prodana, dobra, a ty czego tu stoisz, rozdaj łopaty, kopnął pakunek

43

zawinięty w brezent, starczy dla wszystkich, a więc migiem, szkoda czasu, powiedział.

Prodan schylił się, rozwinął paczkę, były w niej łopaty z krótkim żelaznym trzonkiem, pomalowane na czarno, bardzo dużo łopat, chyba ze czterdzieści, podniósł jedną, spojrzał na robotnika o imieniu Feri, co panowie zamierzają zrobić, spytał go. Robotnik wskazał głową na las, my nic, to wy zrobicie, powiedział, wiecie, że pod lasem buduje się nowe osiedle, tędy będzie przebiegać jeden z kolektorów, i to wy wykopiecie ten odcinek rowu, w ramach pracy społecznej, żeby państwo zaoszczędziło na oleju do diesla.

Prodan spojrzał w górę, gdzie, tutaj na boisku? - zapytał. Robotnik o imieniu Feri splunął na ziemię, właśnie tu, powiedział, zaraz wymierzymy krokami gdzie dokładnie. Prodan patrzył na łopatę, nic nie mówił, potem jednak się odezwał, ale to nasze boisko, powiedział. Wtedy Tro-

jan podszedł do Prodana, jasne, powiedział, stanął przed nim, właśnie dlatego nam pomożecie, sami o to prosiliście, wasza szkoła, specjalnie dla was zorganizowaliśmy łopaty, a więc dość pyskowania, bierzcie się do roboty, wcześniej zaczniecie, to wcześniej skończycie, dzieci nie muszą zarabiać na chleb, macie więc czas. Prodan zrobił krok w tył, ja nie chodzę do szkoły, tylko pracuję na budowie, powiedział, a dzisiaj jest niedziela i nie wezmę, kurwa, łopaty do ręki, Trojan się wtedy zamierzył, lecz nie zdążył uderzyć, bo drugi robotnik, ten o imieniu Feri, podszedł do niego i chwycił go za ramię, czekaj, powiedział, to niegłupi chłopak, nie ma co go karać, potem wyciągnął w stronę Prodana torebkę z irysami, ty jeszcze nie dostałeś cukierka, powiedział, weź sobie.

44

Prodan z początku nie chciał wziąć, ale potem sięgnął, widziałem, że ma całą garść irysów, kiedy chował rękę do kieszeni, jednego omal nie upuścił, robotnik o imieniu Feri wciąż go częstował, bierz śmiało, mówił, Prodan jeszcze raz zanurzył rękę w torebce i znowu schował cukierki do kieszeni, wtedy robotnik zamknął torebkę, w porządku, powiedział, potem dostaniesz więcej, a teraz pomóż rozdać łopaty, w tym czasie Trojan wymierzy krokami, gdzie ma być rów, ale Prodan stał bez ruchu, popatrzył na maszyny, potem znowu na robotnika o imieniu Feri, a na koparce będę mógł usiąść, zapytał.

Robotnik o imieniu Feri wzruszył ramionami, no dobra, jak się praca będzie posuwać, to możesz, jeśli o mnie chodzi, możesz nawet włączyć silnik, ale teraz rozdaj łopaty, trzeba już zacząć kopać, nie bój się, kierownik ich szkoły wie o tym, zezwolił, żeby tu popołudniami pracowali, wszyscy chodzą do dwunastki, prawda? powiedz im, że póki tu pracują, nie muszą odrabiać lekcji, zobaczysz, jak się ucieszą.

Prodan kiwnął głową, dobrze, powiedział, podniósł z ziemi łopatę, podał Aronkowi, potem każdemu z nas wręczył po jednej, mnie też, masz Dżata, powiedział, niech ci idzie na zdrowie. Swojemu młodszemu bratu nie dał oczywiście łopaty, tylko cukierka, spojrzął na robotników, to mój brat, powiedział, będzie mi pomagał, na co robotnik o imieniu Trojan skrzywił się, lecz robotnik o imieniu Feri machnął ręką, w porządku, wy dwaj będziecie brygadzystami, ale jak robota będzie się ślimaczyć, znajdziemy innych na wasze miejsce, zobaczycie, jaka to fajna rzecz taka dobrowolna praca społeczna, jakie to miłe uczucie budować swój kraj, możecie być z siebie dumni, że jako

45

dzieci bierzecie w tym udział, jak się uwiniecie, w tydzień skończycie, to zresztą nic w porównaniu z Kanałem Dunaj-Morze Czarne, tam to dopiero odchodzi kopanie.

Kiedy to mówił, czułem, jak robi mi się gorąco, sięgnąłem do kieszeni i wymacałem zdjęcie ojca, jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, kto by pracował przy budowie Kanalu, spojrzałem na robotnika o imieniu Trojan, widziałem, jak wyjmuje jakąś kartkę, rozkłada, patrzy chwilę, potem podnosi z ziemi łopatę, idzie wolno na koniec boiska, przy słupku bramki wbija ją w ziemię, wymierzyłem, woła do robotnika o imieniu Feri, będzie szedł stąd, prosto. Wtedy Prodan i robotnik o imieniu Feri ustawili nas w szeregu, nie trzeba było według wzrostu, wystarczyło stanąć równo jeden za drugim, w niewielkiej odległości od siebie, a potem, kiedy już staliśmy, robotnik o imieniu Trojan dał łopatę również Prodanowi, dobra, powiedział, ty nie musisz pracować, tylko pokaż innym, jak należy używać tego narzędzia, wykop kawałek.

Prodan z początku nie chciał, widziałem po tym, jak złapał łopatę, że najchętniej przyłożyłby nią robotnikom, w końcu jednak zaczął kopać, odrzucał ziemię za siebie, wtedy inni wzięli się do roboty, ja również, trzonek bardzo niewygodnie leżał mi w ręce, ocierał skórę dłoni, ziemia była twarda, trzeba było naciskać łopatę nogą i nisko się przy tym schylać, bo łopata była za krótka, szybko rozboleła mnie krzyż, słowem, praca nie bardzo mi szła, nie tylko mnie zresztą, innym też, ja jednak cały czas myślałem o Kanale, jak to musi być trudno zmienić bieg rzeki i co tam robi mój ojciec, bo przysłał parę listów, ale pisał w nich tylko, że ma się dobrze, nic poza tym, próbowałem więc myśleć o tym wszystkim, a tymczasem coraz bardziej bolał

46
mnie krzyż i dłonie, nie miałem jednak odwagi przerwać pracy.

Prodan rzecz jasna od dawna już nie kopał, tylko z łopatą w ręce przechadzał się z tyłu za nami, mówił, pracujcie, pracujcie, Aronkowi to nawet dał łopatą po pupie, ale jeden z robotników krzyknął na niego, żeby więcej tego nie robił, wystarczy, jak będzie pilnował, by wszyscy równo kopali, resztę już oni załatwią, odtąd więc Prodan nikomu nie dokuczał, tylko chodził i patrzył, jak pracujemy.

Robotnicy tymczasem rozłożyli koc obok jednej z maszyn, położyli się na nim, ten o imieniu Trojan palił papierosa, ten o imieniu Feri coś jadł, zobaczyłem to, bo właśnie się odwróciłem, potem Prodan również usiadł przy nich i wtedy już tylko jego młodszy brat spacerował za nami, a kiedy jeszcze raz się odwróciłem, widziałem, że grają w karty.

Nagle Aronek się przewrócił, zamierzał wbić łopatę w ziemię, ale stopa ześliznęła mu się z ostrza, jednocześnie noga musiała się mu jakoś powinąć, bo upadł na bok i leżał z jedną nogą w rowie, jakby wcale nie chciał wstać, wtedy wszyscy przerwaliśmy pracę i ocierając pot z czoła, oto-

czyliśmy Aronka, Ócsi spytał, co się stało, Aronek jednak nic nie powiedział, tylko potrząsnął głową.

Wtedy jeden z robotników, ten o imieniu Feri, wstał, podszedł, spojrzał na Aronka, słabi jesteście, powiedział, na budowie Kanału nie wytrzymalibyście nawet dnia, no dobrze, przerwa, możemy sobie zrobić piętnaście minut przerwy, powiedział, w tym czasie spróbujmy się pozbierać, mimo wszystko jest z nas zadowolony, bo porządnie pracujemy i nie bójmy się, na obiad pójdziemy do domu, ale po południu każdy musi znowu przyjść, bo praca będzie

47

trwała aż do wieczora, powiedział też, że zrobili listę, włącznie z adresami, i jak ktoś nie wróci, to pójda po niego, bo nikomu nie wolno sabotować pracy dla wspólnego dobra. Potem robotnik odwrócił się i poszedł w stronę koparki, a my usiedliśmy na ziemi koło Aronka i odpoczywaliśmy, tylko Janika podbijał końcem buta piłkę, miał takie wyczuć, że mógł to robić w nieskończoność. Ja też siedziałem na ziemi, patrzyłem na dół, który wykopałem, wcale nie był głęboki, po bokach wystawały kamyki i białe korzonki trawy, potem wyjąłem zdjęcie ojca i zacząłem się w nie wpatrywać, było już brudne od ciągłego oglądania, twarz jednak pozostała wyraźna, dawniej wszyscy mówili, jak bardzo jestem podobny do ojca, kiedyś długo przyglądałem się sobie w małym lusterku, przykładając do siebie jego zdjęcie, widziałem, że faktycznie brodę i oczy mam zupełnie takie jak on.

A więc siedziałem tam i patrzyłem na fotografię, kiedy nagle stanął obok mnie jeden z robotników, po sznurówkach poznałem, że to ten o imieniu Feri, nachylił się i wyrwał mi ją z ręki, co oglądasz, spytał, po czym spojrzał na zdjęcie, trzymał je tuż przy oczach, jakby miał kłopoty ze wzrokiem, kto to? twój ojciec? - zapytał, a ja nie odpowiedziałem, tylko skinąłem głową i czułem, jak z czubka głowy spływa mi aż do stóp jakieś gorąco, uszy też zrobiły mi się gorące i nie mogłem wykrztusić słowa, ani na tak, ani na nie, kiwałem tylko głową i miałem ściśnięty żołądek, w ogóle czułem, jakby mi jakaś kluska z żołądka podchodziła przez przetyk do gardła, i wtedy nagle zdołałem się jakoś odezwać, spytałem, czy go nie znają, bardzo drżącym głosem, bo on tam właśnie jest, na budowie Kanału, a panowie też stamtąd przyjechali, prawda?

48

Wtedy robotnik położył palec na ustach, nachylił się i zasyczał, psst! zrobił do mnie oko i szepnął, że to tajemnica państwowa, potem długo nic nie mówił, tylko patrzył na zdjęcie, obracał je na wszystkie strony, jakby nie dość dobrze widział, w tym czasie parę razy oblizał wargi, pokręcił głową, wyprostował się i krzyknął do drugiego robotnika, chodź no tu, Trojan, zobacz, nie uwierzysz!

Na to robotnik o imieniu Trojan odłożył na koc kawałek chleba, z którego właśnie odgryzł kęs, wstał i podszedł do nas. Robotnik o imieniu Feri bez słowa podał mi zdjęcie, dobrze się przypatrz, na pierwszy rzut oka nie widać, ale przyjrzyj się dokładnie, powiedział. Wtedy robotnik o imieniu Trojan równie długo zaczął oglądać zdjęcie, to z tej, to z tamtej strony, potem potrząsnął głową, co mam widzieć, spytał, nic nie widzę. Feri na to znowu oblizał usta, bo jesteś ślepy i tyle, stuknął palcem wskazującym w twarz mojego ojca, spójrz na jego usta, to zobaczysz, nikt inny tylko Kilof! Na co Trojan aż zmarszczył czoło, tak się wpatrywał w zdjęcie, potem nagle się uśmiechnął, do diabła, faktycznie, niech mnie szlag trafi, jeśli to nie Kilof! Robotnik o imieniu Feri pokiwał głową, zabrał Trojanowi zdjęcie, a więc Kilof, powiedział, spójrz tylko, jaki był młody, popatrz, ma jeszcze zupełnie gładką twarz, nie uwierzyłbym, gdybym nie zobaczył, potem zamilkł, spojrzał na mnie, no tak, jesteś synem Kilofa, powiedział, podał mi rękę, a kiedy ją ścisnąłem, drugą poklepał mnie po plecach, możesz być dumny z ojca, to bardzo porządny człowiek.

Bardzo mocno ścisnął mi rękę, ale nie bolało, znają go panowie? naprawdę go znają? spytałem. Trojan skinął głową, no, znamy, powiedział, zaraz tu będzie, to on przywiezie budę, w której będziemy mieszkać, oddał mi 49

wzrok i zobaczyłem, że nadjeżdża buda, ciągnęły ją dwa osły, jeden miał dzwonek na szyi, była to całkiem spora buda, pomalowana na szaro, z przodu, na dachu, siedział ktoś owinięty w koc, długim kijem poganiał osły, i wtedy łopata wypadła mi z ręki, patrzyłem na tę postać, miała na głowie ochronny kask górniczy, twarzy nie widziałem, sylwetka wydała mi się obca, buda zbliżała się, już była na boisku, a ja wciąż nie widziałem twarzy woźnicy, wygramoliłem się z dołu, stanąłem na skraju i czekałem, czułem, że drżą mi nogi, ręce zresztą też, i wtedy mężczyzna ściągnął lejce, osły zatrzymały się, zeskoczył na ziemię, widziałem więc tylko jego plecy, ale w ruchach rzeczywiście przypominał ojca, w tym jak trzymał głowę, wszyscy mnie obserwowali, również tych dwóch robotników, zrobiłem krok w stronę woźnicy, a on się nagle odwrócił i spojrzał na mnie, zrzucił z siebie koc i wtedy zobaczyłem jego twarz, całą usianą śladami ospy, rysy prawie zupełnie się zatarty, bo te ślady były bardzo głębokie i zlewały się, posmarowane w dodatku jakąś białawą maścią, od której cała twarz błyszczała się tłusto, kiedy spostrzegł, że na niego patrzę, uśmiechnął się, a ja chciałem zobaczyć tylko jego oczy i jego usta, a kiedy zobaczyłem, wiedziałem już, że to nie jest mój ojciec, że to nie może być mój ojciec, a jednak zrobiłem krok w jego stronę, jednak odezwałem się i powiedziałem - tatusiu! chociaż wiedziałem, że mam przed

sobą kogoś innego i że robotnicy kłamali, wypowiedziałem jednak to słowo, i dzięki temu, że je wypowiedziałem, przez chwilę czułem, że może się mylę, że może to jednak jest mój ojciec, bo wciąż się uśmiechał, i przez to jeszcze bardziej się wystraszyłem, czułem, jak cały robię się zimny, i wtedy wszyscy wokół mnie zaczęli się śmiać, Trojan

53

i Feri, obaj Prodanowie i cała reszta, również dziobaty robotnik, o którym wtedy już wiedziałem na pewno, że nie jest moim ojcem, kiedy usłyszałem wokół ten głośny śmiech, sięgnąłem do kieszeni i dotknąłem zdjęcia ojca, czułem, że za chwilę się rozpłaczę, zacisnąłem zęby, odwróciłem się i zacząłem biec w stronę naszego bloku, cały czas słyszałem, jak ze mnie rechoczą, nie wiedziałem, co powiem matce, wciąż tylko biegłem i biegłem, pragnąłem nigdy nie dobiec do domu.

MUZYKA

Siedziałem na ławce za naszym blokiem, na wzgórzu, wysoko koło ścieżki, waliłem połówką cegły w nit utrzymujący ostrze mojego nowego scyzoryka w kształcie ryby, było całkiem obłuzowane, kiedy w coś dźgałem, na przykład w drzewo, prawie zawsze się składało i bałem się, że obetnie mi palec, słowem, próbowałem je naprawić, ale cegła była za miękka, na próżno waliłem nią w nit, niczego nie działałem, miałem tylko spodnie i ręce całe w ceglany pył.

Po południu mało kto chodził tą ścieżką, siedziałem tam już z pół godziny i w tym czasie tylko wujek Miki przeszedł w stronę źródła, powiedziałem mu dzień dobry, bo się go nie bałem, chociaż inni opowiadali o nim różne rzeczy, o tym, co robił w czasie wojny, jeszcze zanim stracił wzrok, nieważne, dla mnie zawsze był miły, teraz też, kiedy mu powiedziałem dzień dobry, zatrzymał się i pomachał mi swoją białą laską, cześć, Dzata, powiedział, każdego od razu poznawał po głosie, mimo że był ślepy, wiedział lepiej od innych, gdzie się znajduje, miał ze sobą trzylitrowy dzban, wiedziałem, że idzie do źródła, ktoś mu kiedyś naopowiadał, że jeśli przez rok codziennie będzie

54

pił trzy litry wody z Królewskiej Studni, to odzyska wzrok, no więc oprócz niego nikogo nie spotkałem, siedziałem tam i waliłem w scyzoryk, rozmyślałem, jak to trudno być niewidomym, żyć w wiecznych ciemnościach, być zdanym tylko na laskę, i kiedy o tym myślałem, ktoś z tyłu nagle zakrył mi oczy.

Czekałem, aż spyta, zgadnij kto to, próbowałem się oczywiście domyślić, ale nieznajomy trzymał mocno, nic nie widziałem, miał dosyć duże dłonie, od razu wyczułem też woń tytoniu, którym śmierdziały mu palce, to nie mógł być Janika, on nigdy nie palił, ani Feri, bo wyje-

chał na tydzień do babci. Dobra, powiedziałem, Laci, puść mnie, widzisz, od razu zgadłem, że to ty, ale dłonie wciąż przyciskały mi oczy, odniosłem nawet wrażenie, że coraz mocniej, w porządku, nie jesteś Laci, powiedziałem, ale nie pogrywaj tak ze mną, bo jak nie pytasz kto to, skąd mam wiedzieć kto?

Nawet wtedy się nie odezwał, tylko zaczął wolno ciągnąć moją głowę do tyłu, aż mi się szyja naprężyła, a plecy przywarły do oparcia ławki, idź do diabła, kurwa, co jest, powiedziałem, nie oszukuj, bo oberwiesz, lecz nawet wtedy mnie nie puścił, próbowałem uchylić głowę, ale trzymał mocno, powiedziałem, żeby uważał, bo mam przy sobie nóż, i nagle poczułem na szyi jego oddech, kiedy nachylił mi się do ucha i szepnął, tak, Dżata, masz nóż, w tym właśnie problem, bo to nie jest twój nóż, ty ten nóż wyłudziłeś od mojego młodszego brata, no więc kiedy usłyszałem ten głos, od razu wiedziałem, że to Duży Prodan.

Natychmiast powiedziałem, dobra, Prodan, oddam ci, zaraz ci oddam, tylko mnie puść, bardzo się wystraszyłem, Duży Prodan był najsilniejszym chłopakiem w dzielnicy,
55

kiedy go wyrzucili ze szkoły, ojciec posłał go do pracy na budowie i tam nabrał siły, mógł wlać każdemu, nikogo się nie bał, a więc Prodan zdjął wtedy dłonie z moich oczu, lecz zaraz jedną ręką założył mi nelsona i pociągnął w tył tak, że nie mogłem złapać powietrza, drugą w tym czasie wyrwał mi scyzoryk. Powinienem rozkwasić ci mordę, powiedział, po czym puścił moją szyję, okrążył ławkę, stanął przede mną, miał zarzuconą na ramię dużą, kanciastą torbę, taką jak szkolna teczka tylko większą, zdjął ją, położył na brzegu ławki, obok mojej teczki, po czym wytarł o spodnie scyzoryk, zobacz, co z nim zrobiłeś, powiedział, być może teraz ci daruję, ale jak jeszcze raz się dowiem, że grałeś w karty z moim młodszym bratem, zabiję cię, zrozumiałeś, teraz ci tylko zabiorę pieniądze, a więc wyciągaj z kieszeni, ile tam masz, nic nie odpowiedziałem, tylko potrząsnąłem głową, wiedziałem, że nie mam pieniędzy, sięgnąłem jednak do kieszeni, niczego rzecz jasna nie znalazłem, i wtedy powiedziałem Prodanowi, że nie mam pieniędzy, lecz gdybym miał, dałbym mu, słowo honoru, dałbym i jeśli z dzień poczeka, to może zdobędę trochę, teraz jednak naprawdę nie mam, na to Prodan potrząsnął głową, nie kłam, Dżata, powiedział, potem dał mi znak scyzorykiem, żeby wstał z ławki, pokazał też, gdzie mam stanąć, tam, na środku ścieżki, a teraz zobaczymy, czy nie zabrzęczysz, powiedział, no, poskacz trochę, skinął ręką, że mogę zaczynać, w górę w dół, w górę w dół, rzeczywiście nie miałem przy sobie ani grosza, mogłem więc skakać spokojnie, wiedziałem, że nic mi w kieszeni nie zadzwoni, Prodan też pewnie

wiedział, a jednak kazał mi skakać ze dwie minuty, cały się zgrzałem, kiedy wreszcie pomachał, że mogę przestać,
56

czułem, że jestem spocony jak mysz, dobra, widzę, że nie kłamałeś, powiedział, możesz usiąść.

Pokręciłem głową, że nie mogę zostać, muszę iść do domu, ale Prodan tylko machnął ręką, do chuja, Dżata, powiedziałem, że możesz usiąść, po czym walnął dłonią w ławkę, usiadłem więc, lecz nie patrzyłem na Prodana, tylko na swoje popękane tenisówki, czekałem, co będzie dalej, Prodan dłuższą chwilę milczał, potem jednak spytał, czy to prawda, że przez dwa lata uczyłem się grać na pianinie. Miałem wrażenie, że się przesłyszałem, nie próbowałem jednak dociekać, tylko skinąłem głową, przypomniałem sobie swoją nauczycielkę muzyki i jej trzecinową pałeczkę, którą od czasu do czasu waliła mnie po ramieniu albo po rękach, gdy nie trzymałem ich, jak należy. Spojrzałem na Dużego Prodana, to nawet nie był rok, bo kiedy zabrali mojego ojca, powiedziałem, musieliśmy sprzedać pianino, potrzebne nam były pieniądze, na co Prodan klepnął mnie w plecy, do chuja, Dżata, rok się uczyłeś, to musisz bardzo dobrze grać, będziesz mnie uczył, bo za miesiąc lato, sezon ślubów, do tego czasu muszę się nauczyć, koniecznie muszę.

Potrząsnąłem głową, to niemożliwe, powiedziałem, miesiąc to tyle co nic, ja sam zresztą niewiele umiem, zdążyłem się nauczyć tylko Marsza tureckiego, i też nie za bardzo, kiedy to mówiłem, omal nie zacząłem się śmiać, Duży Prodan miał ręce jak łopaty, a pięści całe w bliznach od ciągłego noszenia cegieł i bicia się, próbowałem zapanować nad śmiechem, masz za duże ręce do gry na pianinie, powiedziałem, kąciki ust same podnosiły mi się do góry, nie chciałem jednak, żeby Prodan walnął mnie w brzuch, więc się nie roześmiałem, żeby grać na pianinie, trzeba
57

co najmniej trzech lat, powiedziałem. Prodan zarechotał, nie wygłupiaj się, Dżata, na rowerze można się nauczyć jeździć w trzy dni, a ja przecież nie chcę grać na pianinie, skąd bym wziął pianino, chcę, żebyś mnie nauczył grać na tym, i stuknął łokciem w czarną, wielką teczkę, którą wcześniej położył obok siebie na ławce, na tej kurewskiej harmonii, na niej, powiedział i znowu stuknął łokciem w teczkę, a potem, trzymając za pasek, wciągnął ją sobie na kolana, otworzył i wyjął z niej akordeon, proszę, powiedział, ojciec gdzieś skombinował, chce mnie teraz zabrać z budowy i posłać do gry na weselach, bo mówi, że z tego jest kupa forsy, granie to zresztą żadna praca, łatwo się wzbogacimy.

Spojrzałem wtedy na harmonię i odechciało mi się śmiać, to się pewnie cieszysz, powiedziałem, bo na budo-

wie nie miałeś lekko, ale Prodan tylko potrząsnął głową, z początku się cieszyłem, powiedział, możesz sobie wyobrazić jak, problem jednak w tym, że nie słyszę dźwięków, zupełnie ich nie rozróżniam, a dzisiaj nauczyciel powiedział, że skoro nie ćwiczę, to mam więcej nie przychodzić, zajmował się mną tylko po znajomości, na lewo, bo kiedy mnie wyrzucili ze szkoły, zabrali mi czerwoną chustę, od tamtej pory nie mogę więc chodzić do domu pioniera, a ten nauczyciel tam właśnie uczy, i dlatego ty będziesz mnie teraz uczył zamiast niego, jak nie chcesz, żebym ci wlał, ale nie ucz mnie akordów, tylko pokaż, jak mam poruszać palcami i kiedy jaki klawisz nacisnąć, żeby wydobyć dźwięk, tego na pewno się nauczę, bo jestem bardzo zręczny w rękach, no a muszę się nauczyć, rozumiesz, Dżata, muszę. Pod koniec już prawie krzyczał, lecz tym razem nie tak, jak kiedy kazał mi skakać, nie tak głośno, za to straszniej,

58

a ja nie wiedziałem, co powiedzieć, patrzyłem tylko na harmonię, była całkiem spora, miała mnóstwo guzików i klawiszy, wiedziałem, że Prodan za chwilę mi ją poda i każe zagrać jakąś piosenkę, coś do tańca, jakąś ładną, weselną melodię, a wtedy okaże się, że nie potrafię, i Prodan nie uwierzy, że naprawdę nie umiem, będzie myślał, że robię to specjalnie, bo nie chcę go nauczyć, i mnie spierze, znokautuje kastetem, widziałem, że Prodan czeka, bym coś w końcu powiedział, miałem jednak zupełnie ściśnięte gardło, ciągle patrzyłem na harmonię, na czarne szpary w plisowanej części, która się składa, i na okucia, dopiero po chwili się odezwałem, bardzo duża, bardzo, bardzo duża ta harmonia, powiedziałem, sam byłem zaskoczony tym, co mówię, to instrument dla dorosłego człowieka, Prodan skinął głową, właśnie, powiedział, chciał coś jeszcze dodać, lecz ugryzł się w język, musiał coś zobaczyć, bo nagle zatkał sobie usta ręką, mnie również dał znak, żebym milczał, chociaż wcale nie zamierzałem się odzywać, ostrożnie obejrzałem się jednak za siebie, bo chciałem zobaczyć, dlaczego Prodan zamilkł, a to tylko wujek Miki wracał od źródła, białą laską badał przed sobą ścieżkę.

Prodan złapał mnie za ramię, żebym się nie ruszał, wtedy przypomniałem sobie nagle, gdzie już widziałem tę harmonię, na szyi wujka Mikiego, to była jego harmonia, latem grywał na niej na rynku, koło pomnika jeźdźca, zarabiał w ten sposób na piwo, wino, na palinkę, ludzie wrzucali mu drobne do kapelusza, wskazałem ruchem głowy wujka Mikiego i ściągnąłem brwi, w ten sposób bez słowa spytałem Prodana, czy mam rację, czy to naprawdę harmonia wujka Mikiego, i z tego, jak potrząsnął głową, od razu wiedziałem, że tak, że to jego harmonia, lecz kiedy Prodan się poruszył,

59

pas spinający harmonię odpiął się nagle i harmonię wypeł-

niło powietrze, wydała z siebie cichy dźwięk, a wtedy wujek Miki się zatrzymał, odwrócił, widziałem, jak przechyliła głowę i nasłuchuje, tymczasem harmonia omal się nie zsunęła, gdy jednak Prodan ją łapał, by nie upadła, znowu zadzwieczyła, stary ruszył wówczas w kierunku ławki i stanął przed nami, proszę o zwrot, powiedział, proszę o zwrot mojej harmonii, i wyciągnął do przodu białą laskę, jakby chciał nią zastukać w instrument, wtedy jednak Prodan złapał za koniec laski i wyrwał ją z ręki starego, to już nie pana harmonia, to harmonia, którą mój ojciec wygrał od pana w tryktraka, powiedział, nie trzeba było z nim grać, na co stary machnął ręką, wielka mi rzecz ograć niewidomego człowieka, ja po odgłosie muszę zgadywać, ile wyrzucam kostką, twój ojciec oszukiwał, jak chciał, sam o tym wiesz, oddaj mi mój akordeon, zrobił krok w stronę ławki, wtedy jednak Prodan dźgnął go końcem białej laski w brzuch, niech pan uważa, bo przyłożę panu tą laską tak, że się pan nie pozbiera, rozbije pan sobie głowę i nie wiadomo, co będzie, powiedział, stary zwrócił się wtedy do mnie, widziałem grymas na jego twarzy, Dżata, synku, jesteś tu jeszcze, spytał, powiedziałem, że tak, chciałem dodać niestety, lecz tylko tak pomyślałem, to dobrze, podaj mi więc grzecznie moją harmonię, nie podałem rzecz jasna, powiedziałem, że to niemożliwe, wtedy wujek Miki potrząsnął głową, boisz się tego zasańca Prodana, spytał, nie odpowiedziałem, Prodan odpowiedział za mnie, boi się, powiedział, a co, pan się nie boi, na co wujek Miki bez słowa zrobił krok w stronę ławki, zdjął swoje czarne okulary, ja się nie boję, powiedział, ja byłem żołnierzem i nie raz już patrzyłem śmierci w oczy.

60

Nigdy jeszcze nie widziałem wujka Mikiego bez czarnych okularów, nie chciałem patrzeć w tamtą stronę, nie chciałem widzieć, co ma z oczami, jakoś jednak musiałem tam spojrzeć i zobaczyłem, że miał tylko dwie czarne dziury zamiast oczu, nawet powiek mu brakowało, jego głowa przypominała czaszkę, ciemne oczodoły ziały pustką, wydawały się bardzo głębokie, Duży Prodan też spojrział i biała laska wypadła mu z ręki, nic nie powiedział, wtedy stary sięgnął i wymacał harmonię, zabrał ją z kolan Prodana, potem postawił na ziemi dzban i zarzucił sobie harmonię na ramiona, a kiedy się z tym uporał, założył na nos okulary, dopiero wtedy Prodan odzyskał głos, niech pan odda, powiedział, bo mój ojciec panu pokaże, ale wujek Miki nic na to nie powiedział, tylko położył ręce na guzikach i klawiszach i rozciągnął harmonię, a kiedy ją ściągnął i zaczął grać, miałem wrażenie, że jego dłonie są nieruchome, za to harmonia brzmi bardzo głośno, była to hałaśliwa dzika muzyka, czułem, że wybijam ręką rytm, że mimowolnie wystukuję go stopami, wtedy jednak wujek

Miki nagle złożył harmonię i zapadła cisza. Co zrobiłeś z tą biedną harmonią, spytał Prodana, nie brzmi już jak dawniej.

Prodan wzruszył ramionami, może to tylko pan zapomniał, jak na niej grać, powiedział, trzeba jednak przyznać, że i tak nieźle panu wychodzi. Ale teraz to niech pan mi już odda harmonię, bo jak nie, to powiem ojcu i może mnie się pan nie boi, ale ojca na pewno, bo mojego ojca wszyscy się boją.

Widziałem, jak wujek Miki potrząsa głową, twój ojciec to tchórzliwe zero, powiedział, ty też nie jesteś lepszy, zresztą po co ci ten instrument, i tak nie wiesz, co z nim zrobić,
61

nie umiesz na nim grać. Prodan cały poczerwieniał, pan mnie nauczy, powiedział, spojrzął na mnie, zamierzałem poprosić Dżatę, ale pan będzie lepszy. Zagram potem ludziom do tańca, niech się bawią. Wujek Miki potrząsnął głową, myślisz, że jesteś w stanie, sądzisz, że zdołasz się nauczyć, znowu potrząsnął głową, no, to zobaczymy, powiedział i skinął na Dużego Prodana, by ten podszedł, zobaczmy, czy będzie z ciebie muzyk.

Prodan z początku nie chciał, ale wujek Miki krzyknął na niego, co jest, nawet do tego brak ci odwagi? Wtedy Prodan podniósł się i podszedł do starego, ten tymczasem zdjął harmonię z ramion, a gdy Prodan był już przy nim, złapał go za ramię i przyciągnął do siebie, znowu powiedział, żeby się nie bał, wcisnął mu w rękę harmonię i kazał założyć na ramiona, Prodan posłuchał, wtedy wujek Miki stanął tuż za nim, położył ręce na rękach Prodana, kazał mu się rozluźnić, po czym obaj dotknęli klawiszy i guzików, wujek Miki zaczął poruszać palcami Prodana, harmonia zadźwięczała, najpierw wydobywały się z niej dźwięki bez ładu i składu, potem powoli ułożyły się w melodię, z początku jej nie poznałem, później jednak domyśliłem się, co to za pieśń, wojskowa, kiedy byłem mały, mój ojciec też ją śpiewał, lecz nie pamiętałem tekstu, tylko melodię, słowem, grali właśnie tę pieśń, choć niedokładnie, dźwięki jakoś się obsuwały, rytm również się zmieniał, cała piosenka była wolniejsza, nie taka żwawa, wtedy wujek Miki pochylił się do ucha Prodana i coś mu szepnął, harmonia na chwilę niemal zamilkła, tylko jeden dźwięk wybrzmiewał długo, falująco, wciąż stojąc za Prodanem, wujek Miki oparł się brodą o jego ramię i widziałem, jak Prodan zamyka oczy, nagle zaczęli grać nową piosenkę, nigdy wcześniej jej nie
62

słyszałem, była to bardzo skomplikowana melodia, pełna nieoczekiwanych, zmiennych akordów, brzmiała jak połączenie dwóch różnych melodii, nie przypuszczałem, że z akordeonu można wydobyć coś takiego, wujek Miki zaczął powoli kiwać głową w rytm, tymczasem melodia sta-

wała się coraz szybsza, widziałem, jak palce Prodana i palce wujka Mikięgo wędrują po klawiszach, czasem nie wiedziałem, które są czyje, miałem wrażenie, że Prodan sam gra, że wujek Miki już nim nie kieruje, wydawało mi się nawet, że obaj tańczą, całym ciałem podrygiwali w takt muzyki, wyglądało, jakby skakali w miejscu, wujkowi Mikięmu czarne okulary nieomal zsunęły się z nosa, tymczasem melodia zabrzmiała jeszcze głośniejsz, wtedy Prodan nagle otworzył oczy i twarz mu się wykrzywiła, oderwał ręce od klawiszy, coś krzyknął, przez dźwięki muzyki nie słyszałem co, ale było to pewnie jakieś przekleństwo, bo parę razy kopnął za siebie, próbował też łokciem uderzyć wujka Mikięgo, chyba jednak stary mocno go trzymał, Prodan nijak nie mógł się uwolnić, zrobił potem krok w przód, usiłował się odwrócić, harmonię cały czas miał na ramionach, a kiedy wreszcie udało mu się wyswobodzić, nie zapadła cisza, instrument wciąż pojękiwał, teraz już jednak słyszałem, co Prodan wrzeszczy, klął, posyłał wujka Mikięgo do kurwy nędzy, wyzywał od najgorszych, stary omal nie upadł, odepchnięty przez Prodana, i też zaczął krzyczeć, że Prodan jest tchórzem i nigdy nie nauczy się grać na harmonii, nigdy w życiu, bo nie starczy mu wytrwałości, Prodan wtedy przyskoczył do starego, zabiję cię, ty pieprzony pedale, widziałem, jak sięga do kieszeni i wyciąga scyzoryk, wujek Miki chyba czuł, na co się zanosi, bo próbował się uchylić, machał na oślepie rękami, Prodan jednak

63

dźgnął go nożem prosto w brzuch, wtedy obaj krzyknęli, wujek Miki opadł zgięty wpół na harmonię, zaraz jednak zrobił krok do tyłu, potknął się o dzban i znowu omal nie upadł, a Prodan podniósł rękę do ust, widziałem, że ma palce całe we krwi, scyzoryka nigdzie nie było, zauważyłem go dopiero, gdy Prodan się do mnie odwrócił, tkwił wbity w plisę harmonii, wtedy już wiedziałem, co się stało, nóż się złożył i skaleczył Prodana w rękę, musiał się wbić w harmonię, kiedy wujek Miki poleciał do przodu, słowem, tak to się mniej więcej odbyło, tymczasem wujek Miki złapał swój dzban i na czworakach poczołgał się do ścieżki, kiedy ją znalazł, wstał i bez laski ruszył w stronę bloków, szedł szybko, prawie biegł, a Prodan usiadł na ziemi, owinał sobie zranioną dłoń w rękaw koszuli i dyszał, potem spojrział na mnie, powiedział, że jak się dowie, że komuś powiedziałem o tym, co widziałem, to mnie zabije, powiedziałem, w porządku, nikomu nie powiem, Prodan zdjął z ramion harmonię i wtedy zobaczył, gdzie wbił się nóż, zaklął, wyciągnął go i wstał, biała laska wujka Mikięgo nadal leżała koło ławki, Prodan schylił się, podniósł ją, potem znowu usiadł obok mnie, popatrzył za wujkiem Mikięm, chuj z tym muzykowaniem, powiedział, po czym złamał o kolano białą laskę i oba kawałki rzucił za siebie.

LICZBY

Zgodnie z zapisem w dzienniku miałem w tym tygodniu dyżurować z Szabim, ale Szabi jeszcze w maju wpadł do rowu na budowie i tak nieszczęśliwie złamał nogę w kostce, że musieli go trzy razy operować, trafił do szpitala i codziennie ktoś inny zanosił mu lekcje, zostałem więc dyżurnym razem z Izą, bo ona była na liście zaraz za Szabim. Nigdy przedtem nie rozmawiałem z Izą, przyszła do nas dopiero w czwartej klasie i od razu została najlepszą uczennicą, ale jakoś nie można się było z nią bawić, nikt więc jej nie lubił, właściwie to nawet nie miała przyjaciółki, głównie dlatego że nauczyciele ciągle mówili, byśmy brali z niej przykład, taka pilna, wygrywa wszystkie szkolne konkursy wiedzy, mimo że sierota, bo kiedy była jeszcze całkiem małą, jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym i wychowywał ją wuj, o którym wszyscy w mieście wiedzieli, że to bestia, nawet ze straży pożarnej go wyrzucili, bo kiedyś w złości omal kogoś nie zabił, na próżno. Jednak wypytywałem Izę, nigdy nie opowiadała nam niczego o swoich przybranych rodzicach ani o udrękach, jakich doznawała od ojczyma, chociaż dziewczyny mówiły, że ma całe plecy w siniakach i krwawych pręgach,

65

Iza jednak nigdy nic na ten temat nie mówiła, z czasem przestaliśmy więc pytać, byłem zmartwiony, że muszę z nią dyżurować, bo z Szabim zwykle ganialiśmy się i rzucaliśmy kredą, teraz jednak wiedziałem, że będzie dobrze, jeśli Iza nie powie wychowawcy o tym, że nie sprzątam. Dyżurni muszą na początku każdej lekcji wyjść na środek klasy, stanąć koło katedry i czekać na nauczyciela, żeby mu złożyć meldunek, kto jest nieobecny, kiedy więc rozległ się dzwonek na drugą lekcję i staliśmy tam, czekając na matematyka, poczułem nagle jakiś słodki zapach, coś jak zapach kwiatu, choć niezupełnie, z początku nie wiedziałem, co to jest, ale potem spojrzałem na Izę, właśnie poprawiała spódnicę i kiedy wpychała sobie za pasek białą pionierską bluzkę, zobaczyłem skrawek jej ciała w talii, wydawało mi się nawet, że widzę jakąś siną plamę, może liwe jednak, że to był tylko ślad po gumce od rajstop, cały czas czułem ten zapach, przyszło mi wtedy do głowy, że to musi być zapach dużej panny, bo Feri opowiadał, że dziewczynki dorastają zwykle w szóstej klasie, rosną im wtedy piersi i zaczynają inaczej pachnieć, właśnie dlatego że stają się dużymi pannami, Iza rzeczywiście miała już spore piersi, prawie jak średnie brzoskwinie, pomyślałem, że Iza jest już dużą panną i że zapach, który czuję, to zapach dużej panny, w chwili, gdy na to wpadłem, wszedł ujek Kii des, nauczyciel od matmy, klasa wstała, a on podszedł do katedry, z całej siły, jak zwykle, walnął dziennikiem, po czym spojrzał na nas w oczekiwaniu na meldunek, ja powi

nieniem zacząć, ale jakoś nic nie przychodziło mi do głowy stałem jak niemowa, wtedy na szczęście Iza zrobiła krodo przodu, zaszalowała i powiedziała, towarzyszu profesorze, melduję stan klasy i tak dalej, nie zwracałem na to

66

uwagi, bo patrzyłem na szyję Izy, miała długie, rozpuszczone, czarne włosy przewiązane wstążką, nigdy przedtem nie zauważyłem, że nosi kolczyki, teraz jednak widziałem, że ma w uszach małe, niebieskie kamyczki, Iza tymczasem wyliczyła nieobecnych i zakończyła meldunek, Klides go przyjął i powiedział, że możemy siadać.

Kiedy wracaliśmy na miejsce, znowu poczułem ten zapach, choć już nie tak wyraźnie, czułem go też trochę, gdy usiadłem i otworzyłem zeszyt, pomyślałem więc o Izie, spojrzałem tam, gdzie siedziała, na ławkę dla prymusów, i przyszło mi do głowy, że odkąd zabrali ojca, tak naprawdę sam jestem półsierotą, i zastanowiłem się nagle, jak też Iza może wyglądać bez ubrania, czy rzeczywiście ma na ciele siniaki i jakie ma uda, bo Feri mówił niedawno, że gołe dziewczyny są bardzo interesujące, ale ja powiedziałem, że to nieprawda, bo dla mnie wszystkie są jednakowe, wtedy Feri mnie wyśmiał, powiedział, że o niczym nie mam pojęcia, jestem kompletnym idiotą, widać, że nie miałem jeszcze kochanki, za to on trzy razy już widział gołe dziewczyny, a jedna z kuzynek pozwoliła mu nawet dokładnie przyjrzeć się temu, co ma między nogami, i ta kuzynka miała tam sporo włosów, cały czas patrzyłem na Izę, na to, jak lekko przechyla głowę, kiedy pisze, nie mogłem sobie jednak wyobrazić tego, co ma między nogami, co zakrywają majtki, chociaż kiedy rozmawialiśmy, Feri spytał mnie, czy widziałem już cipę, a ja powiedziałem, że widziałem, pewnie, że widziałem, chociaż tak naprawdę wcale nie, widziałem tylko tę rycinę w podręczniku do anatomii dla siódmej klasy, którą nam, młodszym, ci z siódmej pokazują za pieniądze, a kiedy Feri spytał, czy W cipę widziałem, opowiedziałem mu, że kiedyś, kiedy

67

miałem osiem lat, poszliśmy z ojcem na basen i wtedy zauważyłem, że pod ścianą przebieralni można przejść do szatni dla kobiet, dorosły mężczyzna oczywiście by się nie zmieścił, ale ja się zmieściłem, i schowałem za zasłoną pod damskimi prysznicami, i co najmniej z pięćdziesiąt kobiet sobie podglądałem, a potem, kiedy wróciłem do męskiej szatni, omal mnie nie złapali, ale byłem na szczęście mocno namydlony i łatwo się wyśliznąłem, wtedy Feri spytał mnie, czy widziałem też blondynki i rude kobiety, na co powiedziałem, że jasne, wtedy spytał, czy między nogami mają włosy w tym samym kolorze co na głowie, a ja powiedziałem, że oczywiście, dokładnie takie same, ale Feri mi nie uwierzył.

Kiedy o tym myślałem, patrzyłem na Izę, tymczasem ujek Klides zaczął coś objaśniać, jakieś zadanie, narysował na tablicy trójkąt równoramienny, chciał udowodnić, że dwusieczna kąta dzieli boki tego trójkąta na równe części, no i jak patrzyłem na ten równoramienny trójkąt, to znowu przyszła mi do głowy cipa, bo wiedziałem, że cipa jest trójkątna i że należy ją rysować właśnie tak, jak się rysuje trójkąt, i wtedy ostrożnie obróciłem zeszyt, bo trójkąt skierowany był w złą stronę, a tak zmieściły się u góry dwa półkola, które dorysowałem jako cycki, bo Feri mówił, że ten, kto umie narysować cipę, ten z całą gołą kobietą sobie poradzi, wtedy spróbowałem dorysować boki, w miejscu, gdzie talia się zwięza, ale rysunek nie bardzo mi wyszedł, wcale mi się nie podobał, zacząłem więc cieniować ten trójkąt, cały czas patrząc na Izę, jak przepisuje z tablicy to, co ujek Klides napisał, z miejsca, gdzie siedziałem, w środku rzędu, nie było widać jej piersi, tylko plecy, ramiona i twarz z boku, kiedy tak patrzyłem, raz się niemal obejrzała, na 68

pewno wyczuła, że na nią patrzę, wtedy pomyślałem, że zaraz spojrzy na mnie, poczułem, że się czerwienię, szybko odwróciłem głowę i wtedy zobaczyłem, że zbliża się ujek Klides, miał zwyczaj zachodzić nas z tyłu i walić po głowie tych, o których sądził, że nie uważają, szybko więc przewróciłem kartkę i zacząłem przepisywać ostatnie zdanie z tablicy, jakbym zaczynał od nowej strony, a kiedy ujek Klides stanął przy mnie, plasnął mnie tylko w kark, co nie było prawdziwym uderzeniem, sądziłem więc, że mi się upiekło, tym bardziej że minął już moją ławkę, wtedy jednak sięgnął za siebie, chwycił mnie za ucho i pociągnął tak, że omal mi go nie urwał, krzyknąłem z bólu, jednocześnie usłyszałem, jak ujek Klides cedzi przez zęby, żebym wziął zeszyt, wziąłem więc, a on ciągnął mnie za ucho w stronę katedry i mówił, że możliwe, iż nie zauważyłem, że to nie jest lekcja rysunków tylko matematyki, on mi jednak pomoże to zauważyć, mogę być o to spokojny, wyrwał mi z ręki zeszyt, otworzył i pokazał klasie mój rysunek, tak, żeby wszyscy widzieli, powiedział też, że powinienem się wstydzić, a kiedy mijał katedrę, znowu pociągnął mnie za ucho, potknąłem się i z trudem odzyskałem równowagę, usłyszałem wtedy, jak wszyscy się ze mnie śmieją, ujek Klides zaś, nie puszczać mojego ucha, prowadził mnie prosto do kosza na śmieci, dopiero tam mnie puścił i kopnął w kosz, wszystkie papiery, ogryzki i strużyny wyspały się na podłogę, wtedy już wiedziałem, jaka kara mnie spotka, ujek Klides zresztą uściślił, że od tej chwili do końca lekcji będę świętą figurą do drugiej potęgi, co oznaczało, że muszę stanąć na odwróconym koszu i do końca lekcji stać tam z rękami uniesionymi wysoko, na jednej nodze, mnożąc w Pamięci dwa przez dwa, następnie wynik znowu przez

dwa i znowu, i znowu, tak, żeby na koniec lekcji otrzymać liczbę co najmniej dziesięciocyfrową, bo jeśli nie, to ujek Klides automatycznie wlepi mi tyle dwój, ile mi zabraknie do dziesięciocyfrowej liczby, było to bardzo trudne i jeszcze nikomu się nie udało, bo do czterech tysięcy dziewięćdziesięciu sześciu każdemu jakoś szło, potem jednak nie było już łatwo porachować w głowie te liczby.

Kiedy stanąłem na koszu, podniosłem ręce i odpowiednio rozcapierzyłem palce, bo ujek Klides zawsze powtarzał, że pomnikowy święty musi trzymać ręce tak, by ptaki, jeśli zechcą, mogły sobie uwić w nich gniazdo, zobaczyłem, że Iza na mnie patrzy, kosz znajdował się tuż przy ławce dla prymusów, tymczasem ujek Klides oparł się o katedrę i dalej tłumaczył zasadę podobieństwa trójkątów, że podobne nie znaczy identyczne, próbowałem liczyć, nawet pomnożyłem przez dwa cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć, cały czas jednak patrzyłem na Izę, miała grube, brązowe rajstopy i czarne buty z paskiem, kiedy tak patrzyłem, poczułem, że robi mi się gorąco, nawet plecy zaczęły mnie swędzieć, a szkolna koszula wpijała mi się w szyję, chociaż czerwoną chustę pioniera miałem luźno zawiązaną, próbowałem pomnożyć przez dwa trzydzieści dwa tysiące siedemset sześćdziesiąt osiem, Iza bardzo ładnie pisała, widziałem, jakie piękne, równe litery stawia, siedziała sama w ławce dla prymusów, zauważyłem, że doszła do końca strony, a kiedy odwróciła kartkę, okazało się, że na drugiej stronie nie ma marginesu, wyciągnęła więc linijkę, przyłożyła do kartki, przepisowo, cztery kratki od brzegu, zanim jednak pociągnęła margines, spojrzała w górę, prosto na mnie i uśmiechnęła się, wtedy straciłem rachubę, nie wiedziałem dwieście sześćdziesiąt tysięcy

70

.ile, poczułem, że się czerwienię, gdy potem Iza rysowała margines, obsunęła się jej linijka i koniec ołówka zjechał z kartki, wtedy dostrzegłem, że Iza również się czerwieni, spuściła głowę, wciąż stałem na koszu z uniesionymi rękami i nagle przyszło mi do głowy, że jestem zakochany, o mało nie spadłem, szybko wróciłem do sześćdziesięciu pięciu tysięcy pięciuset trzydziestu sześciu, próbowałem znowu od tego zacząć, ale rozboleły mnie ramiona, ledwie już mogłem utrzymać je w górze, nie wiedziałem, ile czasu zostało do przerwy, usiłowałem nie patrzeć na Izę, raczej na klasę, żeby móc skupić się na mnożeniu, ale jakoś ciągle wracałem spojrzeniem do Izy, chciałem wiedzieć, czy jestem zakochany, bo nigdy dotąd nie byłem tak naprawdę zakochany, a Iza wysunęła do przodu nogę, wtedy zauważyłem, że jej niebieska szkolna spódnica podjechała do góry i odsłoniła kolano, i kawałek uda, wtedy znowu przyszło mi do głowy to, co Feri opowiadał o ci-

pie, że widział raz gołą murzynkę i że ona miała zupełnie białe włosy w tym miejscu, takie jak człowiek, który osi-
wiał, mówiąc szczerze, nie wierzyłem mu, no i wtedy Iza
znowu na mnie spojrzała, teraz już bez uśmiechu, tylko
tak po prostu podniosła wzrok, a ja się zawstydziłem, że
myślę o takich rzeczach, i próbowałem znowu skupić się
na liczeniu, wtedy już jednak ręce i ramiona bolały mnie
potwornie, zrobiłem się też głodny, pomyślałem o swoim
drugim śniadaniu, o chlebie z dżemem morelowym, ujek
Klides nadal objaśniał trójkąty, a ja znowu pomyliłem się
w mnożeniu, ostatnia liczba, którą jeszcze na pewno pa-
miętałem, to sto trzydzieści jeden tysięcy siedemdziesiąt
dwa, lecz bardzo już chciałem opuścić ręce, zobaczyłem,
że chłopcy zaczynają się wiercić, niedługo więc pewnie
71

rozlegnie się dzwonek, wiedziałem, że niewiele mi zostało,
że mimo wszystko wytrzymam, jak Filimon Sirbu, który
w czasie strajku cały czas nakręcał syrenę, a kiedy trafiła
go salwa imperialistów, ostatnim wysiłkiem woli przy-
wiązał się chustą do syreny, by nawet swoim martwym
ciałem służyć sprawie i zagrzewać towarzyszy do walki,
ja niestety nie miałem chustki, poza tym nie miałbym
do czego przywiązać sobie przegubów, stałem więc dalej
i próbowałem liczyć, ale zupełnie mi już nie szło, wtedy
ujek Klides spojrzał na mnie i powiedział, że zaraz będzie
dzwonek, czas więc sprawdzić, jakie owoce wydało boskie
wsparcie u naszego lokalnego świątka, bo widzi, że bociany
nie uwiły sobie gniazda na moich rękach, co jeszcze nie
znaczy, że w mojej głowie nie wydarzyły się cuda, i żebym
się tak nie gapił, bo wykopie mi kosz spod nóg, tylko że-
bym grzecznie podał liczbę, do której doszedłem, ale mnie
już wtedy tak bolały ramiona, że nawet nie pamiętałem
końcówki sześćdziesięciu pięciu tysięcy iluś tam, nic więc
nie powiedziałem, kątem oka jednak spostrzegłem, że Iza
znowu na mnie patrzy i że coś mi bezgłośnie podpowiada,
nawet udało mi się odczytać z jej ust, że to miliard sie-
demdziesiąt trzy miliony siedemset czterdzieści tysięcy
osiemset dwadzieścia cztery, od tego jednak, że mi podpo-
wiada, tak się zmieszałem, że nie mogłem wydobyć głosu,
choć naprawdę gładko czytałem z jej warg, stałem więc
tylko z wyciągniętymi rękami na tym odwróconym koszu
i czułem, jak pali mnie twarz, nie odezwałem się słowem,
w końcu ujek Klides powiedział, że nie ma sprawy, on dał
mi szansę, ale jak nie, to nie, gdy to mówił, uśmiechał
się, po czym wykopał spode mnie kosz, wtedy rozległ się
dźwięk dzwonka.

72

Dosyć paskudnie upadłem, do tyłu i trochę na bok, stłu-
kłem sobie przede wszystkim pupę i łokieć, upaprałem
też szkolne ubranie, poza tym na podłodze dużo głośniej

słyszałem dzwonek. Ujek Klides spojrział na mnie, powiedział, że ładny ze mnie dyżurny, po czym wziął dziennik pod pachę i wyszedł z klasy, przedtem jednak powiedział, żebym się przygotował, na następnej lekcji będę pytany, ale puściłem to mimo uszu, bo widziałem, że Iza znowu na mnie patrzy i się uśmiecha.

Była duża przerwa, wszyscy więc szybko wyszli z klasy, tylko Feri podszedł do mnie i powiedział, że jak chcę, to zostanie, pogramy sobie na pieniądze, ale powiedziałem, że nie mam pieniędzy, na co on, że nie szkodzi, mogę mu sprzedać swoje śniadanie i będziemy mieli czym grać, powiedziałem jednak, że nie sprzedam, bo jestem głodny, wtedy on również wyszedł i już tylko my z Izą zostaliśmy w klasie.

Iza otworzyła okna, w tym czasie ja ustawiłem kosz na śmieci, ale spodnie nadal miałem całe w strużynach, próbowałem je otrzepać, wtedy Iza podeszła i powiedziała, że również z tyłu mam ich pełno, żebym się więc odwrócił, po czym zaczęła otrzepywać mi plecy, wtedy poczułem, że znowu się czerwienię, powiedziałem, że dobrze jest, jak jest, niech już da spokój, i odsunąłem się, ale nawet przez szkolną kurtkę czułem, jaką ma ciepłą dłoń, pomyślałem jednak, że na próżno jestem zakochany, skoro i tak nie śmiałybym jej wziąć za rękę, podziękowałem, że mi podpowiadała, ale ona popatrzyła na mnie jak ktoś, kto nie rozumie, o co chodzi, i powiedziała, że ona nic takiego nie zrobiła, bo nie ma zwyczaju podpowiadać, powiedziałem jednak, że przecież widziałem, jak podpowiada mi

73

miliard siedemdziesiąt trzy miliony siedemset czterdzieści tysięcy osiemset dwadzieścia cztery, na co Iza znowu potrząsnęła głową i powiedziała, że to nieprawda, ja powiedziałem, że prawda, a ona znowu, że nie, potem się odwróciła, poszła po szczotkę i śmietniczkę, a kiedy się odwracała, widziałem, jak jedno ucho robi się jej czerwone, wtedy powiedziałem, że jeszcze nie bierzmy się za sprzątanie, najpierw zjedzmy, lecz Iza powiedziała, że ona nie jest głodna i żebym jadł, skoro chcę, podszedłem więc do swojej ławki i wyjąłem chleb z dżemem morelowym, odwinąłem z serwetki, ale zanim ugryzłem, przyszło mi do głowy, że faktycznie, nigdy nie widziałem Izy jedzącej drugie śniadanie, pomyślałem wtedy, że ojczym na pewno ją głodzi, spojrzałem na kanapkę, była całkiem spora, a więc połowę mógłbym jej dać. Iza tymczasem zaczęła zmiatać spod tablicy porozrzucane śmieci, wstałem i podszedłem do katedry, chciałem zapytać, czy lubi chleb z dżemem. Iza przykucnęła i w tej pozycji zbierała śmieci na śmietniczkę, spódnica podjechała jej wysoko nad kolana, przez chwilę wydawało mi się, że widzę nawet jej majtki, poczułem, że zaschło mi w ustach, pomyślałem, że może powinienem

jej oddać cały kawałek chleba, ale zaraz przyszło mi do głowy, że to idiotyzm, zrobiłem jednak krok w stronę Izy i wyciągnąłem do niej kanapkę, mówiąc, że z dżemem, ale Iza powiedziała tylko, że bym uważał, bo rozdeptuję śmieci, które właśnie zmiotła, ja jednak dalej tam stałem, bo nie mogłem się zdecydować, czy widziałem majtki Izy, czy też nie, wtedy Iza wychyliła się do przodu, próbując wymieść mi śmieci spod nóg, powtórzyła, że bym uważał, a kiedy sięgnęła szczotką, znowu poczułem zapach dużej panny, wiedziałem, że powinienem coś powiedzieć, że

74

mi się podoba albo nie, nie to, że ją kocham, zacząłem się jednak czerwienić i nic nie powiedziałem, a kiedy Iza przyciągała do siebie szczotkę, but się jej pośliznął i omal nie upadła, próbowała odzyskać równowagę, górną część tułowia odchyliła w tył, przez co kolana się jej uniosły, a spódnica podjechała do samej góry, wtedy rzeczywiście zajrzałem jej między nogi i zobaczyłem, że na udzie poszły jej oczka, wyraźnie więc widziałem na skórze zygzakowate, sine wylewy, nawet majtki widziałem przez rajstopy, tworzyły białą plamę w kształcie trapezu pomiędzy nogami, wtedy usłyszałem, jak mówi do mnie, ty świnió, wiedziałem więc, że widzi, na co patrzę, również dlatego, że próbowała zewrzeć nogi, ten ruch jednak sprawił, że straciła równowagę i upadła na plecy, pochyliłem się, bo chciałem jej pomóc, Iza dalej się jednak miotła, wytrąciła mi przy tym chleb z dżemem, kopnęła mnie też w kostkę, wiedziałem więc, że zaraz upadnę, a kiedy padałem, wciąż miałem przed oczami ten trapez, z ręką wyciągniętą do przodu upadłem na Izę, wtedy moja ręka zaczęła wędrować, czułem już tylko jej majtki i jej cipę, jaka jest miękka i jaka gorąca, wtedy Iza się rozwrzeszczała, wrzeszczała mi prosto do ucha, całe ciało wypełnił mi jej wrzask, silniej niż dotąd poczułem wówczas ten zapach, zapach dużej panny, jednocześnie widziałem, jak mój chleb z dżemem rozpada się na dwie części i jak leży w kurzu posmarowaną stroną do ziemi, to jednak było nieważne, bo wciąż trzymałem Izę za cipę i wiedziałem, że już nigdy jej nie puszcze.

WENTYL

Już dwie minuty temu był dzwonek, ale Żelazna Pięść udawał, że tego nie zauważył, dalej rysował na tablicy łańcuchy gór, co było wyjątkowym draństwem, bo dyżurny musiał przed następną lekcją zetrzeć tablicę, jeśli nie chciał, by spoliczkowała go nauczycielka fizyki, wiedzieliśmy więc, że będziemy musieli zostać w klasie w czasie przerwy, żeby zdążyć przerysować mapę, bo w podręczniku były jeszcze stare nazwy gór, których nie należało używać, od kiedy dwa lata temu, na urodziny towarzysza pierwszego sekretarza, nazwano je na nowo, by uczcić pamięć bohaterów, każdemu innemu powiedzielibyśmy, że był dzwonek, ale nikt

nie miał odwagi powiedzieć tego Żelaznej Pięści, bo nikt nie chciał dostać w nos jak Szóverfi, gdy raz popukał przy takiej okazji w pofałdowanie płyty tektonicznej, kiedy Żelazna Pięść odłożył w końcu kredę i wziął pod pachę dziennik, zostało już tylko siedem minut przerwy, zanim jednak wyszedł, stanął w drzwiach i nie oglądając się za siebie, powiedział, Dzata pójdzie ze mną.

Bardzo się wystraszyłem, bo wcześniej ani razu mnie tak nie nazwał, to znaczy nie przezwał, stąd wiedziałem, że widocznie musiał się zorientować, że dwa tygodnie temu

76

właśnie ja ukradłem mu wentyl z przedniego koła motoroweru, bo ciągle byłem na niego wściekły za to, że kiedy oficjalnie potwierdzono, że mojego ojca zabrali, usunął mnie z drużyny przysposobienia obronnego, bardzo się więc wystraszyłem i spojrzałem na Feriego, który mi wtedy towarzyszył, a Feri zbladł jak ściana, myślałem, że zaraz zemdleje, ja też czułem, że mam twarz zimną jak lód, kiedy wstałem, zląkłem się, że ze strachu nie będę w stanie puścić brzegu ławki, jakoś jednak puściłem, skoro widziałem swoje trzewiki kroczące po parkiecie, a potem po cementowej podłodze korytarza, jedno sznurowadło miałem rozwiązane i ciągle przydeptywałem jego koniec, lecz nie czułem tego, odnosiłem wrażenie, że i nóg nie czuję.

Żelazna Pięść nie spieszył się, szedł sobie wolno, spokojnie, a kiedy nie skręcił na schody do pokoju nauczycielskiego, od razu wiedziałem, że idziemy do sali, w której trzyma się pomoce naukowe, gardło mi się ścisnęło, gdyby mnie wtedy o coś zapytał, na pewno nie byłbym w stanie odpowiedzieć, próbowałem więc głęboko oddychać, żeby się uspokoić, i kiedy dotarliśmy na miejsce, trząsałem się tylko troszeczkę, wprawdzie wciąż czułem, że mam sucho w ustach, ale mogłem już przełykać, a potem, kiedy otworzył drzwi i skinął na mnie, żebym wszedł pierwszy, znowu się zląkłem, bo wiedziałem, że właśnie wtedy zaczyna bić, wali człowieka pięścią w nerki, Szabi cztery dni sikał potem krwią, kiedy więc przechodziłem przez drzwi, spodziewałem się ciosów, pomyślałem, że jak w chwili uderzenia rzucę się do przodu, to może nieco słabiej je odczuję, a jak udam, że bardzo mnie boli, to skończy się na paru kuksańcach, ale nic się nie wydarzyło. Kiedy przekroczyłem próg, nie zatrzymałem się, tylko szedłem dalej, prosto do okna, fakt,

77

że nie oberwałem, jeszcze bardziej mnie zaniepokoił, bo nie wiedziałem, co mnie czeka, byłem już na środku pokoju, kiedy Żelazna Pięść wreszcie się odezwał, powiedział, żebym się nie bał, nie będzie mnie bił po nerkach, dziwnie jakoś mówił, kiedy na niego spojrzałem, zobaczyłem, że to z powodu papierosa, którego trzymał w kąciку ust, właśnie odkładał zapalniczkę, spojrzał mi w oczy, potem wydmu-

chał na mnie cały śmierdzący dym, mimo to nie zacząłem kasłać, powiedział, że mnie nie zbije, chociaż zasłużyłem, następnie wskazał krzesło i kazał mi usiąść.

Kiedy szedłem w kierunku krzesła, obserwowałem twarz Żelaznej Pięści, wąsy miał krótko przystrzyżone, tym wyraźniej było widać, jak gładko wygolona jest reszta twarzy, poczekał, aż usiądę, po czym wolno podszedł, stanął przede mną i oparł się o jedną z przeszklonych szaf, w której stały kolorowe plastikowe modele serca i organów wewnętrznych, jeszcze tego nie przerabialiśmy, bo anatomia człowieka jest w programie siódmej klasy, następnie powiedział, że nie należy kłamać, zwłaszcza z nim szczególnie mogą być szczerzy.

Kiwnąłem głową, ale nic nie powiedziałem, grunt to nic nie mówić, póki człowieka nie pytają, bo inaczej mogą zniknąć z tego same kłopoty, czekałem, aż mnie zapyta, lecz Żelazna Pięść nie odzywał się, tylko palił, teraz przynajmniej nie dmuchał mi dymem prosto w nos, w końcu się odezwał, spytał, czy rzeczywiście lubię te zawody w ramach przysposobienia obronnego, bo dobrze pamięta, jaki byłem wściekły, kiedy mnie usunął z drużyny, skinałem tylko głową, nie wiedziałem, co powinienem odpowiedzieć, jak powiem tak, to mnie spoliczkuje, jak powiem nie, to również dostanę, ale musiałem odpowiedzieć, bo

78

wiedziałem, że jak nie odpowiem, to i tak oberwę, powiedziałem więc, że tak naprawdę to lubię strzelać, bardzo lubię, jeszcze ojciec nauczył mnie obchodzić się z wiatrówką, kiedy byłem mały, często zabierał mnie na strzelnicę i tam obaj trafialiśmy bez pudła, kiedyś nawet zestrzeliłem płomień świecy, ale o tym Żelaznej Pięści już nie wspominałem, powiedziałem tylko, że lubię strzelać, skinał głową i powiedział, że to było po mnie widać, trzymałem strzelbę dokładnie tak, jak należy, mam wrodzony talent, bardzo żałował, że musiał mnie usunąć z drużyny, ale nie miał wyboru, towarzysz dyrektor osobiście zwrócił się do niego w tej sprawie, powiedział, że nie wolno mnie wystawiać z powodu zdarzenia z moim ojcem, bo ja też już jestem elementem niepewnym politycznie, a to, czego uczymy się w ramach konkursów z przysposobienia obronnego, jest objęte ścisłą tajemnicą państwową, dla mnie samego będzie więc lepiej, jeśli nie dowiem się o tych rzeczach, mógłbym mieć przez to kłopoty, co do tego, szczerze mówiąc, rzeczywiście miał rację, raz o mało nie wpadłem w tarapaty z powodu tego, czego nauczyliśmy się o radioaktywności, nieważne zresztą, dalej byłem zły, że mnie usunął z drużyny, byłem też pewny, że chce mnie tylko podejść, bo tak naprawdę czeka, żebym się przyznał, że to ja wykręciłem wentyl z jego motoroweru, dlatego wolałem nic nie mówić, nie patrzyłem mu też w oczy tylko

na plastikowe modele za jego plecami, ci z siódmej klasy opowiadali, że jest tam także żeński organ płciowy wykonany z plastiku, ale wygląda jak żywy, rzecz jasna nigdzie go nie widziałem, na pewno był zamknięty w dolnej szafce, słowem, patrzyłem na te modele i nic nie mówiłem, Żelazna Pięść dalej palił papierosa i milczał, nie wiedziałem,

79

do czego się szykuje, jeszcze bardziej zacząłem się więc martwić i wtedy usłyszałem dzwonek, wiedziałem, że zaczyna się fizyka, chciałem wstać i wyjść, ale Żelazna Pięść powiedział, żebyśmy zostali, bo zwolnił mnie z tej lekcji, wtedy już na dobre się wystraszyłem, nigdy wcześniej czegoś takiego nie robił, na pewno zbłądziłem, bo Żelazna Pięść od razu spytał, co ze mną, dlaczego zesrałem się ze strachu, a ja powiedziałem, że wcale się nie zesrałem, ale Żelazna Pięść tylko się uśmiechnął i powiedział, że skoro tak, to dlaczego jestem biały jak ściana, jego przecież nie trzeba się bać, on nikomu krzywdy nie robi, mnie też nie chciał zrobić nic złego, chciał mnie tylko prosić o drobną przysługę, ale jak komuś o tym powiem, to rzeczywiście będę miał powody do strachu, nie przeżyję, skończę jak mój ojciec, wtedy omal się nie odezwałem, chciałem powiedzieć, że to nieprawda, mój ojciec żyje, bo gdyby nie żył, to wiedziałbym o tym, w końcu jednak postanowiłem milczeć, a wtedy Żelazna Pięść powiedział, że Horacju, chłopiec, który trafił do drużyny przysposobienia obronnego na moje miejsce, jest w szpitalu, bo spadł ze schodów i złamał sobie nos, a dzisiaj odbywa się miejski finał i potrzebny mu ktoś, kogo mógłby wstawić na jego miejsce, ktoś, na kim może polegać, pomyślał więc o mnie, nie powiedział jednak, że dlatego, iż strzelam najlepiej z całej szkoły, tylko dlatego, że jestem najbardziej podobny do Horacju, pojedziemy bowiem na zawody do szkoły numer szesnaście, udając, że ja jestem Horacju, lecz jeszcze raz mnie uprzedza, żebym nikomu o tym nie mówił, nawet mnie nie spytał, czy chcę, czy się zgadzam, tylko zachował się jak ktoś pewny swego, jak ktoś, kto wie, że muszę zrobić to, czego ode mnie zażąda, i powiedział, że z biegu terenowego, biegu

80

przez przeszkody, czytania mapy, polityki i historii wojskowości miejski finał już się odbył, zostało tylko strzelanie i że reszta zupełnie nieźle się spisała, ale w tym roku konkurencja jest wyjątkowo silna, mamy już tylko teoretyczne szanse na przejście do następnego etapu, lecz żeby tak się stało, musiałbym zdobyć w strzelaniu co najmniej sto siedemnaście punktów na sto dwadzieścia możliwych, a i wtedy najwyżej dwie osoby mogłyby mieć więcej ode mnie, co szczerze mówiąc, przy tych marnych czechosłowackich karabinkach i tak jest niemożliwe, zwłaszcza jeśli trzeba oszczędzać na nabojach i każdy może oddać

tylko trzy próbne strzały, no, ale z matematycznego punktu widzenia szanse istnieją, wtedy ja spytałem, czy to oznacza, że gdybym strzelał bezbłędnie i zdobył sto dwadzieścia punktów, drużyna przeszłaby do następnego etapu, Żelazna Pięść skinął głową, znowu wydmuchał na mnie dym z papierosa i powiedział, że tylko tego by brakowało, nic, tylko tego mu brakuje, żebym strzelał bezbłędnie, jak w ogóle taka bzdura mogła mi przyjść do głowy, naprawdę bardzo się zirytował, widziałem, jak drgają mu wąsy, jak nerwowo się zaciąga, spytałem jednak, o co chodzi, nie wierzy, że potrafię to zrobić, widać nie pamięta, jak dobrze strzelałem, bo ja bardzo dobrze strzelam, mam wycucie, wiem, jak przy naciśnięciu spustu utożsamić się z pociskiem, wiem też, jak rozumują mistrzowie w strzelaniu, bo ojciec mnie tego nauczył, a jeśli mi nie wierzy, niech mnie weźmie na te zawody, przekona się, jak celnie trafiam, bo jeśli zechcę, to bez trudu wystrzelam te sto dwadzieścia Punktów, a jak trzeba będzie, to nawet sto trzydzieści, bo mam wystarczająco zręczne ręce, by przynajmniej jeden z trzech próbnych naboji zamienić na kulkę od długopisu,

81

bo i tym można strzelać, zdobędę więc dodatkowy nabój i sto trzydzieści punktów, jeśli zechcę, bo nikt nie zauważy, że wystrzeliłem trzynaście, a nie dwanaście naboji, kiedy to powiedziałem, dostałem na odlew, omal nie spadłem z krzesła, Żelazna Pięść uderzył mnie tak nagle, że aż papieros wypadł mu z ręki, upadł na dywan i dalej się kopał, widziałem to, wciśnięty w krzesło, czułem, że kręci mi się w głowie, tak mocno dostałem, na szczęście miałem akurat otwarte usta, byłem dopiero w połowie zdania, dlatego nie przygryzłem sobie języka ani z zębami nic mi się nie stało, wtedy Żelazna Pięść powiedział, żebym się wstydził, jak śmiem mówić do niego w taki sposób, lepiej, żebym pamiętał, że świni to on ze mną nie pasał, następnie powiedział, że chce z powrotem papierosa, który cały czas leżał i kopał się na dywanie, ukląknęłam więc i grzecznie podniosłam go z podłogi, a kiedy podawałam Żelaznej Pięści, pomyślałam, że powinienem mu go wepchnąć w gębę palącym się końcem, zasłużył na to, zwierzę, wiedziałem też, że zaraz każe mi się przeprosić, ale postanowiłem, że nie przeproszę, jak nie będę musiał, to nie przeproszę, Żelazna Pięść wziął papierosa i znowu wsadził sobie do ust, głęboko się zaciągnął, teraz już jednak wydmuchał dym nie na mnie tylko gdzieś w bok, a kiedy się odezwał, powiedział, że muszę zrozumieć, iż zawody trzeba przegrać, bo drużyna z naszej szkoły nie może przejść dalej, o tym już jednak w żadnym razie nie wolno mi rozpowiadać, sam też nie powinienem tego wiedzieć, a on przez to, że mi powiedział, definitywnie założył sobie pętlę na szyję, i zaraz pokazał mi ręką z papierosem, jak zakłada sobie pętlę, omal się

więc nie obsypał popiołem, zresztą nieważne, powiedział, bo teraz już także ja mam pętlę na szyi, wystarczy więc, że

82

obaj to wiemy, muszę jednak zapamiętać, w żadnym razie nie mogę zdobyć więcej niż siedemdziesiąt punktów, bo inaczej narażę na szwank przyszłość naszej szkoły, podczas miejskiego finału do następnego etapu musi przejść szkoła numer trzy, nie nasza, mam mu więc obiecać, że zrobię tak, jak mi każe, zdobędę sześćdziesiąt punktów, no, najwyżej siedemdziesiąt pięć, i szlus.

Kiedy zaczął mówić, patrzyłem mu w oczy, ale pod koniec on już na mnie nie patrzył, ja na niego też nie, tylko na te plastikowe modele za szkłem, z górnej części serca wystawały dwie grube rury, jedna pomalowana na niebiesko, druga na czerwono, kiedy Żelazna Pięść zamilkł, znowu na niego spojrzałem, a on poprosił, żebym mu złożył obietnicę, tylko szybko, bo zaraz musimy jechać, inaczej spóźnimy się na zawody, wtedy ja jedną ręką złapałem się krzesła i powiedziałem, że nie, nie obiecuję, nie obiecuję, bo ojciec mnie uczył, że sport to uczciwa rzecz, tu nie ma oszukaństwa, tu każdy na starcie ma równe szanse, wszystko zależy od tego, ile kto potrafi, i nic więcej mnie nie obchodzi, może mnie wziąć na zawody, a ja i tak postaram się strzelać najlepiej, jak umiem, dam z siebie wszystko, kiedy się usłyszałem, zląkłem się własnego głosu, miałem wrażenie, że to nie ja, ścisnąłem oparcie krzesła tak mocno, że aż rozbolała mnie ręka, wiedziałem, że zaraz posypią się razy, próbowałem więc rozluźnić usta, ale czułem, że zaciskam zęby z całej siły, aż kłuło mnie w skroniach, Wiedziałem, że teraz to już koniec, Żelazna Pięść mnie zabije, nie potrafiłem jednak zamilknąć, próbowałem łykać słowa, ale płynęły nieprzerwanym potokiem, Żelazna Pięść mnie nie uderzył, zgasił papierosa, potem palec wskazujący przyłożył do ust i syknął - pssst! zamilkłem jednak

83

dopiero wtedy, kiedy zobaczyłem, że drugą rękę wkłada do kieszeni, wiedziałem, że zaraz wyjmie kastet i będzie po mnie, dobrze, jeśli skończy się na szpitalu, Żelazna Pięść tymczasem wyjął rękę i nie miał w niej kastetu, coś jednak trzymał, nie widziałem co, wtedy podsunął mi pięść pod nos, nosił bardzo szeroki sygnet, dostrzegłem w nim odbicie własnej twarzy, spytał, czy zgadnę, co ma w ręce, ale byłem już tak wystraszony, że nawet gdybym zgadł, nie byłbym się w stanie odezwać, pokręciłem więc tylko głową, że nie wiem, i znowu popatrzyłem na serce za szybą, pomyślałem, że przez niebieską rurę wypływa z serca zimna krew, a przez czerwoną ciepła, równocześnie jednak wiedziałem, że to idiotyzm, i wtedy Żelazna Pięść powiedział, no dobra, widzi, że się poddaję, i żebym się dalej nie głowił, bo jeszcze dostanę zapalenia mózgu, a kiedy otworzył

dłoń, zobaczyłem, że ma w ręce wentyl od przedniego koła swojego motoroweru, kiedy go zobaczyłem, poczułem, że blednę, a ciało wypełnia mi lodowata krew, tak lodowata, że zaraz zsinieje mi skóra, i miałem wrażenie, że serce mi staje ze strachu, wtedy Żelazna Pięść powiedział, owszem, on wie, zna całą prawdę o tym żarciku, Feri wszystko mu opowiedział, bo Feri ma więcej rozumu ode mnie, już na drugi dzień uznał, że najlepiej będzie, jak przyzna się Żelaznej Pięści do wszystkiego, wtedy może mu się upiecze, był na tyle sprytny, by sobie uświadomić, że jeśli Żelazna Pięść sam wpadnie na to, przez kogo musiał swój motorower pchać pod górę, aż tam, gdzie mieszka, to marny los winowajcy, wtedy pomyślałem o Ferim, to dlatego był błąd jak trup, Żelazna Pięść mówił, cały czas podtykając mi zawór pod nos, kiedy poruszał ręką, widziałem, jak w środku w zaworze lata mała kulka wielkości naboju do

84

wiatrówki, potem Żelazna Pięść schował wentyl, odwrócił się do mnie tyłem i udawał, że wygląda przez okno, następnie powiedział, że chyba wiem, co zrobiłem, że to nie był uczniowski kawał, tylko akcja sabotażowa, antypaństwowy sabotaż, i jak będzie chciał, to nie dość, że wyrzucą mnie ze szkoły, ale trafię jeszcze do domu poprawczego i tylko dlatego nie do więzienia, że nie skończyłem czternastu lat, ale mogę być spokojny, moja matka skończyła i trafi tam na pewno, jej również nigdy już nie zobaczę, wtedy poczułem, że zaraz zacznę płakać, nie chciałem jednak płakać, powiedziałem więc tylko bardzo cicho, że dobrze, zrobię to, zdobędę tyle punktów, ile mi każe, skoro trzeba sześćdziesiąt, to sześćdziesiąt, a jak czterdzieści, to czterdzieści, będzie, jak on chce, potem wstałem i powiedziałem, no więc chodźmy, miejmy to już za sobą, Żelazna Pięść poklepał mnie po plecach, powiedział, że teraz mądrze mówię, po czym wyszliśmy z sali, przeszliśmy korytarzem do końca, potem w dół po schodach i wyszliśmy osobnym wejściem dla nauczycieli, dyżurny strzelił obcasami i zasalutował, kiedy otwierał nam drzwi, ale Żelazna Pięść nie zrewanżował mu się, ja też ledwie podniosłem rękę do skroni. Towarzysz dyrektor pożyczył Żelaznej Pięści swój wóz, pojechaliśmy więc samochodem, Żelazna Pięść pozwolił mi usiąść z przodu, nigdy w życiu nie siedziałem jeszcze z przodu, ale i tak nie potrafiłem się cieszyć, bo ciągle myślałem o Ferim, Żelazna Pięść przez całą drogę palił papierosa, w ogóle się nie odzywał. Szkoła numer szesnaście, w której organizowano finały, znajdowała się niedaleko, szybko więc dojechaliśmy na miejsce, jednak nim wysiedliśmy, Żelazna Pięść znowu pokazał mi wentyl, skinałem tylko głową, nic nie powiedziałem, po czym weszliśmy

85

do szkoły, dziedziniec był pięknie udekorowany świerko-

wymi gałązkami, na dużych, czerwonych transparentach widniały rozmaite cytaty, o siłach zbrojnych, o młodzieży, o pierwszym sekretarzu partii i o pokoju, zjawiliśmy się w samą porę, bo komendantka miejscowych pionierów witała właśnie zgromadzonych gości, wygłosiła nawet krótką przemowę, ale nie bardzo uważałem, bo przyglądałem się stanowiskom strzeleckim, z rozłożonych koców wnioskowałem, że będziemy strzelać w pozycji leżącej, lecz tarcze strzelnicze nie były jeszcze wystawione, nie mogłem więc ocenić odległości, komendantka pionierów coś jeszcze mówiła o zjednoczeniu i o pokoju, potem przemówienie dobiegło końca i wszyscy salutowali, następnie odśpiewaliśmy hymn, ale nie pierwszą i ostatnią zwrotkę jak zwykle, tylko całą, od początku do końca, środkowych zwrotek prawie nie znałem, była w nich mowa o jakichś pługach oraz, jak mi się zdaje, o mieczach, wreszcie i hymn się skończył, wtedy dyrektor szkoły życzył wszystkim powodzenia i zawody się rozpoczęły, najpierw losowano broń, każdy musiał wyciągnąć z maski przeciwigazowej swój numer, dopiero wtedy dowiadywał się, z jakiej broni będzie strzelał i w której turze, ja wyciągnąłem trzynastkę, ale nie przestraszyłem się, bo ta liczba zawsze przynosiła mi szczęście, trzynastka oznaczała, że będę strzelał w drugiej turze z karabinka numer trzy, bo było tylko dziesięć karabinków i dziesięć stanowisk, specjalnie nie spojrzałem, ile trafień miał ten, kto w pierwszej turze strzelał z karabinka numer trzy, chociaż mógłbym z tego wywnioskować, jak dokładna jest broń i w którą stronę ściąga rękę, lecz pomyślałem, że to w końcu wszystko jedno, postanowiłem w ogóle się nie przyglądać, jak strzelają, tylko zacząłem obchodzić dziedziniec,

86

obejrzałem Kącik Pokoju, gdzie w bardzo wielu językach było napisane słowo pokój i że dzieci na całym świecie pragną pokoju, na samej górze wisiał portret sekretarza generalnego partii i naczelnego dowódcy sił zbrojnych, pod nim zdjęcia bohaterów wojennych i generałów, a także parę zdjęć czołgów i samolotów oraz zdjęcie wojskowej defilady pierwszomajowej, na którym przedstawiono działa mijające trybunę honorową, zdjęcie generałów wyglądało jakoś dziwnie, kiedy się lepiej przyjrzałem, zauważyłem, że musiało zostać rozcięte i ponownie sklezione, co było dobrze widać po ścianie, przed którą stali, nagle przyszło mi do głowy, że znam to zdjęcie, widziałem je na końcu podręcznika do piątej klasy, lecz wtedy było na nim jeszcze siedmiu generałów, a teraz tylko pięciu, dwóch zniknęło ze zdjęcia, chociaż nie słyszałem, by okazali się zdrajcami, tymczasem spostrzegłem, że uczestnicy pierwszej tury powoli się podnoszą, wiedziałem więc, że niedługo nasza kolej, ruszyłem z powrotem w kierunku stanowisk strzeleckich, po drodze widziałem, jak nauczyciele stoją przy szkol-

nej bramie i rozmawiają, Żelazna Pięść też tam był, cały czas palił, kiedy spojrzałem w jego stronę, musiał to wyczuć, bo odwrócił się i ręką, w której trzymał papierosa, pomachał mi z uśmiechem, drugą rękę wciąż miał w kieszeni, wiedziałem, że ściska wentyl, poczułem, jak robi mi się gorąco, nagle ktoś z tyłu powiedział do mnie Horacju, Wystraszyłem się, lecz mimo to odwróciłem i zobaczyłem, że komendantka pionierów wyczytuje z kartki moje imię, wtedy trochę się uspokoiłem, bo pomyślałem, że i tak nie zna prawdziwego Horacju, i nie wyda się, że nim nie jestem, powiedziałem więc tak, to ja, wtedy komendantka Pionierów spytała, co oglądałem w Kąçiku Pokoju, a ja

87

powiedziałem, że nic, towarzyszeko komendantko, tylko przed zawodami mam taki zabobonny zwyczaj, że zawsze oglądam zdjęcie naczelnego dowódcy sił zbrojnych, biorę z niego przykład, wtedy komendantka pionierów skinęła głową i powiedziała, że takie patriotyczne myśli przyczyniają się do postępów kraju na drodze pokoju, potem zanotowała coś w zeszycie i życzyła mi powodzenia, podszedłem wówczas do stanowiska i położyłem się na kocu.

Jeden z komisarzy zawodów szybko rozdał naboje, na początek po trzy próbne, próbne tarcze też już były ustawione, wziąłem do ręki karabinek, wyprodukowany w Czechosłowacji, to prawda, ale w całkiem niezłym stanie, łatwo się składał i rozkładał, nie celowałem w sam środek tylko w białą linię między piątką i szóstką, kiedy przycisnąłem do ramienia kolbę, jej ciężar sprawił, że spłynął na mnie spokój, i kiedy celowałem, nie musiałem już zwracać uwagi na swój oddech, bo wszystko szło gładko, samo z siebie, strzelałem dokładnie wtedy, gdy wypuszczałem powietrze, a kiedy komisarze zawodów rozdali po dwa naboje do właściwego strzelania i zwrócili nam próbne tarcze, zobaczyłem, że faktycznie każdy strzał trafił dokładnie tam, gdzie chciałem, wiedziałem więc, że gdybym chciał, naprawdę mógłbym mieć sto na sto, wtedy inny komisarz ustawił właściwe tarcze strzelnicze, byłem zaskoczony, nigdy przedtem takich tarcz nie widziałem, były nie tylko większe, lecz także przedstawiały górną część tułowia, a cel zaznaczony był z lewej strony, w miejscu, gdzie człowiek ma serce, przyszedł mi wtedy do głowy ten plastikowy model serca w szafce za szkłem, dziesiątka była dokładnie między dwiema żyłami, między żyłą czerwoną i niebieską, gdy zacząłem celować, miałem przed oczami

88

tylko ten plastikowy model, na próżno usiłowałem trafić w linię oznaczającą szóstkę, widziałem tylko te dwie dziury, czerwoną i niebieską, i miałem wrażenie, że to oczy Żelaznej Pięści, kiedy pierwszy raz pociągnąłem za spust, wiedziałem, że kula trafi go dokładnie między oczy, gdybyśmy

byli na Dzikim Zachodzie, z miejsca padłby trupem, widziałem też, jak w środku kręgu oznaczającego dziesiątkę pojawiła się mała, czarna dziurka, z mojego stanowiska wyglądała jak ślad po ukłuciu igłą, i wtedy po raz drugi strzeliłem w to samo miejsce, dokładnie w dziesiątkę, i trzeci raz, i czwarty, nawet nie musiałem patrzeć na tarczę, bo wiedziałem, że każdy mój strzał sięga celu, trafia dokładnie w dziesiątkę, na koniec jednak spojrzałem i zobaczyłem, że wszystkie tam są, wszystkie trafienia równiutko obok siebie, zdobyłem sto dwadzieścia punktów, no, może sto dziewiętnaście, lecz kiedy odłożyłem karabinek, wiedziałem, że będą kłopoty, przyszedli mi wtedy do głowy tamci generałowie, pomyślałem, że teraz to my z matką znikniemy, że moje zdjęcie też zdejmuje ze szkolnego tableau.

Kiedy wstałem, poczułem silny zawrót głowy, tarcz strzelniczych nie można było obejrzeć, na szczęście, bo wcale nie miałem ochoty z bliska zobaczyć tego poszarpanego kółeczka w samym środku, sędziowie od razu zabrali wszystkie tarcze do oceny, a kiedy czekaliśmy na wyniki, Żelazna Pięść podszedł do mnie i powiedział, że w porządku, z tego, jaki jestem blady, wnosi, że zrobiłem, co należało, i żebym sobie zapamiętał, że takie jest życie, Mądrzejszy zawsze ustępuje, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął wentyl, wcisnął mi w rękę i powiedział, że proszę, mogę go sobie wziąć, zapracowałem na niego, a kiedy Wziąłem zawór, odniosłem wrażenie, że jest bardzo gorący,

89

wręcz pali mi dłoń, wtedy przewodnicząca pionierów zawołała, towarzysze, ogłaszamy wyniki, i wszyscy ruszyli w jej stronę, zaczęto wyczytywać rezultaty, kiedy przyszła kolej na naszą szkołę, Żelazna Pięść mnie objął, a ja patrzyłem na usta komendantki i jak w zwolnionym tempie widziałem, że formułuje słowa, głos jednak do mnie nie docierał, tylko z ruchu warg odczytałem więc sześćdziesiąt trzy punkty, chciałem krzyknąć, że to nieprawda, to oszustwo, zdobyłem przecież komplet punktów, ale czułem w garści ten palący kawałek metalu, był niczym kula karabinowa, i wtedy, sam nie wiem dlaczego, przyszły mi do głowy nazwy gór, te dawne i te nowe, i nic nie powiedziałem, tylko przełknąłem ślinę, tymczasem usłyszałem, że zawody w strzelaniu wygrała szkoła numer trzy, zdobywając sto siedem punktów, Żelazna Pięść znowu poklepał mnie po plecach i powiedział, żebym się nie martwił i że trzeba umieć przegrywać.

PREZENT

Ile razy widziałem swojego dziadka, miał na piersi pełno orderów, miał ich tyle, że nie mieściły się na marynarce, poza tymi, które nosił, co najmniej drugie tyle trzymał w domu, w serwantce, gdzie stały również jego puchary za wyniki w strzelectwie sportowym, kiedy dziadek nachylał

się, by mnie pocałować, wszystkie te odznaczenia brzęczały, objając się o siebie. Nie lubiłem, kiedy mnie całował, bo miał twarz tłustą od kremu, sam go dla siebie robił i mnie też ciągle nim smarował, wiele dni potem czułem obrzydliwy zapach lawendy, szczerze mówiąc, nieczęsto go widywałem, a odkąd mój ojciec trafił nad Kanał Dunaj-Morze Czarne, prawie nigdy, bo dziadek i babcia nie bardzo lubili moją mamę, mówili o niej, że to nienormalna kurwa, która nie może pojąć, na jakim dobrym świecie żyjemy, i że to ona przekabaciła ojca, przez nią miał ten cały cyrk z partią. Przez nią trafił nad Kanał, dlatego nie rozmawiali z moją matką, a kiedy spotykali ją na ulicy, zawsze udawali, że jej nie znają, traktowali ją jak powietrze, nawet nie mówili jej dzień dobry, a jeśli czasem z nią byłem, to i mnie traktowali tak samo, jednak ja dwa razy do roku wciąż jeszcze mogłem u nich bywać, na swoje urodziny i na swoje imieniny.

91

Dziadek przyjeżdżał wtedy po mnie samochodem, zawsze czekał na dole przed naszym blokiem w swoim błyszczącym, czarnym aucie, a kiedy widział, że idę, wysiadał i otwierał drzwiczki, ale nie mówił dzień dobry ani mnie nie całował, tylko prosił wsiadać, potem przez całą drogę się nie odzywał, zupełnie jak prawdziwy szofer, i dopiero kiedy dojechaliśmy na miejsce, i wysiedliśmy z samochodu, mówił, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi, dopiero wtedy mnie całował, jakby cała droga się nie liczyła, jakbyśmy spotkali się przed bramą jego domu. Dziadek co najmniej miesiąc wcześniej przysyłał mi zaproszenie, zawsze z tym samym tekstem pisany odręcznie misternymi zawijasami, że serdecznie zaprasza mnie na popołudnie z okazji naszych wspólnych imienin, bo miał na imię tak samo jak ja i jak mój ojciec, nigdy jednak nie mogłem mówić do niego po imieniu, ani nawet dziadku, tylko towarzyszu sekretarzu, każdy tak się do niego zwracał, z wyjątkiem babci, chociaż dziadek, moim zdaniem, był już na emeryturze, a więc nie mógł być sekretarzem.

W tym roku zaproszenie przyszło zaledwie dwa dni przed imieninami, już nawet myślałem, że dziadek o nich zapomniał, potem jednak znalazłem w skrzynce na listy znajomą kremową kopertę, była jak zwykle zaadresowana do mnie, od razu powiedziałem matce i spytałem, czy mnie puści, a wtedy matka smutno się uśmiechnęła i potrząsnęła głową, jak zwykle, kiedy proszę ją o coś, z czego jest niezadowolona, i powiedziała, że oczywiście, puści mnie, zawsze mnie puszcza, pod jednym warunkiem, a w ogóle to ładnie ze strony dziadka, że przynajmniej dwa razy w roku o mnie myśli, po czym spytała, czy pamiętam jeszcze, jaki to warunek, skinąłem głową i od razu powiedziałem, że

92

prezentu, który dostanę, nie wolno mi przyjąć, a raczej, że

przyjąć mogę, ale zatrzymać już nie, mogę się nim bawić na miejscu, ile zechcę, na koniec jednak muszę oddać. Nie mogę go zabrać do domu, bo w naszym domu nie ma niczego, co pochodziłoby od dziadka, i jeśli o matkę chodzi, to nigdy nie będzie, wtedy matka powiedziała, że wie, jakie to dla mnie trudne, że to faktycznie bardzo surowa zasada, ale jak będę duży, zrozumieć, że tak właśnie powinno być, i jeszcze zobaczę, że będę z tego zadowolony, kiwnąłem rzecz jasną głową, nic jednak nie powiedziałem, bo przypomniała mi się elektryczna kolejka, którą dostałem trzy lata temu na urodziny i której do tej pory nie miałem kiedy porządnie wypróbować, wiedziałem więc, że matka nie może mieć racji.

Upierała się również, żebym się z tej okazji elegancko ubrał, nieważne, jaki był upał, nie mogłem tak po prostu pójść w zwykłych krótkich spodenkach i podkoszulce z krótkim rękawem, tylko musiałem założyć gryzące wełniane spodnie, które przerobiła mi z garnituru ojca, do tego białą koszulę, kamizelkę zrobioną na drutach i chustę pioniera, ze zniechęconych czarno-białych lakierków z wysoką cholewką na szczęście wyrosłem, musiałem więc tylko wyglansować trzewiki i byłem gotowy, matka oczywiście przypomniała mi, żebym się uczesał, ale przynajmniej nie przyliżała mi włosów na mokro, potem jeszcze mnie zlustrowała, poprawiła mi chustę, pocałowała i mogłem już iść.

Kiedy wyszedłem przed blok, od razu zobaczyłem czarne auto, dziadek nigdy się nie spóźniał, mnie też zawsze Powtarzał, że do punktualności należy przywiązywać wielką wagę, kiedy mnie zobaczył, uśmiechnął się, lecz tym

93

razem nie wysiadł, tylko sięgnął za siebie i nacisnął klamkę tylnych drzwiczek, sam je musiałem otworzyć, a kiedy wsiadłem, powiedział do mnie cześć, co również mnie zaskoczyło, bo kiedy indziej tego nie robił, zaraz jednak powiedziałem, uszanowanie, towarzyszu sekretarzu, na co dziadek skinął głową i włączył silnik, a potem, nim zdążyliśmy skręcić w ulicę Długą, znowu się do mnie odezwał, powiedział, że bardzo urosłem od czasu, kiedy mnie ostatni raz widział, wkrótce będę już całkiem dorosły, nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, dopiero kiedy dotarliśmy do Małego Kościoła, przyszło mi do głowy, że powinienem był powiedzieć, a towarzysz sekretarz zupełnie się nie postarzał, lecz było już za późno, postanowiłem więc milczeć, we wstecznym lusterku widziałem usta dziadka, z boku nad górną wargą zauważyłem małe skaleczenie, zaciął się pewnie przy goleniu, musiało go boleć, bo często oblizywał to miejsce, całą drogę śledziłem jego usta, wołałem wiedzieć z góry, kiedy się znowu odezwie, ale dziadek długo milczał, raz zauważyłem, że się uśmiechnął, i wtedy zdałem sobie

sprawę, że ma usta zupełnie jak ojciec, omal mu tego nie powiedziałem, na szczęście w porę przyszło mi do głowy, że w jego obecności w ogóle nie powinienem wspominać o ojcu, zaraz więc zatkałem sobie usta ręką, udając, że tylko ziewam, a dziadek znowu się odezwał, powiedział, że widzi, jaki jestem wobec niego skrepowany, i wydaje mi się, że teraz, kiedy tak urosłem, nie bardzo wychodzi mi to oficjalne zwracanie się do niego, ale żebym się nie martwił, bo niedługo wypijemy bruderszaft. To mnie rzecz jasna jeszcze bardziej zaskoczyło, kiedy więc spytał, czy tak będzie dobrze, powiedziałem, bardzo dobrze, towarzyszu sekretarzu, lecz wtedy dziadek tylko się skrzywił

94

i pokręcił głową. Tymczasem mineliśmy Rynek, skręciliśmy w aleję Bohaterów i już byliśmy w bocznej ulicy, przy której mieszkali dziadkowie.

Zatrzymaliśmy się przed domem, wysiedliśmy, dziadek zamknął samochód, potem podał mi rękę, nie powiedział jednak, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi, tylko nachylił się i pocałował mnie w oba policzki, i znowu cały byłem w kremie, kiedy więc poszedł otworzyć bramę, na tyle, na ile to było możliwe, wytarłem sobie twarz rękawem koszuli, lecz i tak czułem tę obrzydliwą lawendę.

Na podwórku zawsze panował bałagan, bo zanim partia dała ten dom moim dziadkom, mieszkał tu jakiś rzeźbiarz, który nawet garaż traktował jak pracownię, zostało więc po nim kilka niedokończonych rzeźb i parę wielkich, rozebranych na części form odlewniczych, porośniętych już teraz chwastami, trzeba je było omijać. Kiedy szliśmy do drzwi wejściowych, coś poruszyło się z tyłu w ogrodzie, zauważyłem to kątem oka, zaraz więc odwróciłem głowę w tamtą stronę, ale mignął mi tylko jakiś cień, dziadek również tam spojrzął i musiał zobaczyć więcej, bo usłyszałem, jak mruczy pod nosem, że te kurewskie koty obsrały już całą trawę. Weszliśmy do kuchni, dziadek wysunął krzesło, powiedział, żebym usiadł, zaraz przyniesie coś słodkiego, no i to przejście na ty najlepiej będzie załatwić od razu, potem poszedł do spiżarni, przyniósł talerz orzechowych rogalików, dwa kieliszki i gąsiorek wina, talerz i jeden z kieliszków Postawił przede mną, powiedział, żebym się nie krepował, tylko częstował śmiało, sam zjadł jednego rogalika, tymczasem odkorkował wino i nalał do swojego kieliszka, widziałem, że jest czerwone, wziąłem orzechowego rogalika, ale wcale nie był taki, jak zwykle, tylko twardszy, dużo

95

twardszy, ugryzłem go z trudem, był nawet słodki, lecz zalatywał pleśnią, jakby bardzo długo leżał w spiżarni, nie zdążyłem jeszcze zjeść rogalika, kiedy dziadek nalał także mnie, chciałem powiedzieć, że ja jeszcze nigdy nie piłem wina i nie sądzę, by mi było wolno, ale dziadek już trzy-

mał w rękę kieliszek, widziałem, że czeka tylko na mnie, wziąłem więc swój i wtedy dziadek powiedział, no to cześć, i stuknął o mój kieliszek, ja jednak nic nie powiedziałem, bo nie wiedziałem, co powiedzieć, wtedy dziadek zwrócił mi uwagę, że tak nie można, że ja również powinienem powiedzieć cześć, i znowu stuknął swoim o mój kieliszek, powtórzył toast, tym razem mu odpowiedziałem, a wtedy dziadek powiedział, no to do dna, i wypił jednym haustem, podniosłem kieliszek do ust i zacząłem pić, myślałem, że wino będzie gorzkie i że będzie mnie palić w gardle, ale nie paliło, było tylko strasznie kwaśne, w smaku przypominało trochę wołowinę, gorzkie jednak nie było, zdołałem więc wypić, a kiedy odstawiłem kieliszek, to również nie było w nim ani kropli, wtedy dziadek się do mnie uśmiechnął i powiedział, w porządku, teraz już możemy sobie mówić na ty, wszystkiego najlepszego z okazji imienin, i spytał, czy wiem, co dostanę w prezencie, złożyłem mu życzenia imieninowe i powiedziałem, że nie wiem, tymczasem wziąłem jeszcze jednego rogalika i ostrożnie ugryzłem, a nuż ten nie będzie zalatywał pleśnią, ale zalatywał, jadłem więc bardzo wolno, wtedy dziadek powiedział, że wie, iż moja matka nie lubi swoich teściów, jak również, jakie to dla mnie przykre, że nie mogę zabierać prezentów do domu, w tym roku więc dostanę coś, czego wcale nie muszę ze sobą zabierać, i niech zgadnę, co to takiego. Powiedziałem jednak, że nie lubię zgadywać, wolę prawdziwe niespodzianki.

96

Dziadek wskazał wtedy głową na pokój w głębi domu i stwierdził, że jak nie chcę, to nie muszę zgadywać, żebym wobec tego poszedł i przywitał się z babcią, on tymczasem przygotowuje mój prezent, ale żebym uważał i nie zmęczył babci, bo nie czuje się najlepiej, chciałem wtedy spytać, co jej jest, lecz dziadek machnął ręką w stronę drzwi i powiedział, żebym już szedł, potem sobie porozmawiamy.

W pokoju było dosyć jasno mimo zaciągniętych przezroczystych zasłon, na stole w kryształowych wazonach stało pełno bzu i białych hiacyntów, w powietrzu unosił się bardzo mocny zapach kwiatów, babcia leżała w łóżku, jej długie jasne włosy zwisały z poduszki, spod kołdry wystawała noga, widziałem, czerwony lakier na paznokciach.

Kiedy zamknąłem drzwi, babcia się obudziła, spojrzała wprost na mnie, powiedziałem, dzień dobry, babciu, ona zaś spytała, czy to ja, jakby mnie nie poznała, lecz zaraz potem powiedziała, chodź no tu, mój wnusiu, i wyciągnęła do mnie rękę gestem, jaki widuje się na filmach, kiedy kobieta czeka, by pocałować ją w rękę, nie wiedziałem, co zrobić, podszedłem jednak i prawą dłońią chwyciłem jej dłoń, jak w kinie, kiedy się jednak nachyliłem, pomyślałem, że teraz to już pewnie cofnie rękę, ale nie cofnęła, trudno, musiałem ją pocałować, i wtedy babcia znowu się do mnie uśmiech-

nęła, i wskazała na fotel przy łóżku, powiedziała, że bym usiadł, widzi, że już ze mnie prawdziwy kawaler, usiadłem, patrzyłem na haftowany kilim wiszący nad łóżkiem babci i na pierścionki z drogimi kamieniami na jej palcach, ona zaś powiedziała, że ostatnio nie czuje się dobrze, że już od dawna przykuta jest do łóżka przez ten okropny ból głowy, Potem spytała, jak mi idzie w szkole, a ja odpowiedziałem, że dobrze, tymczasem zauważyłem, że przy samej skórze

97

włosy babci wcale nie są jasne, tylko trochę brązowe a trochę siwe, wtedy babcia powiedziała, że się cieszy, że jestem dobrym uczniem, bo przynajmniej ja nie przyniosę wstydu dziadkowi, potem palcem z pierścionkiem wskazała na szklany dzbanek stojący obok wazonów i poprosiła, że bym jej nalał szklanekę wody, oczywiście, babciu, powiedziałem, po czym wstałem i podałem jej wodę.

Babcia piła, trzymając szklanekę w obu dłoniach, dużymi łykami, a ja cały czas patrzyłem na jej ręce, na pomarszczoną skórę, i zastanawiałem się, czy ten spiczasty kamień na jej lewej dłoni to rzeczywiście diament, a jeśli diament, to czy naprawdę można nim ciąć szkło. Tymczasem babcia powoli wypila wodę, a kiedy oddała mi pustą szklanekę, zobaczyłem, że brzeg uwalany jest szminką i że łzy napłynęły babci do oczu, z początku myślałem, że to tylko z wysiłku, że tak trudno było jej pić, ale potem, kiedy na mnie spojrzała i spytała, czy umiem dochować tajemnicy, a głos tak jej drżał, jakby rzeczywiście miała się za chwilę rozplakać, zauważyłem, że naprawdę jest smutna, nawet nie czekała, co odpowiem, tylko powiedziała, że był u niej doktor Csidej, zbadał ją i że teraz jest już pewne to, czego domyślała się od dawna, a mianowicie, że ma raka, że jest śmiertelnie chora i nie doczeka nawet lata. Mówiła o tym szeptem, a kiedy skończyła, płakała rzewnymi łzami, wciąż płacząc, chwyciła mnie za rękę i powiedziała, bym jej na miłość boską obiecał, że nie powiem ani słowa dziadkowi, dziadek nie może o tym wiedzieć, chciałem jej to obiecać, pomyślałem również, że może ją zapytam, gdzie ma tego raka i gdzie ją boli, ale babcia nie zwracała uwagi na to, co mówię, powiedziała tylko, że bym już sobie poszedł, bo bardzo ją zmęczyłem, i że bym był grzecznym

98

chłopcem, gdy to mówiła, zamknęła nagle oczy, wstałem więc i ruszyłem do drzwi, a kiedy wychodziłem, wyraźnie widziałem, jak babcia wciąga nogę pod kołdrę.

Dziadka nie było jeszcze w kuchni, z początku nie wiedziałem, gdzie może być, ale kiedy usiadłem, usłyszałem, że ktoś jest w łazience, spojrzałem na orzechowe rogaliki, lecz już ich nie jadłem, chciało mi się raczej pić, no i ciągle czułem silny smak wina w ustach, pomyślałem nawet, że wstanę i wezmę sobie szklanekę wody z kranu,

lecz wtedy w przedpokoju otworzyły się drzwi od łazienki i do kuchni wszedł dziadek, położył na stole jakiś pakunek zawinięty w nasączoną smarem szmatę, nalał mnie i sobie po kieliszku wina i spytał, co mówiła babcia, powiedziałem, że nic, pytała mnie tylko o szkołę, ale dziadek wypił wino i powiedział, żebym nie kłamał, bo babcia na pewno i mnie uraczyła tą historią o chorobie, wtedy potwierdziłem, że owszem, ale obiecałem jej, że nikomu o tym nie powiem, dziadek skinął głową i powiedział, w porządku, obietnic trzeba dotrzymywać, i że to ładnie z mojej strony, potem nalał sobie jeszcze jeden kieliszek wina, więc ja też umoczyłem w swoim usta, jednak wcale mi to dobrze nie zrobiło, patrzyłem cały czas na tę zatłuszczoną szmatę, zastanawiałem się, co to może być, dziadek widział, że na nią patrzę, ale nic nie mówił, tylko sączył wino, potem nagle spytał, czy chodzę jeszcze grać w piłkę, a ja powiedziałem, że nie, a na zajęcia z przysposobienia obronnego? na nie też nie chodzę, wtedy dziadek zamilkł, Wypił resztkę wina i spytał, czy pamiętam, jak mi kiedyś obiecał, że zabierze mnie na polowanie, a ja powiedziałem, że pamiętam, chociaż tak naprawdę wcale nie pamiętałem, bo nigdy mi czegoś takiego nie obiecywał, i wtedy dziadek

99
przyciągnął do siebie ten zatłuszczony pakunek, rozwinął go, mówiąc, że właśnie nadeszła pora, i wyjął ze szmaty duży pistolet.

Nigdy wcześniej takiego nie widziałem, był znacznie większy niż te, które noszą milicjanci, miał dłuższą lufę i kolbę w innym kształcie, dziadek wyjął z niego magazynek, po czym wręczył mi pusty pistolet, pokazując, jak mam go trzymać, powiedział, że to luger i że tej broni od dwudziestu pięciu lat nikt nie oglądał, i żebym uważał, bo to nie jest zabawka, potem wstał i powiedział, byśmy wyszli na dwór, to nauczy mnie celować, w końcu dość już wypilem, by celnie mierzyć, ale ja nie zwracałem uwagi na to, co mówi, bo trzymałem broń, była ciężka i bardzo zimna, przedtem zawsze wyobrażałem sobie, że pistolety są znacznie lżejsze, pojęcia nie mam, jak coś takiego można błyskawicznie wyciągnąć z kabury, tymczasem dziadek zadał mi jakieś pytanie, nie usłyszałem jednak jakie, bo celowałem do zegara na ścianie, wyobrażałem sobie, co by było, gdybym strzelił w sam środek, wtedy dziadek wyrwał mi z ręki pistolet i krzyknął, że przecież mówił mi, że to nie zabawka, muszę zrozumieć, że to nie jest jakaś gówniana wiatrówka, z którą wygłupiamy się na zajęciach z przysposobienia obronnego, tylko prawdziwy pistolet, normalna broń krótka, potem spojrzał na mój kieliszek i spytał, czy nie dopiję wina, chciałem powiedzieć, że tak, dopiję, bo bałem się, że się obrazi i mnie spoliczkuje, ale zdążył już wziąć mój kieliszek i jednym łykiem go opróżnić,

dobra, powiedział, chodźmy, bo czas płynie.

Kiedy wyszliśmy na dwór, dziadek oddał mi pistolet i powiedział, żebym celował w ścianę garażu, tam, gdzie na gwoździu wisi konewka, podniosłem pistolet, lecz nie

100
wycelowałem w konewkę, tylko w jeden z tych białych pomników, które stały oparte o garaż, miał wprawdzie niedokończoną twarz, ale celowałem dokładnie między oczy, wtedy dziadek powiedział, żebym opuścił broń i wycelował raz jeszcze, znowu więc skierowałem pistolet w to samo miejsce, prosto w głowę, wtedy dziadek stanął za mną i poprawił mi trochę ułożenie ręki, powiedział, żebym nie trzymał tak kurczowo i żebym celował w konewkę, bo nie celuje się nabitą bronią w człowieka, chyba że mamy zamiar go zabić, chciałem powiedzieć, że to tylko rzeźba, w końcu jednak bez słowa skierowałem lufę na konewkę, dziadek trochę się wtedy przesunął i najpierw kazał mi opuścić broń, potem podnieść i wycelować, potem znowu opuścić i znowu wycelować, po paru razach nic już nie mówił, tylko machał ręką w górę, w dół, w górę, w dół, broń była dość ciężka i trzymało się ją zupełnie inaczej niż wiatrówkę, w końcu jednak zupełnie nieźle mi szło, dwa razy pociągnąłem nawet za spust, robiąc jednocześnie wydech, bo tak się nauczyłem przy strzelaniu z wiatrówki, wiedziałem, że gdyby w magazynku była kula, roztrzaskałbym konewkę. Po pewnym czasie dziadek przestał machać i pozwolił mi we własnym rytmie podnosić broń, potem powiedział, dobra, mam talent, trzymam pistolet dokładnie tak, jak należy, widzi, że może jest dla mnie trochę za ciężki, ale cóż robić, to prawdziwa broń, nie jakaś marna wiatrówka, z której strzelamy w szkole, potem zabrał mi pistolet i włożył magazynek, coś tam ustawił, a kiedy mi oddał, powiedział, żebym uważał, bo jest już odbezpieczony, i że nabój tkwi w lufie, mam więc pociągnąć za spust dopiero wtedy, kiedy mi powie, chodźmy, stańmy koło gruszy, bo jak nie będziemy się ruszać, to nas nie zauważą, i żebym się nie bał,

101
nie będziemy musieli długo czekać, nie rozumiałem, dlaczego to mówi, kto nas nie zauważy, właśnie chciałem o to spytać, gdy dziadek podniósł palec do ust i pociągnął mnie w stronę gruszy, drugą ręką wskazał na ogrodzenie z kamieni, wtedy zauważyłem, że stoi na nim duży czarny kot, wiedziałem już, na co będziemy polować, czułem, jak zaciskam rękę na pistolecie, chciałem go podnieść, by wycelować, ale dziadek chwycił mnie za ramię i szeptem powiedział, byśmy poczekali, tymczasem kot zeskoczył na ziemię i z wysoko podniesionym ogonem, na sztywnych łapach zaczął wolno stąpać pośród trawy, dwa razy stanął i wygiął grzbiet, wypatrywał czegoś w trawie, raz nawet spojrzął w naszą stronę, lecz albo nas nie zauważył, albo się nami

nie przejął, bo przysiadł na tylnych łapach i zaczął załatwiać potrzebę, wtedy znowu chciałem wycelować, ale poczułem, jak dziadek jeszcze mocniej ściska mnie za ramię, kot skończył i zaczął grzebać łapą, wtedy dziadek szepnął, celuj, a ja wolno podniosłem pistolet, trzymałem go w obu rękach, tak jak mnie uczył, lecz pistolet z magazynkiem był dużo cięższy, kiedy więc wreszcie miałem kota na muszce, czułem, że ręce trochę mi drżą, trzymałem już jednak palec na spuście, nagle dziadek powiedział, teraz, i pociągnąłem za spust, kiedy zginałem palec, kot spojrzał na mnie, miał zupełnie żółte oczy, wyobraziłem sobie, że widzi, jak stoję w tej swojej robionej na drutach kamizelce i wełnianych spodniach koło drzewa, wtedy rozległ się huk, kot podskoczył, wszystkimi czterema łapami oderwał się od ziemi, nie był to jednak skok, tylko siła strzału uniosła go w górę, trafiłem go w tułów, nie w głowę, chociaż w nią celowałem, opuściłem broń, ale echo wystrzału wciąż jeszcze odbijało się od kamiennego ogrodzenia, wtedy dziadek

102

chwycił mnie za ramię i powiedział, że to był piękny strzał, chodźmy, obejrzyjmy, byliśmy jakieś trzy kroki od niego, kiedy zobaczyłem, że się poruszył, najpierw tylko ogon wił mu się w trawie jak wąż, potem kot zaczął miauczeć, widziałem, że bok ma zakrwawiony, że trawa wokół niego jest cała we krwi, spojrzałem na dziadka, a on powiedział, szybko, mam mu strzelić w głowę, żeby nie cierpiał, i rzeczywiście, biedny kot unióś łeb, jakby chciał zaczerpnąć powietrza, bardzo głośno zamiauczał, ogon wciąż ruszał się w trawie, wtedy podniosłem pistolet, oburącz, jak należy, wycelowałem prosto między oczy i pociągnąłem za spust, poczułem znów mocne szarpnięcie, huk wystrzału odbijał się od kamiennych ścian ogrodzenia jak za pierwszym razem, w końcu zapadła cisza, kot się nie ruszał, widziałem, że z jego głowy nic nie zostało, wokół było pełno krwi, wtedy zaczęły mi się trząść ręce, omal nie upuściłem pistoletu, dziadek mnie objął i wyjął mi z ręki broń, mówiąc, że tak to jest, wszyscy umrzemy, ale żebyśmy się nie martwili, bo mam przed sobą właściwie całe życie, potem odpiął jakieś odznaczenie, wcisnął mi w rękę i powiedział, że to jego ulubiony krzyż zasługi, Złota Gwiazda Weterana, daje mi, bo naprawdę na nią zasłużyłem, kiedy to mówił, czułem, jak zalatuje od niego winem.

Weszliśmy do kuchni, dziadek powiedział, żebym poczekał, odłożył pistolet na stół, wysunął szufladę kredensu, znalazł agrafkę, potem stanął przede mną, wyjął mi z ręki odznaczenie, pochylił się i przypiął mi je do kamizelki, po lewej stronie, nad sercem, nie mógł jednak zapiąć agrafki, trochę mnie kłuło, choć wcale nie bolało, kiedy się tak mocował, spojrzałem na czubek jego głowy i zobaczyłem, że łysieje, wcześniej nigdy tego nie zauważyłem, teraz jednak

wyraźnie widziałem, że na kawałku głowy wielkości mniej więcej dłoni nie ma włosów, w końcu udało mu się zapiąć agrafkę, wtedy jeszcze poprawił na mnie odznaczenie, pocałował w oba policzki i znowu powiedział, że życzy mi wszystkiego najlepszego z okazji imienin i żebym długo żył. Ja też powiedziałem, życzę ci, dziadku, wszystkiego najlepszego, i poczułem, jak bardzo zmęczyła mi się ręka od tego celowania, pomyślałem o kocie i zapragnąłem usiąść.

Wtedy dziadek spojrział na zegarek i powiedział, że już czas na mnie, muszę iść, nie może mnie jednak odwieźć, bo czeka na kogoś, ale jestem już dużym chłopcem, sam na pewno trafię do domu, powiedziałem, że jasne, do kina też chodzę sam, dziadek wziął gąsiorek i wlał w siebie resztkę wina, powiedział, żebym uważał i do zobaczenia, poczułem, jak bardzo chce mi się pić, ale nie chciałem prosić o wodę, kiedy otwierałem drzwi od kuchni, spytałem jeszcze dziadka, czy babcia naprawdę umrze, a dziadek, nie patrząc na mnie, powiedział, że powinienem wiedzieć, iż nie we wszystko należy wierzyć, i że babci nic nie dolega, poza tym, że jest stara, co samo w sobie, umówmy się, wystarczy, potem machnął ręką, żebym już szedł, a kiedy zamykałem drzwi, widziałem, jak zagląda do pustego kieliszka.

Kiedy wyszedłem za bramę, jeszcze się nawet nie ściemniało, wiedziałem, że jak się pospieszę, za pół godziny będę w domu, odpiąłem odznaczenie i obejrzałem je, na tle czerwonej gwiazdy umieszczono miecz i pistolet maszynowy ułożone na krzyż, a na odwrocie wygrawerowano nazwisko mojego dziadka i rok, wyjąłem chustkę do nosa i zawinałem w nią odznaczenie razem z agrafką, potem schowałem do kieszeni w spodniach i pomyślałem, że tam to go matka nie znajdzie.

WOJNA

Leżeliśmy na brzuchu w pszenicy razem z Puju, było tak gorąco, że pot lał się z nas strumieniami, spływał mi po twarzy, zmywając czarną wojenną farbę, którą zrobiliśmy z palonego korka, ściekał do ust, słony i gorzki, nie sposób było tego wypłuć ani przepłukać gardła, bo nie mieliśmy ze sobą wody, żadnemu z nas nie przyszło do głowy, żeby wziąć manierkę, a nie tylko broń, słońce prażyło straszliwie, od tego wypadku w elektrowni atomowej, o którym nie wolno było rozmawiać, było znacznie goręcej, pszenica też wcześniej dojrzała, mieliśmy dopiero połowę czerwca, a ziarno już wysypywało się z kłosów, bez względu na to, jak długo je żuliśmy, nie wychodziła z niego papka, bo się w ogóle nie sklejało, było suche jak trociny, Paju mówił nawet, że niedługo będą żniwa, słyszał od ojca, traktorzysty w spółdzielni produkcyjnej, że złożyli już zapotrzebowanie na olej napędowy do żniw i co więcej - dostali, w każdej chwili mogą więc zaczynać.

Byliśmy już bardzo blisko ambony, w której bracia Frunzowie urządzili swoją kwaterę główną, zmęczyło nas długie czołganie, żdźbła pszenicy i liście poobcierały nam ramiona i dłonie, Puju miał wprawdzie skórzane rękawiczki,
105

ale niewiele mu pomogły, bo tylko bardziej się pocił, widziałem, jak strużki potu zostawiają na jego pomalowanej w wojenne barwy twarzy cienkie szare smugi, wiedziałem też, że wyglądam dokładnie tak samo, wcale nie budzę grozy tylko śmiech, podczołgaliśmy się znowu parę metrów, kiedy Puju szepnął, bym się wychylił i sprawdził, jak daleko mamy jeszcze do ambony, na co powiedziałem, żeby sam się wychylił, bo teraz jego kolej, ja już trzy razy sprawdzałem, wtedy Puju rzeczywiście wystawił na chwilę głowę z pszenicy, ale nie wstał, tylko przyklęknął na jedno kolano i w ten sposób się rozglądał, nagle padł na brzuch i mimo barw ochronnych widziałem, że zbladł jak ściana, spytałem go, co jest, co zobaczył, a Puju tylko się przeżegnał i powiedział, że ci Frunzowie wcale nie żartują, że naprawdę kogoś schwyтали i zabili, bo wyraźnie widział tuż przed amboną wbitą w ziemię dzidę, a na niej zakrwawioną głowę dziecka, powiedziałem, że nie wierzę i niech mnie nie okłamuje, na co Puju odparł, że bym sam wyjrzał i się przekonał, przyklęknąłem więc i wyjrzałem, dostrzegłem, jak wysoko w górze nad amboną krążą gołębice, i rzeczywiście zobaczyłem wbitą w ziemię dzidę, co jednak było na niej zatknięte, nie widziałem, bo zakrywał to nałożony z wierzchu gruby plastikowy worek po sztucznym nawozie, związany u dołu, nie sposób więc było stwierdzić, jaki to coś ma kształt, kiedy jednak schowałem głowę, miałem wrażenie, że poniżej miejsca wiązania widziałem, jak szeroką strużką spływa po drzewcu coś czerwonego, gdy położyłem się na brzuchu obok Puju, poczułem, jak mi się wszystko przewraca w żołądku, patrzyłem na łodygi i żdźbła pszenicy, które wygnietliśmy w trakcie czołgania, chciałem powiedzieć Puju, że tylko nam się zdawało, to
106

na pewno nie była krew, lecz kiedy otworzyłem usta, by się odezwać, poczułem, że rozbolała mnie prawa ręka, zobaczyłem, że z całej siły wciskam ją w ziemię, a kiedy pociągnąłem, wyrwałem dużą garść zboża wraz z korzeniami, spojrzałem na Puju i uświadomiłem sobie, że kącik ust drga mu nerwowo, wypuściłem korzenie oblepione ziemią i pomyślałem, że jednak nie trzeba było przychodzić na tę bitwę i że na pewno nie zdołamy wspiąć się na ambonę po skórzaną piłkę Prodana.

Wszystko zaczęło się wtedy, kiedy okazało się, że przez środek naszego boiska będzie przebiegał wykop pod nowy kolektor, musieliśmy więc chodzić grać w piłkę na boisko chłopaków z sąsiedniej ulicy. Z początku mówiło się, że

ich boisko też będzie rozkopane, ale robotnicy pewnego dnia odjechali i już nie wrócili, chociaż ich buda na narzędzia wciąż stała na brzegu rowu, tak jak ją zostawili. No i ci z sąsiedniej ulicy pozwolili, żebyśmy grali na ich terenie, aż do momentu, gdy na początku lata sprowadzili się do swojego dziadka bracia Frunzowie, sieroty, bo kiedy oni spuścili łomot Zsoltowi, najsilniejszemu jak dotąd spośród tamtych chłopaków, i przejęli przywództwo bandy, to nagle powiedzieli, że nie możemy już grać na ich boisku, chyba że zapłacimy, a kiedy Duży Prodan zaśmiał im się w nos i powiedział, niech im się nie zdaje, że boisko można sobie przywłaszczyć, to przecież mienie publiczne, Romulus Frunza zauważył tylko, że jego brat nie ma zwyczaju wdawać się w pyskówki, a Remus Frunza wyciągnął nóż sprężynowy i tak nagle dźgnął Prodana w ramię, że Prodan nawet nie zdążył wyjąć swojego scyzoryka w kształcie ryby, tylko złapał się za ramię i wypuścił z rąk skórzaną Piłkę, którą przysłał mu wujek z Jugosławii, wtedy Romulus

107

Frunza schylił się i podniósł piłkę, stwierdził, że teraz należy już do nich, a Prodan powinien się cieszyć, że nie dostał w brzuch, bo ta rana na ramieniu to głupstwo, w parę dni się zagoi, jego starszy brat nie wbił noża głęboko, pokazał tylko Prodanowi, co taki nóż może, następnie Romulus Frunza zaczął odbijać piłkę o ziemię i powiedział, że to są fakty, a jak nam się nie podoba, to możemy przystąpić z nimi do wojny, na piśmie przyślą nam ultimatum, w którym dokładnie określą warunki, mamy się przygotować na to, że bitwa rozegra się na szczycie wzgórza za blokami, tam, gdzie jest pole pszenicy, będziemy walczyć na śmierć i życie, i to my musimy zaatakować, a jeśli zdołamy dotrzeć do ambony na skraju lasu i zabrać stamtąd skórzaną piłkę, to wystarczy, że doniesiemy ją do Dużego Drzewa, a wygramy i odzyskamy nie tylko piłkę, lecz będziemy mogli nadal za darmo korzystać z ich boiska, kiedy tylko będziemy chcieli, dają nam szansę, choć i tak wiedzą, że nic z tego nie wyjdzie, bo tchórze z nas, narobimy w majtki, kiedy tylko dostaniemy ultimatum, na pewno nie odważymy się stanąć z nimi do walki, co widać już nawet po tym, że Prodan bez słowa zniósł, że zranili go do krwi.

Prodan z początku nic nie mówił, tylko przestał się trzymać za ramię, zobaczyłem wtedy, że całą rękę ma we krwi, nie tylko dłoń, ale też palce, obejrzał swoją rękę, jakby ją widział pierwszy raz, i nagle powiedział, że krew można zmyć tylko krwią, zrobił krok do przodu i z całej siły dał w gębę Romulusowi Frunzie, aż ten zatoczył się na brata, pozostał mu na twarzy krwawy odcisk dłoni Prodana, wszyscy naraz zrobiliśmy wtedy w tył zwrot i puściliśmy się pędem w kierunku naszej ulicy, baliśmy się, że za nami pobiegną) ale tylko rzucili paroma sporymi kamieniami, na szczęście

nikogo nie trafili, usłyszeliśmy jeszcze, jak Romulus Frunza woła, że nie mamy jaj.

Na drugi dzień rano przyszło ultimatum, do skrzynki na listy Prodana wrzucili zakrwawionego gołębia bez głowy, dołączyli kartkę z zeszytu w kratkę, na której chyba krwią gołębia było napisane wezwanie do walki, Prodan poprosił Jancsiego, żeby przeczytał, pisali, że bitwa odbędzie się w niedzielę na polu pszenicy i musimy wiedzieć, że wszystko, co się o nich cichcem mówi, to szczerą prawdą, bo oni obaj, Romulus Frunza i Remus Frunza, walczyli w wojnie domowej, dlatego lepiej będzie, jak się przygotowujemy na pewną śmierć, bo ten, kogo oni dopadną, nie może liczyć na łaskę, żaden tam honor i ojczyzna, a w ogóle to mają nas wszystkich w dupie, wszystkich co do jednego, kurwa nasza mać. Kiedy Prodan to usłyszał, zrobił się z gniewu czerwony na twarzy, wyrwał Jancsiemu kartkę, podał ją, rzucił na ziemię i dokładnie podeptał, powiedział, że ci Frunzowie piszą takie rzeczy, bo nawet nie mieli matki, wychowywał ich ojciec, dopóki się nie powiesił z rozpaczu, że ma takich synów, każdy wie, że trafili do dziadka, bo nie mają na świecie nikogo prócz niego, a opowieści, że walczyli w wojnie domowej, są najzwyczajszym kłamstwem, bo to było siedem lat temu, a oni mieli wtedy najwyżej po osiem lat, nie ma się więc co martwić, w niedzielę im pokażemy, do tego czasu niech każdy przygotuje pociski do dmuchawek, pozagina gwoździe, pozbiera kamienie do procy, zrobi strzały z lotkami, żebyśmy też byli dobrze uzbrojeni, no i nie bójmy się Frunzów, sami zobaczą, że nie można nas traktować jak śmieci.

Nikt z nas nic nie powiedział, wszyscy milczeliśmy, Patrzyliśmy na Prodana, na zakrwawionego gołębia i na

podarte wyzwanie leżące na ziemi, wtedy Prodan wyciągnął w górę rękę i zaciśniętą pięścią trzy razy potrząsnął ku niebu, wołając hurra, aż zadźwięczały ćwieki na jego szerokim skórzanym ochraniaczu na przegub, przy drugim hurra dołączył do niego młodszy brat, i nagle wszyscy zaczęli krzyżeć hurra, ja też krzychałem, lecz kiedy spojrzałem na twarz Prodana, zobaczyłem że od tego wymachiwania musiała go chyba rozboleć rana na ramieniu.

Od tej pory cały tydzień szykowaliśmy się do bitwy, każdy wiedział, że to będzie wielka przeprawa, bo jeśli nawet Frunzowie nie walczyli w wojnie domowej, to i tak byli bardzo groźni, zanim tu trafili, mieszkali gdzieś na wsi, w górach, na zachodnich połoninach, żyli tam prawdopodobnie jak Indianie, polowali i chwyтали ptaki, dopóki ich ojciec nie umarł, nikt dokładnie nie wiedział, ile bracia Frunzowie mają lat, bo obaj chodzili do szóstej klasy, chociaż Remus był wyższy od tych z dziewiątej, natomiast

jego młodszy brat, Romulus, był taki niski, że nawet wśród czwartoklasistów zaliczał się do mikrusów, ale obaj byli bardzo silni i obaj równie dobrze umieli się bić, obaj też znali się na broni, procę mieli na przykład zrobioną nie z dętki rowerowej, tylko z prawdziwej białej gumy, słyszeliśmy też, że dla chłopaków z sąsiedniej ulicy robią różne rodzaje tajnej broni, dlatego szykowaliśmy ostre naboje do naszych dmuchaw, takie zakończone szpilką, ja nawet zrobiłem sobie z tektury i folii aluminiowej zbroję do ochrony pleców, wypróbowałem, czy mi się zmieści pod koszulką z krótkim rękawem, poprosiłem też Paju, żeby do mnie strzelił z tyłu, by się przekonać, czy jest skuteczna, ale nie chciał, powiedział, żebym sobie przypomniał, co się stało, kiedy sprawdzałem, czy potrafię w locie złapać strzałę, jak

110

Indianie na filmach, zauważyłem jednak, że wtedy byłem mały, dziewięcioletni szcyl, nie miałem rzecz jasna odpowiedniego refleksu, na szczęście gwóźdź na końcu strzały nie był zbyt ostry i tylko na jakieś dwa centymetry wszedł mi w ramię, właściwie to przebił skórę, bo kość przedramienia go zatrzymała, co prawda zastrzyki przeciwko tężcowi były potem dosyć bolesne, ale teraz już tak nie będzie, jesteśmy starsi, mamy prawie po dwanaście lat, zresztą skuteczność tej zbroi nie zależy od refleksu, lecz Paju i tak nie chciał, w końcu za cztery irysy się zgodził, trzy razy strzelił mi w plecy, zbroja oczywiście świetnie się spisała, kul prawie nie poczułem, tylko coś jakby ugryzienie komara, postanowiłem wtedy, że także na piersi zrobię sobie pancierz, nawet zgromadziłem odpowiednie kawałki tektury, pozostało mi tylko szycie i klejenie, jakieś pół dnia roboty, ale właśnie skończył mi się klej, nic więc z tego planu nie wyszło.

Kiedy pracowałem nad zbroją, często myślałem o ultimatum, o gołębiu z uciętą głową i o tym, że teraz to już nie będzie zabawa tylko prawdziwa wojna, że naprawdę poleje się krew, a ilekroć myślałem o tym zakrwawionym gołębiu, tylekroć ścisnęło mi się serce, lecz chyba nie tylko mnie, Paju któregoś dnia stwierdził, możliwe, że jego na polu bitwy mimo wszystko nie będzie, bo ojciec nie chce go puścić, a kiedy spytałem, po co powiedział ojcu, w końcu jak ci ze spółdzielni dowiedzą się, że zamierzamy wydeptać im pszenicę, to nam nie pozwolą, w dodatku jeszcze nas zleją, to Paju bardzo wściekły odparł, że wcale nie powiedział i że łatwo mi mówić, mój ojciec jest nad Kanałem, mogę więc robić, co chcę, nie ma mnie kto sprać, na co powiedziałem, że jest tchórzem, gorszym niż zafajdany przedszkolak,

111

i żeby nie śmiał wspominać o moim ojcu, bo go kopnę, no i jeszcze, że jak nie stawi się na polu bitwy, to na zawsze straci swój pionierski honor, w niedzielę rano sam jednak

pomyślałem, że może lepiej będzie zostać w domu, ale po śniadaniu wyjąłem swoją dmuchawę, założyłem sobie na krzyż dwa pasy z nabojami, które wcześniej na ślinę ukreśliłem z papieru i porządnie wysuszyłem, matce powiedziałem, że idę się pobawić, pomyślałem wtedy, jakby to było dobrze, gdyby powiedziała, że nigdzie nie pójdę, muszę zostać w domu, bo jestem jej potrzebny, ale matka nic nie powiedziała, nawet nie wstała z fotela pod oknem, gdzie ostatnio przesiadywała, tylko skinęła głową, że dobrze, wyruszyłem więc, poszedłem na wzgórze, pod Wielkie Drzewo, bo wiedziałem, że inni też wkrótce przyjdą, żeby omówić taktykę i strategię.

Kiedy tam dotarłem, w starym hełmie bojowym płonął ogień i prawie wszyscy z bloku już byli, każdy przyniósł swoje uzbrojenie, Jancsi z kolegami wytoczyli na warsztatach prawdziwe gwiazdki do rzucania i tomahawki, ja też miałem ze sobą swój blaszany nóż, szczerze mówiąc, wiedziałem, że w walce wręcz nie na wiele się przyda, wziąłem go jednak, bo pomyślałem, że jak się człowiek ukrywa w zbożu, to raźniej mu trzymać rękę na trzonku noża, no i kiedy dotarłem do Dużego Drzewa, Csabi właśnie wypywał do hełmu dwie garście korków, dym zrobił się od tego jeszcze bardziej śmierdzący, wszyscy już byli, z wyjątkiem dowódcy, Dużego Prodana, najsilniejszego chłopaka w okolicy, którego, zanim zjawili się Frunzowie, nikt nigdy nie pokonał, to on zdobył hełm, opowiadał, że wykopał go z grobu jakiegoś żołnierza poległego na wojnie domowej> ale nikt w to nie wierzył, Janika powiedział mi kiedyś, że to 112

nawet nie jest hełm, tylko kociołek na gulasz, zanim korki się spaliły, przyszedł Prodan, miał czterostrzelną dmuchawę, bardzo sprytnie ją zrobił, każdą plastikową rurkę oddzielnie owinał taśmą klejącą, każda miała też swoją kolbę, wyglądało to jak prawdziwy pistolet maszynowy, Prodan wykombinował nawet pasek, żeby móc zawiesić dmuchawę na szyi, do boku natomiast przytroczył sobie buzdygan, który zrobił z hantla, na obu rękach aż po łokcie miał ochraniacze wybijane kwadratowymi, miedzianymi gwoździami, których używają cieśle okrętowi, obok buzdyganu zwiślał mu jeszcze nóż o długiej czarnej rękojeści, nigdy wcześniej takiego nie widziałem, Prodan wyglądał bardzo bojowo, kiedy podszedł do hełmu, odpiął manierkę, zalał wodą kopcące się korki, zaczęły wtedy skwierczeć, buchnął gęsty dym, po czym w hełmie została płynna sadza, przypominająca smołę, była to nasza barwa ochronna, rozpoczął Prodan, dokładnie wysmarował sobie twarz i czoło, był prawie nie do poznania, potem wydał okrzyk bojowy, wtedy wszyscy po kolei nałożyli sobie na twarz farbę, ja też się wysmarowałem, uważałem tylko, by nie dostała mi się do ust, bo wiedziałem, że popiół z korka ma bardzo gorzki

smak, nie pomyślałem, że wraz z potem i tak spłynie mi do gardła, a kiedy już wszyscy mieliśmy czarne twarze i byliśmy gotowi, Prodan stanął przed nami i powiedział, że to będzie długa i ciężka bitwa, należy zapamiętać, że kwatera główna przeciwnika znajduje się po drugiej stronie pola, na skraju lasu, przy ambonie, musimy tam dotrzeć, by odzyskać skórzaną piłkę, ale to nie wszystko, czego potrzeba do zwycięstwa, musimy jeszcze piłkę dostarczyć tutaj, pod duże Drzewo, i najlepiej będzie pod względem taktycznym, Jeśli z początku możliwie najciszej i najszerzej rozproszymy

113
się i dopiero na jego znak ze wszystkich stron zaatakujemy tamtych, potem mnie i Paju kazał podejść, powiedział że będziemy ekstraswiadem, otrzymamy więc specjalne zadanie, a kiedy podeszliśmy, powiedział, że jak da znak i wszyscy zaczną krzyczeć hurra, to mamy zostać w zbożu, nie atakować razem z innymi, tylko podkraść się jak najbliżej ambony, i żebyśmy raczej nie strzelali nikomu w plecy, jeśli nie będziemy musieli, a gdy usłyszymy, że wydaje trzykrotny okrzyk bojowy, wyskoczmy z ukrycia i spróbujmy odzyskać piłkę, jeśli nam się uda, mamy biec najszybciej jak potrafimy z powrotem do Dużego Drzewa, on do nas w odpowiedniej chwili dołączy i ostatni odcinek przebiegnie z piłką sam, jego nie dogonią, tak wywalczymy zwycięstwo, po czym spojrzał na nas i spytał, czy zrozumieliśmy, powiedzieliśmy obaj, że tak, ale ja dodałem, że nie podoba mi się to ukrywanie i dlaczego na zwiad nie wyśle raczej swego młodszego brata, i czy nie moglibyśmy jednak wziąć udziału w walce wręcz, wtedy Prodan odparł, że owszem, dlaczego nie, możemy, jeśli chcemy przegrać i w dodatku sprzeciwić się woli dowódcy, szczerze mówiąc jesteśmy za słabi do prawdziwej walki, jak śmiemy zresztą wspominać o jego młodszym bracie i bezczelnie pleść o walce wręcz, skoro obaj jesteśmy tchórzliwymi zasrańcami, widzi przecież, że zaraz narobimy w gacie ze strachu, tak się boimy tych Frunzów, i jeszcze słowo, a odbierze nam broń, i bez niej wyśle w zboże, kiedy to mówił, wściekle potrząsał głową, wyciągnął też ten duży nóż, którego wcześniej nigdy u niego nie widziałem, podetknął nam go pod nos i powiedział, byśmy przyjęli do wiadomości, że to prawdziwy bagnet i że wykopał go z tego samego grobu co hełm, a wyźłobienie na końcu ostrza to

114
z pewnością kanał na krew, i jeśli nie będziemy ściśle wykonywali jego rozkazów, to mamy się nie zdziwić, jak zobaczymy w nim własną, bo przysięga, że dźgnie każdego z nas tym bagnetem w brzuch, niewykluczone, że potem nawet nas oskalpuje, staliśmy bez słowa, Prodan spytał, czy zrozumieliśmy, odpowiedzieliśmy, że tak, a ja w duchu pragnąłem, żeby mu się rana na ramieniu otworzyła i żeby

dostał zakażenia, wtedy Prodan schował bagnet i zwracając się do reszty, wydał rozkaz, do boju, stanęliśmy więc w kółku, każdy wyciągnął prawą rękę, położył na wyciągniętej ręce poprzednika, wszyscy naraz wydaliśmy okrzyk bojowy, braterstwo i sprawiedliwość, rewolucja zwycięży, po czym pobiegliśmy w kierunku łąki pszenicy.

Kiedy tam dotarliśmy, każdy położył się na brzuchu i zaczął czołgać w zbożu, trzeba było uważać, by wygniść możliwie najwęższy pas, bo to, co wygniemy, tak już zostanie, jak pas będzie za szeroki, to zobaczą nas z daleka i łatwo trafią jakąś błotną bombą, nieźle boli, kiedy człowiek dostanie wielką na dwie pięści grudą gliny, słowem, czołgaliśmy się ostrożnie, mimo to łodygi, źdźbła, liście ocierały nam nogi i ramiona, my z Paju i tak mieliśmy szczęście, że nie musieliśmy się spieszyć, Prodan powiedział, że w naszym wypadku im wolniej, tym lepiej, reszta tymczasem rozproszyła się zgodnie z rozkazem i już nawet nie było ich słychać.

Kiedy się tak czołgaliśmy, dotknąłem nagle czegoś lepkiego, kiedy to poczułem, od razu cofnąłem rękę, ale było już za późno, całą dłoń miałem umazaną w jakiejś czarnej mazi, była to smoła czy dziegieć, rozlany długą strugą wśród pszenicy, powiedziałem do Paju, żeby uważał i sam tego nie dotknął, potem drugą ręką wyrwałem dużą garść

115
zboża i szorstkimi źdźbłami próbowałem zeskrobać maz, dosyć opornie mi szło, musiałem jeszcze wycierać rękę o ziemię, a potem, kiedy znowu zaczęliśmy się czołgać, zwracałem uwagę, by się znowu w coś nie wpakować. Mieliśmy już za sobą dobre czterdzieści metrów, kiedy Paju złapał mnie nagle za łokieć i szepnął, byśmy trochę odpoczęli, zaraz potem położył palec na ustach, żebym był cicho, jakbym sam nie wiedział, że nie wolno rozmawiać, na chwilę zastygliśmy, rozejrzałem się powoli, czy nie zobaczę w zbożu jakiegoś ruchu, ale rzędy kłosów stały gęsto obok siebie, niczego nie widziałem, poczekaliśmy więc trochę, bo wiedzieliśmy, że niedługo zacznie się natarcie, dosyć niewygodnie było tak leżeć na łokciach, dałem więc Paju znak, byśmy usiedli i oparli się o siebie plecami, będzie nam trochę łatwiej, tak więc zrobiliśmy, ja nawet na chwilę wystawiłem głowę ze zboża, nie widziałem jednak niczego prócz kołyszących się we wszystkie strony kłosów, szybko się schowałem i nadal czekałem, panowała zupełna cisza, wcale nie było słychać, że w zbożu jest pełno dzieciaków, słońce już mocno grzało, zapowiadał się upał, wziąłem swoją dmuchawę i włożyłem do niej pocisk, wyobraziłem sobie, że to wcale nie jest plastikowa rurka tylko porządna, drewniana i że na końcu pocisku zamiast zwykłej szpilki znajduje się prawdziwa żabia trucizna, bo w końcu nasza wojna też jest prawdziwa, na śmierć i życie,

włącznie ze skalpowaniem, chwyciłem swój nóż i wyobraziłem sobie, że to prawdziwy nóż do skalpowania, wiedziałem, jak się skalpuje, że trzeba ostrzem przejechać wokół czaszki pod linią włosów, a potem nagłym ruchem zerwać skalp, no, ale mój blaszany nóż nie był ostry, pożałowałem więc swego scyzoryka w kształcie ryby, który

116
też nie sprawował się jak brzytwa, ale miał przynajmniej porządne stalowe ostrze, poczułem, że Puju trąca mnie łokciem w bok, myślałem, że chce mi coś powiedzieć, ale tylko odepchnął się łokciami od moich pleców i padł gwałtownie na brzuch, sądziłem, że dostał jakimś tajemniczym pociskiem, ale szybko się odwrócił i pokazał mi zaciśnięte ręce, szepnął, żebym zobaczył, co złapał, nachyliłem się, wtedy zrobił małą szparę, zajrzałem więc między jego palce w czarnych skórzanych rękawiczkach i zobaczyłem, że tym razem wcale nie chce mnie nabrać, rzeczywiście trzymał w dłoniach małą mysz, nie ruszała się, wyglądała jak garść szarej sierści, ogon zwisał jej na zewnątrz, Puju szeptem powiedział, że trzeba by ją pokroić, ale ja powiedziałem, że raczej zedrzeć z niej skórę, bo jej futerko do złudzenia przypominałoby skalp, lecz Puju też nie miał przy sobie porządnego noża, nie mieliśmy nawet żyłki, mogliśmy co najwyżej użyć ostrej amunicji do dmuchawy, Puju nawet wyjął taki pocisk i podał mi, żebym ja to zrobił, wtedy jednak usłyszeliśmy bardzo głośny krzyk Prodana, wiedzieliśmy, że znowu woła, rewolucja zwycięży, choć nie rozumieliśmy słów, bo znajdował się dosyć daleko, wtedy nasi zaczęli zewsząd głośno wołać hurra, wyskoczyli z ukrycia i pobiegli w stronę przeciwległego krańca pola, tam, gdzie pod lasem kończyło się zboże, kiedy przyklękaliśmy, żeby wyrzeć i zobaczyć, jak dalej iść, mysz wyśliznęła się z rąk Puju i zniknęła w zbożu, tymczasem zobaczyliśmy, że ci z innej ulicy też wyskakują spomiędzy kłosów, łatwo ich było rozpoznać, bo wszyscy mieli twarze pomalowane czerwoną farbą wojenną, stali w dwóch szeregach, z przodu procarze, z dziesięć metrów za nimi łucznicy, u nikogo nie zauważyłem dmuchawy, zaczęli

117
strzelać do naszych, szybko położyliśmy się na brzuchu i znowu zaczęliśmy się czołgać, tymczasem słyszeliśmy, jak świszczą wokół nas kamienie wystrzeliwane z procy, w trakcie czołgania znalazłem również dwie strzały, były wbite w ziemię, jedną z nich wyciągnąłem, miała porządną lotkę z piór, w grocie tkwił gwóźdź, lecz główką do przodu, był więc tępy, ale i tak pewnie narobiłby kłopotu, gdyby człowiek dostał nim, dajmy na to, w głowę, słyszałem, jak wszyscy wkoło krzyczą i jak walczą ze sobą, dawniej, kiedy bawiliśmy się w wojnę, ten, kto został położony na łopatkę, musiał już tak leżeć do końca bitwy, uchodził za

martwego, teraz jednak walczyli, zdaje się, na poważnie, bo wszyscy wrzeszczeli i przeklinali, kiedy byliśmy już blisko miejsca, gdzie toczyła się najzagorzalsza bitwa, przywarliśmy do ziemi całkiem płasko i w takiej pozycji czołgaliśmy się dalej, niemal opadłem z sił, bolały mnie kolana i łokcie, tekturowa zbroja wpijała mi się w plecy, żałowałem, że ją sobie zrobiłem, ale postanowiłem jej nie zdejmować, bo wiedziałem, że wtedy Puju będzie się ze mnie śmiał. Nie mogliśmy zrobić nic innego, jak czołgać się dalej, nikt już nie strzelał, słychać było tylko bijatykę i nieskoordynowane okrzyki, ktoś tuż obok krzyczał, że się poddaje i że rannym nie wolno robić krzywdy, potem zaczął wrzeszczeć, że to zdrada i że tak nie można, nie rozpoznałem głosu, spojrzałem na Puju, ale on też pokręcił tylko głową, czołgaliśmy się, nie wiedząc, ile nam jeszcze zostało do ambony, nie mieliśmy jednak odwagi wyjrzeć, byłem cały spocony, bardzo żałowałem, że nie wziąłem ze sobą manierki, Puju też nie, choć po tym, jak dyszał, poznałem, że również chce mu się pić, pole zaczęło się trochę wznosić, czułem, że czołgamy się pod górę, co znaczyło, że ambona

118

musi być już gdzieś niedaleko, znajdowała się na skraju lasu, tam właśnie kończyło się zboże, nagle usłyszeliśmy za sobą krzyk, jakby kogoś mordowali, aż mi ciarki przeszły po plecach, Puju na mnie spojrzał i powiedział, lepiej wracajmy, bo oni teraz naprawdę kogoś zabili, powiedziałem jednak, że nie sądzę i żeby poczekał, wyjrzę, sprawdzę, gdzie jesteśmy, na chwilę wystawiłem głowę z pszenicy i od razu zobaczyłem ambonę, była na wprost nas, bardzo blisko, nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów, położyłem się znowu w zbożu i szepnąłem do Puju, żeby się nie bał, bo posuwamy się w dobrym kierunku i stąd już nie warto zawracać, niech sobie przypomni, co mówił Prodan, ale on stwierdził, że kicha na Prodana, mimo wszystko czołgaliśmy się dalej, jeden za drugim, byliśmy już jednak tacy zmęczeni, że nie robiliśmy tego przepisowo, jak nas uczyli na zajęciach z przysposobienia obronnego, tylko po prostu pełzaliśmy na czworakach, znowu ja byłem z przodu, torowałem drogę, ale panował już straszny skwar, czułem więc, jak spływam potem, nie ustawialiśmy jednak, słyszeliśmy, że za nami bitwa wciąż trwa, co jakiś czas przelatywała nam nad głową strzała, coraz bardziej chciało nam się pić i byliśmy coraz bardziej spoceni, kiedy odniosłem wrażenie, że jesteśmy już prawie u celu, przywarłem brzuchem do ziemi, Puju obok mnie, a kiedy wyjrzelśmy, zobaczyliśmy ambonę i głowę dziecka zatknętą na lancy, poczuliśmy jeszcze większe pragnienie, wtedy Puju powiedział, że jego nic nie obchodzi, on wraca, idzie po manierkę, bo od tej idiotycznej farby strasznie gorzko mu w ustach, nie ruszył się jednak rzecz jasna, za to widziałem, jak warga mu drży,

sam też byłem wystraszony, tak bardzo, że nie zgodziłem się raz jeszcze wyrzeć ze zboża.

119

Czas jakiś leżeliśmy na brzuchu nieruchomo, kiedy uniosłem się na łokciach, poczułem, jak pot i farba wojenna spływają mi po szyi prosto pod pachę, przyszło mi do głowy, że jak dłużej poleżę na słońcu, będę wyglądał jak zebra, i tak mi się zachciało śmiać, że ledwo się powstrzymałem, Paju pociągnął mnie za łokieć i spytał szeptem, co jest, dlaczego mi tak wesoło, machnąłem tylko ręką, że nieważne, potem podczołgałem się kawałek dalej i znowu wyjrzałem, nad amboną wciąż krążyły gołębie, zauważyłem wokół niej ze trzydzieści metrów wydeptanej pszenicy, nigdzie jednak nie dostrzegłem warty, zupełnie jakby ta jedna dzida starczyła za posterunek, wtedy obejrzałem się w kierunku bitwy, nie widziałem jednak niczego poza falującą pszenicą tam, gdzie chłopaki ze sobą walczyli, potem ktoś nagle wyskoczył, widać go było do pasa, i zaczął biec w stronę ambony, z początku myślałem, że to Mały Prodan, ale potem poznałem Jancsiego, udało mu się zrobić ze dwa kroki, po czym ktoś go dogonił i pewnie złapał, bo Jancsi krzyknął i z rozłożonymi ramionami runął z powrotem w zboże, wtedy znowu położyłem się na brzuchu i powiedziałem do Paju, że ambony nikt nie pilnuje, może by więc jednak wdrapać się po piłkę, najlepiej będzie, jak zaraz wyruszy, ale zaczął mówić, że ta cała wojna to jedno wielkie oszukaństwo, na ambonę w ogóle nie wolno wchodzić, bo należy do państwowego związku łowieckiego, i tylko ten może na nią wejść, kto ma licencję, ojciec mu mówił, że ludzie ze spółdzielni zwykle obserwują przez lornetkę, czy nie wchodzi na nią kłusownicy, widziałem, że wciąż jest błady jak ściana, słońce prażyło, nie miałem już właściwie siły rozmawiać, tak zaschło mi w gardle, ale splunąłem jakoś na ziemię czarną, gorzką śliną, pomyślałem o bagnecie

120

Prodana i powiedziałem do Paju, że mam dość i że skoro on się aż tak spietrał, to ja wejdę na ambonę, wejdę i już, ale Paju powiedział, po co zgrywam chojraka, skoro wiem, że nie mogę się ruszyć, dopóki Prodan nie da nam znać, wtedy znowu poczułem w ustach ten obrzydliwy smak popiołu z korka, lecz już nawet nie starczyło mi śliny, żeby splunąć, powiedziałem, że Prodan razem ze swoim bagnetem może iść do diabła, przyklęknąłem, rzuciłem na ziemię swoją dmuchawę i pasy z amunicją, po czym wstałem i ile sił w nogach zacząłem biec w stronę ambony.

Kiedy ruszałem, obiecałem sobie w duchu, że nie będę nazbyt dokładnie przyglądał się lancy, gdy jednak do niej dotarłem, nie wytrzymałem, musiałem spojrzeć, zobaczyłem wtedy, że jest cała we krwi i że w zawiązanym na czubku plastikowym worku po sztucznym nawozie krew

sięga jeszcze na wysokość dłoni, co jednak było zatknięte na ostrzu, tego nie widziałem i nie zamierzałem sprawdzać, wolałem odwrócić głowę, bo bałem się, że jednak zabraknie mi odwagi, by wdrapać się na ambonę, pomyślałem, że to pewnie jakiś gołąb albo królik upolowany przez kłusowników, tymczasem dobiegłem do ambony i zacząłem się wspinać po drabinie.

Nie była to zresztą prawdziwa drabina, tylko słup, do którego na krzyż przymocowano listwy, jak wchodziłem, nieźle się chwiały, listwy za to trzeszczały, musiałem się więc mocno trzymać, by nie spaść, nagle popatrzyłem w górę na ambonę, zobaczyłem, że ktoś tam jest, Remus Frunza, wciśnięty w kącie, siedział na zwoju sznura, widziałem, jak Pali papierosa, twarz miał całą w czerwonej wojennej farbie, patrzył wprost na mnie przez szparę między deskami Podłogi, byłem okropnie zaskoczony, bo cały czas myślałem,

121
że on również walczy w zbożu razem z innymi, tak się go przestraszyłem, że nie mogłem wydobyć głosu ani oderwać rąk od ostatniego szczebla drabiny, Remus Frunza też nic nie mówił, tylko patrzył, a kiedy zamrugał, zobaczyłem, że także powieki ma pomalowane czerwoną farbą, brwi natomiast pogrubione czarną, czarne pasy miał też na twarzy i czole, wyglądał naprawdę groźnie, czułem, jak ściska mnie w gardle, pomyślałem, że trzeba by zejść, ciągle jednak nie mogłem się ruszyć, z całej siły ścisnąłem drabinę, wtedy ktoś krzyknął, żebym się nie zatrzymywał, tylko szedł dalej, był to Romulus Frunza, młodszy brat Remusa, który również tam siedział, na podłodze ambony, tylko z początku go nie zauważyłem, Remus skinął głową, wciąż jednak milczał, zaciągał się papierosem i przez obie dziurki w nosie wypuszczał dym, jakoś się w końcu ruszyłem i zdołałem wdrapać na szczyt drabiny, wydawało mi się jednak, że mam nogi z ołowiu, wtedy Remus Frunza nagle się wychylił, złapał mnie za przegub i bez słowa wciągnął na ambonę, usłyszałem, że Romulus pyta, jak się nazywam, kiedy powiedziałem, skinął głową i spytał, czy wobec tego jestem tym sierotą, na co powiedziałem, że nie, że mój ojciec tylko wyjechał nad Kanał Dunaj-Morze Czarne, Romulus machnął wtedy ręką i stwierdził, że to na jedno wychodzi, po czym powiedział, że mi gratuluje, bo nie sądził, że ktokolwiek z nas tutaj dotrze, następnie spytał, czego tu szukam, wtedy Remus Frunza też na mnie spojrział, jakby czekał, co odpowiem, tymczasem zgasił papierosa w blaszanej pokrywce od bańki na mleko, nie miałem odwagi nic powiedzieć, wtedy Remus Frunza wyjął nóż sprężynowy, ale go nie otworzył, tylko obracał w ręku, a Romulus powiedział, że pyta po raz ostatni, czego tu szukam,

122
skoro wiem, że ambona jest miejscem, gdzie wszystkich

obowiązuje zakaz wstępu, bałem się rzecz jasna zapytać, co wobec tego oni tu robią, powiedziałem więc tylko, że przyszedłem po piłkę, na co Romulus Frunza odparł, no proszę, faktycznie, któż by przypuszczał, mówił to z ironią, lecz wcale się przy tym nie uśmiechał, w końcu powiedział, w porządku, skoro już tu jestem, mogę usiąść, tylko ostrożnie, bo wszystko jest obsrane przez gołębie, wtedy spojrzałem w górę i zobaczyłem, że pod dachem na skrzyżowanych deskach siedzi ich ze czterdzieści, czyściły sobie pióra i wyciągały szyje, na dobrą sprawę nie było gdzie usiąść, całą podłogę zajmował Romulus Frunza, być może znalazłoby się trochę miejsca na zwoju sznura obok Remusa, ale tam nie śmiałem usiąść, chociaż schował już nóż sprężynowy, powiedziałem więc, że dziękuję, że ja tylko po piłkę i jeśli to możliwe, wziąłbym ją i już sobie poszedł, ale Romulus Frunza stwierdził krótko, że nigdzie nie pójde, po czym spytał, czy widzę gdzieś tutaj piłkę, na co powiedziałem, że nie, bo rzeczywiście nie widziałem, oblizałem jednak usta i dodałem, że to oszukaństwo, bo była mowa o tym, że piłka tu będzie, i że to niehonorowo, Romulus Frunza na to, żebym przyjął do wiadomości, że wojna nigdy nie jest honorowa, bo nie o honor chodzi, tylko o zwycięstwo, ale docenia moją odwagę, docenia, że powiedziałem mu to prosto w oczy, zaraz się jednak okaże, czy naprawdę jestem odważny, czy tylko mocny w gębie, da mi okazję, żebym się sprawdził, kiedy to powiedział, Remus wyciągnął zza zwoju sznura kawałek deski, położył na ziemi, na środku widać było jakąś brunatną plamę, która kształtem przypominała dłoń z rozcapierzonymi palcami, Romulus kazał mi uklęknąć i położyć prawą rękę na desce, kiedy

123

położyłem, uświadomiłem sobie nagle, co nastąpi, bo widziałem kiedyś coś takiego na jednym filmie o partyzantach, najchętniej cofnąłbym rękę, ale było już za późno, bo Remus znowu wyjął nóż sprężynowy i wypuścił ostrze, wbijając je w drewno między moim dużym a serdecznym palcem, kiedy nóż drżał, czułem, jak powierzchnia ostrza dotyka skóry na moim serdecznym palcu, tymczasem Romulus powiedział, że jego brat ma dość pewną rękę, lecz żebym raczej nie próbował cofać dłoni, bo wtedy, kto wie, nóż może mu się omsknąć, Remus nic nie mówił, tylko chwycił za rękojęść, wyciągnął nóż z drewna i zaczął wolno stukać nim między moimi palcami, słyszałem, jak ostrze z hukiem zagłębia się w deskę, a kiedy Remus je wyciąga, deska trzeszczy, huk i trzask, huk i trzask, spojrzałem w dół na swoją dłoń, palce, takie rozcapierzone, wydały mi się bardzo cienkie, pomyślałem jednak, że nie dość cienkie, bo Remus wcześniej czy później i tak w któryś trafi, czułem, że mam gęsią skórę na całej ręce, aż po bark, nie chciałem na to patrzeć, nie chciałem widzieć, jak nóż ska-

cze między palcami, wolałem raczej wolno podnieść głowę, by tam nie patrzeć, a kiedy podniosłem, zobaczyłem, że Romulus Frunza mnie obserwuje, uśmiecha się i kiwa głową, powiedział wtedy, no dobra, na razie w porządku, usłyszałem, jak tempo huków i trzasków przyspiesza, mimo to nie spojrzałem w dół, tylko dalej patrzyłem na Romulusa, a Romulus spytał, czy jestem pewien, że chcę zabrać piłkę, chciałem powiedzieć, że nie, wcale nie, niczego nie chcę, na co mi piłka Prodana, bylebym mógł cofnąć rękę, tymczasem czułem, jak deska pod moją dłońią drży od silniejszych pchnięć nożem, nic jednak nie powiedziałem, tylko skinałem głową, chociaż wiedziałem, że powinienem był

124
raczej głową pokręcić, a jednak skinałem, wtedy Romulus powiedział, no dobra, żebym jednak przyjął do wiadomości, że tym swoim uporem ściągnę kłopoty nie tylko na siebie, lecz również na wszystkich chłopaków z naszej ulicy, ale jak wytrzymam do chwili, kiedy on powie bratu, by przestał, to zdradzi mi, gdzie jest piłka, jeśli jednak nie wytrzymam, to też nie będzie nieszczęścia, mam tylko powiedzieć, starczy, poddam się, a nóż w rękę brata zatrzyma się i będę mógł odejść wolny, pomyślałem o lancy wbitej w ziemię i o tym, że z worka po nawozie sączy się krew, wiedziałem, że i tak po mnie, wszystko jedno, co powiem, i powiedziałem, że sprawiedliwie byłoby, gdyby Romulus też położył rękę obok mojej, Romulus jakoś się nawet nie rozgniewał, tylko powiedział, że tu on decyduje, co jest sprawiedliwe, a co nie, zamilkłem więc, starałem się nawet nie patrzeć na Romulusa, raczej gdzieś poza niego, na ścianę ambony chroniącą od wiatru, i wtedy zobaczyłem na jednej z desek mnóstwo przybitych obok siebie gołębich skrzydeł, poczułem też, że Remus jeszcze szybciej macha nożem, nagle Romulus spytał, od kiedy nie mamy wieści o ojcu, omal nie poruszyłem ręką, tak mnie zaskoczył tym pytaniem, chciałem powiedzieć, że nic mu do tego, w końcu jednak powiedziałem, że już od dość dawna, na co Romulus, że teraz to już powinienem przyjąć do wiadomości, że też jestem sierotą, tak samo jak on i jego starszy brat, powiedziałem, że to nieprawda, nie jestem sierotą, i znowu spojrzałem w dół na swoją rękę, wtedy już Remus machał tak szybko, że nie było widać, między które palce wbija nóż, huki i trzaski zlały się w jedno, a deska po prostu wibrowała pod moją dłońią, miałem wrażenie, że na wszystkich palcach naraz czuję chłód ostrza, jakby mi naciągnięto

125
wielką, drgającą, żelazną rękawicę, miałem gęsią skórę na całym ciele, przyszło mi na myśl, że pewnie włosy stoją mi na głowie, jak wtedy na fizyce, kiedy podłączyli mnie do prądu, lewą rękę zacisnąłem w pięść, czułem, że prawą ręką zaraz chwycę się deski, wiedziałem też, co się wtedy

stanie, ostrze noża wejdzie mi w palec jak w masło, dlatego za nic nie chciałem ruszyć ręką, wiedziałem, że nie mogę tego zrobić, patrzyłem na Remusa Frunzę, widziałem, jak wysunął koniuszek języka, zmrużył oczy i tak skoncentrowany spoglądał na swoją rękę, chyba jednak poczuł, że na niego patrzę, bo też na mnie spojrzął i nóż jeszcze szybciej zaczął chodzić między moimi palcami, pomyślałem, to koniec, szybciej już nie można, zaraz pewnie przestanie, a wtedy Remus nagle się roześmiał i zamknął oczy, zauważyłem, że wszystkie zęby ma pomalowane na czarno, powieki na czerwono, a na każdej, pośrodku narysowana była węglem drzewnym wielka czarna źrenica, kiedy to zobaczyłem, znowu zacząłem się pocić, wiedziałem, że już po mnie, teraz, kiedy robi to na ślepo, na pewno się pomyli, na pewno dźgnie mnie w jakiś palec, wiedziałem, że już dłużej nie wytrzymam, że będę krzyczał, błagał, by przestał, i wtedy zacisnąłem zęby, bo jednak nie chciałem krzyczeć, wiedziałem, że gdybym zaczął, to wbiłby mi nóż w sam środek dłoni, pamiętałem, że tak było na filmie, to była kara dla tchórzy, ale wtedy już krzyk zaczął mi pęcznieć w gardle i zacharczałem, sycząc przez zaciśnięte zęby, twarz mi zastygła w takim skurczu, że bolał mnie i pulsował każdy mięsień z osobna, ale rękę cały czas trzymałem przycisniętą do deski, wciąż jeszcze nie powiedziałem dość, choć przez ten zduszony krzyk i tak nic już bym nie zdołał powiedzieć, i wtedy Romulus Frunza zaśmiał mi się w nos,

126

niespodziewanie wyciągnął rękę i położył obok mojej, Remus nawet nie otworzył oczu, pewnie jednak wiedział, co się stało, bo zaraz zaczął wbijać nóż również pomiędzy palce młodszego brata, w takim tempie, że już nic nie było widać, a od wibrowania deski pod moją dłoń miałem wrażenie, że cała ambona się chwieje, nie krzyczałem jednak, tylko głośno syczałem, i wtedy Romulus Frunza się odezwał, powiedział, no dobra, nigdy by nie przypuszczał, że tak długo wytrzymam, teraz już tylko muszę sam przed sobą przyznać, że jestem sierotą, że ja też nie mam ojca, muszę tylko powiedzieć, że wiem, że nie żyje, nigdy nie wróci do domu, a on mi od razu powie, gdzie jest piłka, nadal jednak milczałem, wtedy Romulus znowu się odezwał i powiedział, bym uwierzył, że i dla mnie będzie lepiej, jeśli to wypowiem, zobaczę, jak mi ulży, w tej samej chwili, w której zamykał usta, domyśliłem się, gdzie jest piłka, tylko nie mogłem pojąć, że mi to wcześniej nie przyszło do głowy, zacząłem głośno krzyczeć, że nie, za nic i niech obaj zdechną, nagle wyszarpnąłem rękę, kolanem popchnąłem deskę w stronę Remusa i rzuciłem się ku drabinie, jednocześnie widziałem, jak Remus otwiera oczy i dźga nożem prosto w miejsce, gdzie powinna być moja ręka, w sam środek, ponieważ jednak deska się obsunęła, zna-

lazała się tam ręka Romulusa, czy jednak Remus zatopił w niej nóż, czy też nie zatopił, nie widziałem, bo schodziłem już po drabinie, usłyszałem tylko, że jeden z nich wrzasnął, aż wszystkie gołębie zerwały się do lotu, schodziłem najszybciej, jak się dało, na końcu wysliznął mi się z rąk szczebel drabiny i spadłem na pupę tuż pod amboną, na szczęście nie bardzo się potłukłem, spojrzałem w górę i zobaczyłem, jak Remus Frunza wychyla się aż po pas

127
z ambony i schrypniętym, skrzeczącym głosem mówi, że-
bym biegł, ile mam sił w płucach, bo teraz to już koniec ze
mną, i gdybym nawet miał dwieście metrów przewagi, to
i tak mnie dogonią, wtedy poczułem, że szczypie mnie
ręka, obejrzałem ją i zobaczyłem, że w wielu miejscach
płynie z niej krew, nóż sprężynowy zostawił mi na palcach
drobne ranki, drabina również wysliznęła mi się dlatego,
że miałem zakrwawioną dłoń, aż do tej chwili chciałem
zostawić piłkę, niech będzie, gdzie jest, ale teraz pomyśla-
łem, że jednak jej nie zostawię, wstałem i podbiegłem do
dzidy, wyszarpanąłem ją z ziemi, zerwałem worek po na-
wozie, następnie rzuciłem dzidę i z workiem w ręku zaczą-
łem biec w kierunku Dużego Drzewa.

Po drodze czułem, jak z worka szerokim strumieniem
wylewa się krew, cały worek był nią umazany, wyslizgiwał
mi się z ręki, po ciężarze poznałem, że nie może się w nim
znajdować nic innego jak piłka, wiedziałem już również,
że ta krew jest tylko krwią gołębia, tymczasem zobaczy-
łem, jak Puju wyskakuje z pszenicy, zawołałem więc, że
mam piłkę, o tu, trzymam ją, i pędźmy już, ale Puju tyl-
ko stał na skraju pola i patrzył na ambonę, kiedy do niego
dobiegłem, również spojrzałem za siebie i zobaczyłem, jak
Romulus z pionierską sygnalówką wychyla się z ambony,
gdy tymczasem Remus błyskawicznie spuszcza się po dra-
binie, trzymając się zresztą tylko jedną ręką, bo w drugiej
ma zapaloną pochodnię, wtedy usłyszałem głośny dźwięk
trąbki, Romulus wygrywał na niej jakiegoś marsza, nie roz-
poznałem jakiego, wiedziałem jednak, że to na pewno zły
znak, wtedy zobaczyłem, jak ze zboża wyskakują chłopcy
z jego ulicy i zaczynają biec w stronę ambony, sądziłem,
że to mnie chcą złapać, zwalić z nóg i zabrać mi piłkę, ale

128
wtedy znowu spojrzałem za siebie i zobaczyłem, jak Remus
Frunza dociera do skraju pola, staje i przytyka do ziemi
pochodnię, pomyślałem o smole rozlanej wśród pszenicy,
usłyszałem też, jak dziegieć zajmuje się płomieniem, jak
skwierczy, wiedziałem już, co się stanie, dlaczego powie-
dzieli, że mogę sobie biec tak szybko, jak tylko potrafię,
wtedy jednak ogień był już przy mnie, widziałem, jak po-
suwa się w zbożu, z początku pszenica się nie zajęła, tylko
smoła, ciągnąca się długim zygzakiem wśród kłosów, wte-

dy wszyscy naraz zaczęli krzyczeć, i nasi, i tamci, wszyscy też wyskoczyli ze zboża, tymczasem pas płomieni rozdzielił się na dwa mniejsze, po czym rozgałęził we wszystkie strony, wtedy pszenica również się zapaliła, buchnął wysoki żółty słup ognia, dymu było niewiele, ale i tak zasłaniał bloki i miasto, słyszałem, jak chłopcy zaczynają kaszleć, wtedy już i nasi biegli, chociaż nie w takim porządku jak tamci, tylko każdy na własną rękę, jedni w kierunku Dużego Drzewa, inni w stronę ambony, ja wciąż pędziłem przed siebie, prosto w płomienie, z całej siły trzymałem worek po nawozie i wołałem Prodana, żeby przyszedł i wziął wreszcie ode mnie tę kurewską piłkę, chociaż wiedziałem, że to koniec bitwy, że trzeba zawrócić i uciekać z pola, bo wokół już wszystko się zajęło, ale nie byłem w stanie, biegłem w ogień, mając usta i płuca pełne ostrego dymu, czułem, że zaraz się rozkaszlę, ktoś, wrzeszcząc i wymachując, przebiegł koło mnie, nie rozpoznałem kto, wciąż biegłem w stronę ognia, wiedziałem, że powinienem się zatrzymać, ale wiedziałem też, że tego nie zrobię, tylko przetnę to morze płomieni, choć jednocześnie wątpiłem, by mi się udało, zauważyłem, że ktoś miota się pośród dymu i nagle Pomyślałem o Puju, gdzie się podział, no i o myszy, którą

129
chcieliśmy oskalpować, byłem już bardzo blisko, słyszałem, jak kłosa palą się z trzaskiem, był to taki sam dźwięk, jak odgłos karabinu maszynowego na filmach, wiedziałem, że zaraz upadnę i wypuszcze piłkę wprost w ogień, nagle usłyszałem, jak Romulus Frunza wykrzykuje moje imię, wrzeszczał, że teraz to już zginę, miałem przed sobą żółtą ścianę ognia, wtedy spojrzałem za siebie przez ramię i zobaczyłem, że Romulus siedzi okrakiem na plecach starszego brata niczym na koniu, Remus natomiast pędzi prosto na mnie i też krzyczy, że ze mną koniec, Romulus w dodatku wywijał jakimś lassem nad głową, słyszałem świst pętli, rzuciłem się wówczas do przodu, kiedy jednak odbijałem się od ziemi, poczułem, jak pętla przelatuje mi nad głową, po czym sznur zacisnął mi się na szyi, szarpnęło mną tak, że przewróciłem się na plecy, a worek po nawozie wypadł mi z ręki i razem z piłką potoczył się w sam środek płonącej pszenicy, obiema rękami sięgnąłem szyi, żeby przytrzymać sznur, tymczasem słyszałem, jak Remus wrzeszczy hurra, biegnąc z powrotem w stronę ambony, młodszego brata cały czas trzymał na barana, ciągnęli mnie za sobą po ziemi, odruchowo obróciłem się na bok, usiłowałem zdjąć z szyi pętlę, albo chociaż wstać, ale bolały mnie ręce, nie mogłem się też utrzymać na nogach, kiedy próbowałem się podnieść, płomienie zaczęły strzelać coraz wyżej, ogień trzaskał, od strony spółdzielni usłyszałem coś w rodzaju grzmotu, przemknęło mi wtedy przez myśl, co Puju mówił o żniwach i oleju napędowym,

że pewnie też się zapalił i teraz płonie, znowu zobaczyłem jakichś ludzi pośród płomieni, chciałem zawołać, żeby tutaj, tutaj biegli, grzmot potężniał, było jak w czasie burzy, tylko znacznie głośniejszy, tymczasem podkoszulka podjechała mi

130

pod gardło, a tekturowa zbroja się przekreśliła, sięgnąłem, żeby ją wyjąć, a wtedy sznur jeszcze mocniej zacisnął mi się na szyi, poczułem, że zaraz zemdleję, nagle zauważyłem, że po lewej stronie ktoś wyskakuje z pszenicy, był to Prodan, usta i nos zasłonił sobie podkoszulką i trzymając przed sobą dmuchawę w kształcie pistoletu maszynowego, biegł w stronę braci Frunzów, widziałem, że do najdłuższej lufy ma przymocowany bagnet, sądziłem, że dźgnie nim Remusa w plecy, ale rzucił się tylko na ziemię i od tyłu złapał go za nogi, ten runął jak długi, a Romulus spadł z pleców brata i potoczył się w zboże, sięgnąłem wtedy do szyi i zdjąłem sznur, prawa ręka tak mnie bolała, jakbym miał ją obdartą ze skóry, przykłęknąłem, zacząłem kaszleć, zobaczyłem, że Prodan zamierza jednak dźgnąć Remusa bagnetem, kiedy usłyszałem ogłuszający syk i wszystko wkoło zakrył gęsty, czarny dym, dużo, ale to dużo bardziej gorzki od palonego korka, usiłowałem go nie wdychać, chciałem się podnieść, by z niego wybiec, zawrócić do ambony, grzmot nasilił się jeszcze bardziej, mimo to słyszałem, jak wszędzie wokół mnie trzaska ogień, wtedy już wiedziałem, że na pewno nie zdołam wstać i na kolanach będę czekał, aż mnie pochłona płomienie.

Huk był taki, że pomyślałem, wszystko to tylko mi się zdaje, pewnie od tego nawdychanego dymu huczy mi w głowie, i nagle odniosłem wrażenie, że słyszę głos Puju, który mnie woła po imieniu, kiedy znowu spróbowałem wstać, dym nagle się rozwiął i zobaczyłem, jak zbliża się, dudniąc miarowo, kilka potężnych maszyn, były to kombajny, ciągnące za sobą przyczepy, dostrzegłem również wóz straży Pożarnej, stał na nim jeden z pracowników spółdzielni i z ręcznej sikawki polewał wodą pszenicę, przyjechały też

131

dwie ciężarówki, całe załadowane beczkami, ludzie wiadrami czerpali z nich wodę i w ten sposób również gasili zboże, jeden z kombajnów prowadził ojciec Puju, kiedy przejeżdżał obok mnie, słyszałem, jak klnie, nagle znowu złapał mnie kaszel, aż mi oczy zaszyły łzami, potem zobaczyłem, że na przyczepach ciągniętych przez kombajny jest pełno dzieci, a wśród nich Puju i że stamtąd mnie woła, kiedy się ze mną zrównały, spostrzegłem, że stoi tam również ojciec Prodanów, gdy mnie zobaczył, wychylił się i oburącz wciągnął do wozu, słyszałem, jak mówi, że pokaże mi wojnę, zanosłem się jeszcze kaszlem, kiedy wymierzył mi dwa potężne policzki, powiedział, że gdybym był jego synem, toby mnie zabił, i widziałem, że Mały Pro-

dan siedzi obok jednej z beczek ze spuchniętą gębą, wtedy wujek Prodan spytał, czy nie wiem, gdzie jest jego Niku, powiedziałem, gdzie widziałem go po raz ostatni, ale nie sądzę, by zrozumiał, co mówię, bo ciągle kaszlałem, czułem też, że od tych razów trochę krwawią mi usta w środku, dojeżdżaliśmy do skraju pola, ojciec Prodana cały czas wołał syna, Niku, Nikusor, ale nigdzie nie było go widać, wtedy już ogień został ugaszony, zobaczyłem, że co najmniej jedna trzecia zboża przepadła, wszędzie widać było spaloną słomę, czarne kałuże i zgorzałe kłosa, tu i ówdzie pszenica stała nienaruszona, w innych miejscach kopciło się jeszcze poczerwiałe ściernisko.

Kiedy dotarliśmy do ambony, kombajn stanął, słyszałem, jak ojciec Paju mówi, na szczęście las się nie zapalił, Paju podał mi blaszany kubek z wodą, żebym się napił i obmył sobie twarz, powiedziałem, że dziękuję, woda była oczywiście strasznie gorzka od sadzy, mimo to wypilem, jednocześnie pomyślałem, jak to dobrze, że Paju

132
powiedział ojcu o tej naszej wojnie, a kiedy wywróconą na drugą stronę podkoszulką wycierałem sobie twarz, usłyszałem, że ojciec Prodana znowu zaczyna wołać syna, wtedy już wszyscy wołali Prodana i coś sobie pokazywali, spojrzałem w tamtym kierunku i zobaczyłem, że jakieś pięćdziesiąt metrów od nas Prodan rakiem wyłazi ze zboża, nagle obejrzał się i spostrzegł kombajn wraz z przyczepą, musiał też chyba zobaczyć swego ojca, bo wstał i pobiegł, utykając, w stronę lasu, wtedy ojciec jeszcze głośniejszą zaczął wołać, by się zatrzymał, bo jak nie, to go zabije, będzie z niego pasy darł żywcem, wykastruje go, tymczasem ojciec Paju uruchomił silnik i ruszyliśmy za Prodanem, pewnie i tak byśmy go dogonili, lecz Prodan, wciąż biegnąc, obejrzał się za siebie, po czym stanął i odwrócił się ku nam, tak czekał, z opuszczonymi rękami, było widać, że wie, co się za chwilę stanie, jego ojciec zeskoczył z przyczepy i zaczął biec w stronę syna, a kiedy dobiegł, to nawet się nie zatrzymał, tylko z rozpędu wymierzył mu taki policzek, że Prodan przewrócił się i omal nie wpadł pod kombajn, krew puściła mu się z nosa, zaraz jednak wstał i znowu spojrzał na ojca, wtedy zobaczyłem, że wciąż jeszcze ma ten bagnet, trzymał go w prawej ręce, ojciec kazał mu przeprosić, po czym wyrzucił go pięścią z całej siły prosto w splot słoneczny, aż Prodan zgiął się wpół i z kącika ust pociekła mu czarna ślina, ojciec znowu podniósł rękę, wtedy Prodan się cofnął i powiedział, że przeprasza, było widać, że zaraz zemdleje, bagnet wypadł mu z ręki, wbił się w ziemię u jego stóp, kiedy tam spojrzałem, zobaczyłem, że ostrze jest całe we krwi, ojciec Prodana chyba też to zobaczył, bo nachylił się, wyciągnął bagnet z ziemi, wytarł ostrze z obu stron w rękaw koszuli, po czym spytał,

gdzie są te wypierdki, ci Frunzowie, a Prodan wskazał na las i powiedział, że uciekli, wtedy ojciec Prodana znowu wytarł bagnet o rękaw koszuli, ponownie spojrzął na syna i powiedział, że jak jeszcze raz zobaczy, że Prodan bierze jego żołnierskie pamiątki, to daje słowo honoru, że go zmasakruje, będzie bił, aż ten przestanie się ruszać. Prodan nic nie powiedział, tylko skinął głową i popatrzył gdzieś ponad ramieniem ojca, patrzył na las, ojciec zaś odwrócił się i widziałem, jak się uśmiecha.

AFRYKA

Minął już prawie rok, odkąd zabrali ojca, a od dobrych czterech miesięcy nie mieliśmy od niego żadnej wiadomości ani listu, ani nawet takiej pisanej z góry, gotowej kartki pocztowej z obozu, w której zwykle powiadamiał nas, że ma się dobrze i jest dumny z tego, że udaje mu się przekroczyć dzienną normę, słowem, nic o nim nie wiedzieliśmy, na próżno też pytałem matkę, co się dzieje, dlaczego jej zdaniem ojciec do nas nie pisze, bo matka nie odpowiadała na moje pytania, wtedy w sobotę skrzynka na listy znowu była pusta i zobaczyłem na twarzy matki napięcie, a kiedy wchodziliśmy po schodach, matka nagle zaczęła kaszleć tak gwałtownie, że musiała złapać się poręczy, widziałem, jak drżą jej ramiona i jak się pochyla, widziałem, że tak naprawdę nie kaszle, tylko płacze, a udaje, że kaszle, bo nie chce, bym widział, że płacze, nie chce mnie wystraszyć, byłem pewien, że myśli, iż ojciec zginął, umarł nad tym Kanałem, chociaż wiedziałem, że to nieprawda, bo gdyby coś się z ojcem stało, wyczułbym to, jeśli nie kiedy indziej, to rano, w drodze do szkoły, gdy oglądam jego zdjęcie Wyrwane z książeczki wojskowej, bo zawsze wtedy czuję, że ojciec tam, nad Kanałem, myśli o mnie, no i dlatego, że

kiedy go zabierali, obiecał, że wróci i weźmie mnie ze sobą nad morze, widziałem więc, że matka płacze, ale udawałem, że nie widzę, parę razy postukałem ją nawet po plecach, jakbym rzeczywiście uwierzył, że tylko kaszle, i zanim dotarliśmy na czwarte piętro, już nie płakała, wyjęła chusteczkę i otarła sobie twarz, powiedziała, że musiała się zakrztusić, ale już wszystko w porządku, na co ja, że skoro tak, to dobrze, lecz żeby uważała, bo aż jej łzy napłynęły do oczu od tego kaszlu i tusz się jej rozmazał, oczy więc również powinna sobie wytrzeć, skinęła głową i powiedziała, żebym grzecznie poszedł do swojego pokoju, przeczytał trochę albo zajrzał do lekcji, no, mam już iść i się nie sprzeciwiać, chociaż wcale nie zamierzałem się sprzeciwiać, bo korciło mnie, żeby czym prędzej zobaczyć, czy ołowiany żołnierz, którą zdobyły w szkole będzie pasował do zbroi, jaką w zeszłym tygodniu wyklepałem z kawałka blachy znalezionej na śmietniku, bardzo chciałem, żeby pasował,

bo tylko ja jeden nie miałem prawdziwego wodza do gry wojennej, w którą graliśmy z chłopakami na klatce schodowej, Feri miał wodza, którego ojciec wytopił specjalnie dla niego i nawet pomógł mu go pomalować, mnie jednak nie miał kto pomóc, matka nawet nie wiedziała o tej grze, bo kiedy z powodu zabawy w wojnę spaliło się pole pszenicy za naszym blokiem, zakazała mi wszelkich zabaw z użyciem przemocy, bez słowa poszedłem więc do swojego pokoju, tak jak prosiła, a nawet rozłożyłem na biurku książkę i zeszyt do matmy, żeby widziała, jak przypadkiem wejdzie, że się uczę, że robię tak, jak powiedziała.

Drzwi zostawiłem jednak lekko uchylone, słyszałem więc, jak matka wchodzi do sypialni, a potem wychodzi, następnie poszła do kuchni, gdyż zaskrzypiały drzwi od

136 kredensu, pomyślałem, że pewnie bierze stamtąd szklanekę, bo słyszałem, jak odkręca kran, poczekała, aż woda spłynie i zrobi się zimna, następnie długo piła, po czym wylała resztę do zlewu, przyciągnęła taboret i usiadła, ja tymczasem ostrożnie ukucnąłem koło biurka i cicho wysunąłem dolną szufladę, położyłem ją na dywanie, w szparze pod szufladą trzymałem rzeczy, o których matka nie powinna wiedzieć, odznaczenie od dziadka, puszkę z karbidem, procę, tomahawk, wszystkie swoje ołowiane żołnierzyki, łuski po nabojach, w których jeszcze czuć było wyraźny zapach prochu, i zawiniętą w gałganek zbroję, którą szybko wyjąłem, tak jak była, razem z gałgankiem, po czym włożyłem szufladę na miejsce, z kuchni nie dochodziły żadne odgłosy, wolałem wiedzieć, co matka robi, nigdy mnie wprawdzie nie podglądała, ale nie chciałem, by znalazła tę tajną skrytkę, dlatego równie ostrożnie co wysunąłem, wsunąłem szufladę z powrotem, potem wstałem, usiadłem przy biurku, obok zeszytu położyłem kredki i linijkę, jakbym rzeczywiście odrabiał lekcje, i dopiero wtedy wyjąłem z kieszeni ołowianego żołnierzyka, gdy jednak rozwijałem szmatkę ze zbroją, usłyszałem nagle, jak zaskrzypiał taboret, pomyślałem, że matka wstała i na pewno zaraz wejdzie, by zobaczyć, co robię, szybko więc schowałem żołnierzyka między udami, wziąłem do ręki ołówek i zacząłem pisać u góry strony „zadanie domowe”, wtedy usłyszałem, że matka szlocha, ale tylko przez chwilę, musiała zaraz zatkać usta ręką, bo znowu zapadła cisza, ale ja nawet w ciszy słyszałem, że matka płacze, i tak mocno ścisnąłem ołówek, że aż mnie palce zabołały, nie chciałem myśleć o matce, lecz widziałem ją wyraźnie, jak tam siedzi w kuchni, na taborecie, opiera się łokciami o stół,

137 obie dłonie przyciskając do ust, a po twarzy ciekną jej łzy, i wiedziałem, że nawet gdybym zamknął oczy, to nadal bym ją widział, i że nie mam co do niej chodzić i mówić,

by nie płakała, bo tylko na mnie nakrzyczy, a w nocy dalej będzie płakać, najlepiej gdyby nie wiedziała, że usłyszałem, byłem jednak pewien, że i tak nie wytrzyma, że znowu wybuchnie płaczem, a potem rozgniewa się na mnie, że słyszałem, choć to przecież nie moja wina, mimo to będzie mnie karcić, pomyślałem więc, że lepiej schowam ołowiane żołnierzyki z powrotem do szuflady, byłem pewien, że zanosi się na awanturę, bardzo chciałem się jednak przekonać, czy zbroja wejdzie na nowego żołnierzyka, zacząłem więc ostrożnie rozwijać szmatkę, lecz tylko lewą ręką, nie wyjmując jej nawet spomiędzy ud, w prawej ciągle trzymałem ołówek i udawałem, że robię zadanie, rozsypywałem zatłuszczoną szmatkę, gdy usłyszałem, jak matka wybuchła płaczem, tak nagle i głośno, jak nigdy dotąd, przestraszyłem się, aż mi ręka zadrżała i złamałem ołówek, widać za mocno nacisnąłem, słyszałem, jak matka odpycha stołek, wstaje i zaczyna przeklinać, żeby to diabli wzięli, żeby diabli wzięli całe to przekłete życie, potem był huk i wiedziałem, że matka walnęła szklanką o ziemię, bardzo, ale to bardzo byłem już wtedy wystraszony, bo wiedziałem, że jak matka czymś ciska, to sprawa musi być śmiertelnie poważna, dawniej, nim ojca zabrali, nigdy niczego nie tłukła i nie trzaskała drzwiami, nawet gdy się z ojcem okropnie kłócili, no a teraz usłyszałem, jak matka zatrzasnęła za sobą drzwi od kuchni, aż zadźwięczały wiszące nad nimi ozdobne talerze, potem poszła do przedpokoju, stanęła przy stoliku z telefonem, słyszałem, jak głęboko zaczerpnęła powietrza, po czym podniosła słuchawkę i zaczęła

138
wykręcać numer, nie czekała nawet, by tarcza wróciła na miejsce, tylko cofała ją palcem, cały aparat chodził, następnie zapadła cisza, matka wstrzymała oddech, nieomal słyszałem, jak po drugiej stronie telefon dzwoni długo, raz za razem, widocznie w końcu ktoś podniósł słuchawkę, bo matka zaczęła krzyczeć, powtarzać halo i halo, po czym powiedziała, że skoro już ten ktoś podniósł słuchawkę, to niech się odezwie, co to za zwyczaj, odebrać i się nie odzywać, ona przecież słyszy, że tam, po drugiej stronie, ktoś sapie, co jest, dlaczego się nie odzywa, nie poznaje głosu własnej synowej, mówiła coraz głośniej, słyszałem, jak stolik pod telefonem trzeszczy, gdy go potrąca kolanem, wiedziałem, że naprawdę martwi się o mojego ojca, bo inaczej na pewno nie zadzwoniłaby do dziadków, skoro oni się do niej nie odzywali, zwłaszcza odkąd zabrano ojca, za wszystko bowiem winili moją matkę, mówili, że ojciec sam nigdy nie podpisałby tego listu protestacyjnego, zrobił to tylko dlatego, że ona go podpuściła, nagle matka zamilkła, już nawet nie stuknęła w stoliczek, a kiedy znowu się odezwała, mówiła cicho, lecz tym ostrym, suchym tonem, którego używa, kiedy jest wściekła, mówiła, że dobrze, ona też so-

bie wyprasza, a towarzysz sekretarz lepiej by zrobił, gdyby się troszczył nie tyle o własny honor, ile o życie swojego syna, kiedy matka to powiedziała, zamilkła i znowu przez chwilę panowała cisza, ja tymczasem wyjąłem w końcu zbroję, założyłem na niepomalowanego szwajcarskiego gwardzistę bez halabardy, ale była za duża, zupełnie nie Pasowała, wtedy matka znowu się odezwała, powiedziała, że tak, właśnie o tym mowa, bo o czym, do cholery, mogliby jeszcze ze sobą rozmawiać, jeśli nie o tym, jak dziadek myśli? patrzyłem na ołowianego żołnierzyka, Feri mi go

139
dał, bo odlew nie bardzo wyszedł, górna część była spłaszczona, sądziłem, że pod zbroją nie będzie tego widać, bo inaczej po co mi ten żołnierzyk, a tymczasem stolik w przedpokoju zaskrzypiał, widocznie matka znowu się o niego oparła, mówiła, że kogo jak kogo, ale jej to niech dziadek nie próbuje oszukać, bo ona dobrze wie, że dziadek wciąż jeszcze ma swoje kontakty, dostatecznie długo był sekretarzem partii, by ten czy ów był mu winien przysługę, niech więc powie wreszcie, kto mógłby pomóc, potem znowu chwilę milczała, następnie wciągnęła głęboko powietrze, jakby sączyła wodę, i bardzo głośno powiedziała do słuchawki, powiedziała mojemu dziadkowi, że nie będzie czekać, zrozumiano, nie będzie czekać, bo chodzi o to, by teraz, natychmiast, nie mówiła już, tylko krzyczała, wiedziałem, że zaraz rzuci słuchawkę, i rzeczywiście rzuciła, z taką siłą, że aparat głośno brzęknął, krzyczała, że ma już dość, że już nic jej nie obchodzi, najwyższy czas, by ten stary chuj zrobił wreszcie coś dla swojego syna, usłyszałem, że idzie do mojego pokoju, po dwóch krokach jednak stanęła, wtedy szybko przykryłem zbroję i żołnierzyka książką do matmy, matka rzuciła coś miękkiego na podłogę, a ja po raz pierwszy nie mogłem zgadnąć co, potem jednak usłyszałem, jak rozpina zamek błyskawiczny przy spódnicy i jak przez zęby klnie, bo spódnica zaplątała się jej w kostkach, tak gwałtownie chciała ją zdjąć, pomyślałem, że to pewnie bluzkę cisnęła na ziemię, usłyszałem wtedy, że matka skacze po przedpokoju na jednej nodze i woła, że-bym przyszedł i jej pomógł, bo zaraz podrze sobie pończochy, kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem matkę w biustonoszu, rzeczywiście stała na jednej nodze, a z tej, która trzymała w powietrzu, udało jej się do połowy tylko zdjąć

140
spódnicy i pończochę, kiedy podszedłem, powiedziała, bym ją przytrzymał, bo upadnie, stanąłem więc obok niej, objąłem i zobaczyłem, że ma twarz całą we łzach, pochylała głowę i ostrożnie zaczęła zdejmować pończochę, kiedy ją tak trzymałem, czułem, jak mocno bije jej serce, pomyślałem o dziadku, byłem ciekaw, co matce powiedział, ale nie chciałem pytać, tymczasem matka uwolniła ze spód-

nicy i pończochy również drugą nogę, wtedy ją puściłem, stała przede mną w samych majtkach i staniku, do tej pory widywałem ją tak tylko na plaży, nie chciałem się jej przyglądać, ale musiałem, wtedy matka się odwróciła, podniosła spódnicę, otarła nią twarz i powiedziała, bym poszedł do pokoju i włożył odświętne ubranie, bo idziemy z wizytą, chciałem powiedzieć, że nie włożę tej ohydnej kamizelki robionej na drutach, lecz matka upuściła spódnicę i tak na mnie spojrzała, że wolałem się nie odzywać, odwróciłem się tylko na pięcie i poszedłem się przebrać, nawet nie zapytałem, dokąd idziemy.

Matka włożyła swój najelegantszy czerwony kostium, do tego wysokie, cienkie szpilki, w jakich nigdy przedtem jej nie widziałem, kiedy schodziliśmy po schodach, raz się nawet potknęła, musiała złapać się poręczy, wtedy właśnie chciałem ją spytać, czy idziemy załatwić, by ojca puścili do domu, czy tylko po to, by się dokładnie dowiedzieć, co się z nim stało, zanim jednak otworzyłem usta, matka powiedziała, że bym był cicho, jest jej teraz potrzebna cisza, bo musi zebrać myśli, milczałem więc i nawet nie próbowałem zgadywać, dokąd idziemy, tylko liczyłem kroki, kiedy dochodziliśmy do rogu ulicy, zakładałem się w duchu sam z sobą, ile kroków będzie do następnego rogu, szliśmy Jednak dosyć skomplikowaną drogą i nie bardzo mogłem

141

przewidzieć, którądy pójdziemy, zawsze skręcaliśmy wcześniej, niż mi się zdawało, że skręcimy, a kiedy dotarliśmy do nowego osiedla, które wybudowano na skraju miasta, już nawet nie próbowałem zgadywać, bo ulice były tak podobne, że w końcu nie wiedziałem, która jest która. Wchodziliśmy do kolejnych bloków, matka czytała nazwiska na skrzynkach pocztowych, potem wychodziliśmy, widziałem, że jest coraz bardziej zdenerwowana, pomyślałem, że w ogóle zabłądziliśmy albo nie możemy znaleźć numeru domu, lecz nic nie mówiłem, bo wiedziałem, że i tak nie pomogę, a potem, kiedy weszliśmy już na czwartą bodaj klatkę schodową, matka chyba znalazła to, czego szukała, bo stanęła przed jedną z dużych skrzynek na listy, przyjrzała się tabliczce z nazwiskiem, skinęła głową, następnie wyjęła z torebki lusterko i szminkę, i tam, na klatce schodowej, pomalowała sobie usta, potem schowała szminkę i lusterko, poprawiła mi krawat, wygładziła koszulę i kamizelkę, następnie pośliniła dłoń i przylizowała mi włosy, w końcu powiedziała, że teraz pójdziemy na czwarte piętro do towarzysza ambasadora i że bym się stosownie zachowywał, bym mówił tylko, jak mnie zapytają, i bym grzecznie odpowiadał, i bym się nie bał, bo zobaczę, że wszystko będzie dobrze. Skinąłem głową i powiedziałem, w porządku, postaram się dobrze zachowywać, kiedy jednak weszliśmy na pierwsze piętro, spytałem matkę, czy

to prawda, że jesteśmy tu z powodu ojca, po to, by mu pomóc, ale matka powiedziała tylko, że nie, przyszła tutaj, bo miała ochotę, po czym oblizała wargi i powiedziała, żebym był cicho.

Kiedy dotarliśmy na czwarte piętro, byłem kompletnie zaskoczony, bo z klatki schodowej tylko jedne drzwi, a nie

142
czworo, jak na innych piętrach, prowadziły do mieszkania, na cementowej podłodze leżał szeroki pleciony chodnik, co przypominało raczej przedpokój niż klatkę schodową, matka jednak wcale nie była zdziwiona, podeszła prosto do drzwi, spojrzała na miedzianą tabliczkę, zdecydowanie nacisnęła dzwonek, potem wzięła mnie za rękę i mocno ścisnęła, sądziłem, że chce mi coś powiedzieć, ale w tej samej chwili otworzyły się drzwi.

Na progu stał wysoki siwy mężczyzna, miał na sobie jasnobrązowy garnitur, który podkreślał bladość jego twarzy, kiedy matka go zobaczyła, natychmiast powiedziała, że bardzo przeprasza, nie chciałaby towarzyszowi ambasadorowi przeszkadzać, ale nie ma się do kogo zwrócić, prosi, żeby jej towarzysz ambasador poświęcił choć parę minut ze swojego cennego czasu. Na to ambasador zmierzył matkę od stóp do głów zimnymi, szarymi oczami i w końcu się uśmiechnął, powiedział, a więc to pani, piękniejsza niż kiedykolwiek, odkąd panią ostatni raz widziałem, odmłodziła pani co najmniej dziesięć lat, kiedy się odezwał, zobaczyłem, że ma z przodu dużo złotych zębów, gdy spojrział na mnie, wciąż jeszcze się uśmiechał, ale wzrok miał znacznie bardziej surowy, spytał, a ty chłopcze, kim jesteś, nie odezwałem się, lecz matka ścisnęła mnie za rękę i powiedziała, bym się ładnie przedstawił towarzyszowi ambasadorowi, zupełnie jakbym miał pięć lat, powiedziałem więc, jak się nazywam, a ambasador skinął głową i powiedział - to świetnie, świetnie, nazywam się jak mój dziadek i nawet jestem do niego podobny, bardzo podobny, znacznie bardziej niż do swego ojca, słuchałem w milczeniu, choć w duchu myślałem sobie, kurwa jego mać, jestem przecież

Podobny do ojca nie do dziadka, wtedy ambasador znowu
143
spojrzał na matkę i spytał, czemu zawdzięcza tę niespodziewaną wizytę, na co matka poprawiła sobie broszkę w klapie kostiumu i powiedziała, że może by tak jednak nie na klatce schodowej, ambasador kiwnął głową i powiedział, że przeprasza, sam nie wie, jak mógł być tak nieuprzejmy, oczywiście najlepiej będzie, jak wejdziemy, wtedy matka kazała mi porządnie wytrzeć buty, po czym weszliśmy, ambasador zamknął za nami drzwi, proszę, proszę dalej, powiedział, tymczasem słyszałem, jak dwa razy przekręcił zamek yale, kiedy znaleźliśmy się w dużym pokoju, byłem zaskoczony, bo przypominał muzeum, na ścianach zoba-

czyłem pełno trofeów myśliwskich, rzędem obok siebie wisiały wypreparowane, mniejsze i większe głowy antylopy, bawołów, czarnych niedźwiedzi, lampartów, szakali, a w kącie nawet wielki łeb hipopotama z otwartą paszczą, znad kominka naprzeciw drzwi spoglądał bojowo potężny lew ze zjeżoną grzywą, obok niego z czarnej drewnianej tablicy sterczały dwa duże kły nosorożca, wolne miejsce pośród trofeów zapełniały kolorowe tarcze oraz dzidy i poźółtkie kościane miecze, w grubej, złotej ramie wisiało duże zdjęcie, był na nim jakiś czarny mężczyzna w okularach, a właściwie tylko jego głowa i ramiona, nosił wojskowy mundur szamerowany złotem, na głowie miał czapeczkę z lamparciej skóry, prezentował się całkiem nieźle, pomyślałem tylko, jak w tym upale musi mu się pocić głowa, na dodatek pod futrem, kiedy zacząłem się wokół rozglądać, usłyszałem, jak matka mówi do ambasadora, to fantastyczne, towarzyszu ambasadorze, Muzeum Etnograficzne i Muzeum Przyrodnicze razem wzięte mogłyby pozazdrościć tych przebogatych zbiorów, na co ambasador uśmiechnął się i powiedział, że to tylko mała, skromna kolekcja,

144

trzeba było połączyć cztery mieszkania, a i tak zmieścił się tylko ułamek tego, co posiada, cóż jednak robić, dobre i to, potem wskazał na skórzane fotele stojące pośrodku pokoju wokół małego stolika ze szklanym blatem i powiedział - proszę, siadajcie, a kiedy usiedliśmy, spytał, czym nas może poczęstować, matka powiedziała, żeby się nie fatygował, ale ambasador już wyszedł, by po chwili wrócić ze srebrną tacą, na której stały kryształowe kieliszki i kwadratowa butelka, postawił tacę na stoliku, usiadł, nalał matce i sobie, powiedział, że to znakomity domowy likier wiśniowy i nie trącając się z matką, wypił, dopiero potem powiedział, na zdrowie, wtedy matka również wypila, a ambasador od razu napełnił oba kieliszki, znowu wypił jednym haustem, oparł się głębiej w fotelu i patrzył na nas bez słowa, spojrziałem na matkę, a po tym, jak obiema rękami ścisną kieliszek, poznałem, że jest bardzo zdenerwowana, zapadła taka cisza, że musiałem się odezwać, spytałem, gdzie towarzyszu ambasador był ambasadorem, wtedy on wskazał na ściany, na trofea, na dzidy, tarcze, miecze i powiedział, że w Afryce, nic na to nie powiedziałem, tylko spuściłem wzrok i zobaczyłem, że faktycznie, na podłodze również leżał dywan zszyty ze skór zebry, znowu spojrziałem na ambasadora i spytałem, ale gdzie w Afryce, towarzyszu ambasadorze, wtedy powiedział, że w różnych miejscach, przeważnie jednak w samym sercu Afryki, w najczarniejszym punkcie Czarnego Lądu, a potem spytał, jak myślę, co to był za kraj, na co z miejsca strzeliłem, że Zair, ambasador się uśmiechnął, skinął głową, powiedział, że znakomicie, jest ze mnie bardzo zadowolony, bo widzi, że dobrze znam

geografię i doprawdy również zasłużyłem na odrobinę wistowej nalewki, w końcu jestem już dużym chłopcem, po
145

czym sięgnął po trzeci kryształowy kieliszek, napełnił go po brzegi czerwonym likierem, podał mi i powiedział, no to wypij, za moje zdrowie, wziąłem kieliszek i spojrzałem na matkę, skinęła głową, pociągnąłem więc łyk nalewki, była bardzo słodka, szczypała jednak w język i rozgrzewała gardło, ambasador nalał też sobie, z miejsca wypił, odstawił kieliszek na tacę i spojrzał na matkę, a właściwie to gdzie jest mój ojciec, zapytał, wtedy matka dopiła likier, założyła nogę na nogę i powiedziała, że ona przysłała właśnie po to, by się tego dowiedzieć, bo już od czterech miesięcy nie mamy o nim żadnych wiadomości i ona bardzo się martwi, jest jednak pewna, że towarzysz ambasador, mając takie rozległe kontakty, w parę minut potrafi wyjaśnić, co się z nim stało.

Ambasador kiwnął głową, nalał sobie jeszcze jeden kieliszek likieru, wychylił go, po czym spojrzał na matkę i spytał, dlaczego tak sądzi, na co matka powiedziała, żeby towarzysz ambasador nie był taki skromny, bo ona wie, że towarzysz ambasador ze swoją przeszłością i zasługami wciąż zajmuje bardzo ważną pozycję i że dla niego to naprawdę drobiazg, o wiele poważniejsze sprawy potrafiłyby z pewnością wyjaśnić czy załatwić, gdyby tylko chciał, na co ambasador znowu skinął głową, powiedział, że to prawda, on faktycznie ma spore możliwości i rzeczywiście potrafi rozwiązać wiele problemów, jeśli chce, byłoby jednak zrzęczniejsze omówić w cztery oczy szczegóły, potem spojrzał na mnie i powiedział, że bym był tak miły i poszedł do drugiego pokoju, znajdę tam mnóstwo interesujących rzeczy, również zabawki, sam mnie zresztą za" prowadzi, w końcu to dosyć duże mieszkanie, mógłbym zabłądzić, jak niegdyś on w dżungli, lepiej, by do tego nie
146

doszło, matka podniosła się wtedy i powiedziała, żeby towarzysz ambasador się nie fatygował, doprawdy nie ma potrzeby, jestem dużym, mądrym chłopcem, nie będę przeszkadzał, ale ambasador już się poderwał i powiedział, że mowy nie ma, on zna dzieci, wie, że nie ma dla nich nic nudniejszego, nic bardziej nieznośnego niż wysłuchiwanie rozmów dorosłych i że on naprawdę nie może tego ode mnie wymagać, bo zdaje sobie sprawę, że chłopcy w moim wieku najchętniej cały dzień graliby w piłkę albo biegali za dziewczynami, po czym podszedł, wziął mnie za ramię i postawił na nogi, no to chodźmy, powiedział, a matka nie spojrzała na mnie, tylko ze spuszczoną głową wpatrywała się w kryształowy kieliszek, wiedziałem, że lepiej będzie, jeśli pójdę, nie będę się opierał, pozwoliłem więc, żeby towarzysz ambasador wypchnął mnie na korytarz. Zanim

wyszedł z pokoju, jeszcze się odwrócił, spojrzął na matkę, powiedział, że musi ją na chwilę przeprosić, zaraz wróci, i wskazał na butelkę z likierem, niech matka póki co wypije jeszcze trochę tej znakomitej wiśniowej nalewki.

Na korytarzu znowu złapał mnie za ramię i zaczął popychać przed sobą, dość szybko doszliśmy do końca korytarza, potem przez jakiś mniejszy pokój wyszliśmy na drugi korytarz, na ścianach wszędzie pełno było rzeźb z kości, skór zwierząt, trofeów myśliwskich, wypchanych ptaków, minęliśmy ze dwa pokoje i chciałem właśnie spytać, czy towarzysz ambasador ma trzy osobne ubikacje, łazienki i kuchnie, kiedy otworzył jakieś drzwi i wypchnął mnie na kolejny korytarz, na jednej ścianie wisiały obok siebie perskie dywany, na drugiej pełno było zdjęć, kiedy Je mijaliśmy, zauważyłem, że na każdym znajduje się ambasador, a wraz z nim czarne kobiety i czarne dzieci, całe

147
mnóstwo, tak mnie to zaskoczyło, że odwróciłem głowę w stronę zdjęć i zacząłem się im przyglądać, ambasador pewnie to spostrzegł, bo powiedział, że on nie przypadkiem mówił, że zna dzieci, muszę bowiem wiedzieć, że to wszystko jego dzieci, wtedy przyszło mi do głowy, że powinienem spytać, skoro to jego dzieci, dlaczego takie czarne, ale dotarliśmy do drzwi, które ambasador otworzył i wepchnął mnie do środka, sam nie wszedł, tylko zatrzymał się w progu i powiedział, żebym był grzeczny, żebym tu grzecznie poczekał na mamusię, ale żebym niczego nie dotykał, a zwłaszcza żebym nie próbował czegoś ukraść, bo marnie na tym wyjdę, potem jeszcze raz powiedział, że on zna dzieci, wie, że wszystkie to bezczelne, złodziejskie nasienie i nawet na chwilę nie można ich spuścić z oka, żebym się więc pilnował, bo tam, skąd pochodzą te przedmioty, jest taki zwyczaj, że złodziejowi wykluwa się oczy. Skinąłem tylko głową, a ambasador zamknął za sobą drzwi i kiedy szedł korytarzem, słyszałem, jak wciąż mruczy pod nosem, że dobrze zna dzieci, zna ich podłą, złodziejską naturę, potem zamknął za sobą jeszcze jedne drzwi i zapadła cisza, nawet już nie słyszałem jego kroków, poczułem za to ciarki na plecach, miałem wrażenie, że ktoś na mnie patrzy.

Z początku tak się wystraszyłem, że nie byłem w stanie się ruszyć, ale potem przyszło mi na myśl, że to z pewnością trofea tak na mnie działają, w końcu się odwróciłem, wtedy jednak przeraziłem się jeszcze bardziej, zobaczyłem, że jedna ze ścian od góry do dołu pokryta jest deseczkami, do których przytwierdzono ludzkie czaszki i głowy, lecz kiedy podszedłem bliżej, przekonałem się, że to nie są prawdziwe ludzkie głowy, tylko głowy szympanсів, gibbonów i goryli.

148
czaszki też nie były prawdziwe, zaledwie jedna czy druga

kość była w nich oryginalna, a reszta zrobiona z gipsu, obok każdej znajdował się niewielki rysunek, który przedstawiał, jak wyglądała owa mała lub człowiek pierwotny, którego czaszka tu wisi, obok rysunku widniała też nazwa łacińska, ale nie próbowałem tego czytać, bo wciąż miałem gęsią skórę na plecach, ciągle czułem, że jestem obserwowany, a kiedy znowu się odwróciłem, zobaczyłem, że w przeciwległym kącie pokoju naprawdę ktoś siedzi, przy małym stoliku, nad rozłożoną szachownicą, i naprawdę mnie obserwuje.

Był to stary, szczupły pan, Murzyn, siedział za stołem i stamtąd patrzył, co robię. Kiedy zauważyłem, że tam jest, trochę się zląkłem, ale zaraz powiedziałem mu dzień dobry, ten pan jednak nie odpowiedział, tylko skinął, bym podszedł bliżej, podszedłem więc, ale on nadal nic nie mówił, tylko wskazywał na szachownicę, powiedziałem, że dziękuję, nie lubię grać w szachy, na co on znowu skinął ręką i znowu wskazał na szachownicę, usiadłem więc na krześle przy stoliku i poczułem, że krzesło pode mną zatrzeszczało, w tym momencie pan Murzyn wyciągnął rękę i chwycił pionka stojącego przed białym królem, wykonał dwa ruchy do przodu, potem przesunął również pionek znajdujący się po lewej stronie królowej, lecz tylko o jedno pole, chciałem powiedzieć, że może to ja powinienem grać białymi, a on czarnymi, w końcu jest Murzynem, nic jednak nie powiedziałem, tylko zgrabnie przeskoczyłem i ustawiłem obok siebie dwa konie, tego otwarcia nauczył mnie dziadek, powiedział, że może mi się przydać, no i kiedy wypuściłem drugiego konia, pan Murzyn od razu przesunął się do przodu swoim gońcem stojącym przy królowej, a kiedy

149
poruszył ręką, usłyszałem, że coś w nim skrzypi, wstałem i lepiej mu się przyjrzałem, dopiero wtedy zauważyłem, że gram w szachy z kimś, kto tak naprawdę nie jest żywym człowiekiem tylko lalką, automatem, na matmie uczyliśmy się, że już w średniowieczu były takie automaty grające w szachy, nigdy w to nie wierzyłem, ale ten, którego miałem przed sobą, właśnie taki był, wyglądał jak prawdziwy człowiek, jak bardzo szczupły, bardzo stary Murzyn, gdy wstałem, obrócił ku mnie głowę, potem znowu spojrzał na szachownicę, podszedłem i z bliska zacząłem się przyglądać, jak jest zrobiony, co sprawia, że się porusza, skąd czerpie energię, dotknąłem nawet jego ręki, bo chciałem się przekonać, czy jest z drewna, ale nie, była po prostu ze skóry, chwyciła zupełnie jak prawdziwa ludzka ręka, była jednak znacznie chłodniejsza, lecz kiedy ją chwyciłem, poczułem pod skórą kości i mięśnie, znowu usłyszałem cichy zgrzyt, pewnie ścięgnięta zgrzytały, bo sięgnął po jedną ze swoich figur, po konia, dopiero wtedy zauważyłem, że te figury również są bardzo osobliwe, czarne były z hebanu, białe

z kości słoniowej, każda przedstawiała jakiegoś potwora, wszystkie białe wyobrażały szkielety, czarne były demonami o ludzkich głowach i zwierzęcych ciałach, każda z figur trzymała w ręce albo w łapie dzidę, miecz, topór bądź nóż z piłkowanym ostrzem, oficerowie nosili naszyjniki i pasy z czaszek, kości, ludzkich uszu i rąk, wszystko było bardzo misternie wyrzeźbione, a figura białego króla miała twarz do złudzenia przypominającą twarz ambasadora, wyglądała raczej strasznie, wciąż jednak nie wiedziałem, dzięki czemu pan szachista się porusza, i choć obejrzałem go również z tyłu, nigdzie nie zauważyłem żadnego kabła czy pasa transmisyjnego, miał na sobie zniszczony

150
mundur wojskowy, był boso, stopy zrobiono mu tak samo jak ręce, wydawały się bardzo chude i bardzo stare, wtedy przyszło mi do głowy, że może jednak porusza się sam z siebie, może to wcale nie automat, tylko naprawdę żywy człowiek, a jeśli nie, to może wprawia go w ruch jakieś afrykańskie zaklęcie, poczułem, że cierpnę ze strachu, znowu nie mogłem się ruszyć, potem spojrzałem na wyplatane z grubej trzciny krzesło, na którym siedział, i przyszło mi do głowy, że to przez nogę krzesła płynie prąd, ostrożnie je popchnąłem, lecz nie dało się przesunąć, wtedy już wiedziałem, że mam rację. Pomyślałem, że na pewno w brzuchu Murzyna mieści się mały, cichy silnik elektryczny i to on uruchamia jego mięśnie, w końcu przy zastosowaniu rozmaitych przekładni i przewodów hydraulicznych robią już dzisiaj takie rzeczy, usiadłem więc z powrotem na swoim krześle i wykonałem ruch, tylko na próbę dałem mu szacha jednym ze swoich koni, rzecz jasna natychmiast to zauważył i zbił go, po czym precyzyjnym gestem odłożył na stół obok szachownicy, następnie zaczął po kolei sprzątać moje figury, gdziekolwiek stanąłem, natychmiast odpowiadał, nie namyślał się ani chwili, a kiedy podsunąłem mu swego gońca, by potem zbić jego królową, nie dał się nabrać, jakby dokładnie wiedział, co myślę, jaki ruch planuję, gdy jednak skrzypiąc, podniósł rękę, musiało się w nim coś przegrzać, bo rozszedł się taki smród jak ze zjełczałego masła, i kiedy mnie zapędzał do rogu, zbijając coraz więcej moich figur, jego ruchy stały się szybsze, trochę inaczej też trzymał głowę, jakby za wszelką cenę chciał stłumić w sobie śmiech, a potem, kiedy zbił moją drugą wieżę i zaszachował mnie, wiedziałem, że to koniec, cokolwiek zrobię, zaraz dostanę mata, spojrzałem wtedy

151
na automat, na twarz pana Murzyna, na jego zakurzoną, szarą skórę, i wiedziałem, że za nic nie dopuszczę, by dał mi mata, wychyliłem się do przodu i zabrałem z szachownicy białego króla, automat chciał mnie złapać za rękę, sięgał jednak powolutku, skrzypiąc przy tym, ja byłem znacznie

szybszy, wtedy głośno warknął i spojrzał na mnie, zobaczyłem w jego oczach błysk gniewu, lecz tylko przez sekundę, bo potem dzikim, zgrzytliwym ruchem ramienia zmiotł z szachownicy i ze stołu figury szachowe, aż rozsypały się po pokoju, następnie odrzucił w tył głowę, otworzył usta i zaczął się śmiać, z gardła i z nosa buchał mu dym, wstałem tak gwałtownie, że przewróciłem krzesło, cały czas trzymałem w ręku białego króla, automat wciąż się śmiał, bardzo, bardzo głośno, wszystkie ściany aż się trzęsły, wtedy już zdałem sobie sprawę, że to nie automat się śmieje, tylko moja matka.

Tak, wyraźnie słyszałem, to była matka, bardzo głośno się śmiała i krzyczała jednocześnie, nawet przez te mury było słychać, jak krzyczy, brawo, towarzyszu sekretarzu, świetnie, brawo, znakomicie, brawo, cudownie, niech się pan nie boi, niech mnie pan jeszcze raz uderzy, no, proszę, spokojnie, z całej siły, niech pan bije, skoro pan sądzi, że jeśli potrafi pan uderzyć kobietę, jest pan bardziej męski, może pan bić do rana, proszę bardzo, niech pan bije, niech się pan nie kępuje, krzyczała i nie przestawała się śmiać, tak głośno, że na pewno leciały jej łzy, wtedy otworzyłem drzwi i pobiegłem pędem tam, skąd dochodził śmiech matki, z pokoju do pokoju, przez korytarz, przez coraz to nowe pokoje, pełne rozmaitych przedmiotów, i w każdym słychać było śmiech matki, odbijał się od kryształowych wazonów i szklanych ryb, od porcelanowych figurek

152
żołnierzy, od kielichów i butelek wina, wszędzie, gdzie biegłem, od śmiechu matki kołysały się na ścianach oprawione w ramki mapy i zdjęcia, rzeźby z kości słoniowej i umieszczone na miedzianych drucikach w pustych akwariach zasuszone i polakierowane ryby tropikalne, zupełnie jakby pływały, i wiszące nad drzwiami na skórzanych paskach bransolety na ręce i na nogi, i stojące rzędem na półkach, wypełnione złotym płynem, zapieczętowane butelki, i żyrandole, wszystko się kołysało jak podczas trzęsienia ziemi, bałem się, że trofea pospadają ze ścian i mnie przygniotą, otwierałem jedne drzwi po drugich, mijałem pokój za pokojem i już myślałem, że nigdy nie znajdę matki, kiedy wreszcie szarpnąłem jakieś drzwi i znowu znalazłem się w tym wielkim pokoju, matka stała na jednej nodze obok skórzanego fotela i zanosila się śmiechem, stolik był przewrócony, likier rozlany, na skórach zebry walały się odłamki szkła z potłuczonych kryształowych kieliszków i butelki, ze ściany spadła też głowa antylopy, a wielki łeb lwa nie spadł tylko dlatego, że ambasador stał pod nim i podtrzymywał go jedną ręką, by nie wylądował w wiśniowym likierze, drugą zaś próbował włożyć koszulę, kiedy mnie zobaczył, zaczął krzyczeć, no, wreszcie tu jestem, najwyższa pora, żebym się stąd zabierał, razem ze swoją matką,

kurwą jedną, właściwie to nie wie, jak mógł nas wpuścić do mieszkania, skoro wiedział, jacy jesteśmy, z mojego dziadka też było zawsze niezłe ziółko, a o ojcu najlepiej będzie zapomnieć, bo już nigdy w swoim zasranym życiu go nie zobaczymy, on nam to gwarantuje, ojciec zgnije tam, gdzie jest, zdechnie nad Kanałem i będzie dobrze, jak nie trafi do obozu reedukacyjnego, tak czy siak więcej go nie zobaczymy, poczułem, że ściska mnie w gardle, lecz

153
matka dalej się śmiała, w końcu ja również musiałem się roześmiać, bo okropnie śmieszny był widok ambasadora stojącego w koszulce gimnastycznej pod ogromną głową lwa z rozdziawioną paszczą, jedną ręką trzymał lwa za pysk i podskakiwał, próbując umieścić trofeum na ścianie, drugą natomiast, wściekły, usiłował włożyć w rękaw koszuli, naprawdę trudno się było powstrzymać od śmiechu, i wtedy matka spojrzała na mnie, zobaczyłem, że krew leci jej z nosa i że szminka jej się rozmazała, powiedziała, chodźmy, i dalej się śmiała, objąłem ją i wyszliśmy z pokoju, ambasador rzecz jasna ciągle stał pod głową lwa i wrzeszczał, słyszeliśmy go nawet, gdy otwierałem zamek yale w drzwiach wejściowych, lecz kiedy wreszcie drzwi się za nami zamknęły, nie docierało już do nas nic z tego, co ambasador wykrzykuje, matka, nie przestając się śmiać, powiedziała, bym jej pomógł, bo złamała obcas, oparła się więc na moim ramieniu i tak szliśmy w dół całe cztery piętra. Kiedy znaleźliśmy się na parterze, matka stanęła, jedną ręką poprawiła sobie pończochy, drugą przyłożyła do twarzy chusteczkę, widziałem, że ciągle wstrząsa nią śmiech, sięgnąłem do kieszeni spodni i mocno ścisnąłem białego króla, chłodna kość słoniowa przylgnęła mi do dłoni, wiedziałem, że nikt mnie już nie pokona w grze w wojnę, bo w porównaniu z tym wodzem najpiękniej pomalowany ołowiany żołnierz to zwykła cipa.

ZABAWA W REWIZJĘ

Matka przeważnie wszystko ze mną omawiała, po parę razy powtarzała co i dlaczego, tłumaczyła mi różne rzeczy, zwykle wtedy odpowiadała nawet na moje pytania, a jeśli nie, to wiedziałem, że tak będzie dla mnie lepiej, bo o tym, czego nie wiem, nawet przypadkiem nikomu nie powiem, i w tym przyznawałem jej rację, wiedziałem, że są sprawy, o których nawet rozmawiać jest niebezpiecznie, na przykład co się dokładnie działo podczas wojny domowej albo kto za ile potrafi załatwić mięso lub kawę, albo kogo i czym można przekupić, albo dlaczego pieprzonym zdrajcą ojczyzny jest pierwszy sekretarz partii i naczelny dowódca sił zbrojnych, albo kogo z naszych znajomych zabrali, czy też u kogo i dlaczego odbyła się rewizja. Jeśli Pytałem o coś w tym rodzaju, matka mówiła tylko, że to poważna sprawa i nie powinniśmy o niej rozmawiać albo

że o to powinienem raczej spytać ojca, jak kiedyś wróci do domu. Często jednak nie musiała nic mówić, bo ze sposobu, w jaki na mnie patrzyła, widziałem, że będzie lepiej, jeśli nie zacznę jej wypytywać.

Podobnie było, kiedy pewnego czwartku matka przyszła do domu i spytała, czy mam jakieś zaoszczędzone

155

pieniądze i ile, poznałem po jej głosie, że teraz nie pyta ot tak sobie, dla żartu, powiedziałem więc prawdę, że mam dwie dziesiątki, ale nie przyznałem się, skąd je mam, bo wiedziałem, że nie byłaby zadowolona, że jedną dostałem od dziadka, a drugą wygrałem w karty, właściwie to nie powinienem był grać w karty ani przyjmować pieniędzy od dziadka, chyba jednak matka również wiedziała, że lepiej będzie nie pytać, skąd mam taką kupę forsy, bo nic nie powiedziała, tylko weszła do dużego pokoju, podszła prosto do zdjęcia ojca i zdjęła je ze ściany, pod zdjęciem, z drugiej strony, taśmą klejącą była przymocowana koperta, matka ją otworzyła i wyjęła zwitek banknotów, pośliniła palec wskazujący i szybko przeliczyła pieniądze, słyszałem, jak mówi pod nosem - pięćset dwadzieścia pięć i dwadzieścia to pięćset czterdzieści pięć, musi więc jeszcze wysupłać tysiąc czterysta pięćdziesiąt pięć, tyle brakuje do dwóch tysięcy, niech więc pójdę i rozejrzę się po swoim pokoju, bez czego mógłbym się obejść, ona też wybierze coś ze swojej garderoby i w ogóle pozbiera wszystko, za co, jak jej się zdaje, dostaniemy dobrą cenę, a co nie jest nam niezbędne, i niech nie planuję sobie niczego na niedzielne przedpołudnie, bo pójdziemy na targ staroci, na poniedziałek musi mieć pieniądze.

Skinąłem tylko głową, poszedłem do swego pokoju i otworzyłem szafę, wysunąłem również szuflady biurka, rozejrzałem się po półkach i ścianach, po plakatach nad łóżkiem, po swoich ptasich trofeach, zrobiłem też przegląd broni, ale nie znalazłem niczego, co chciałbym sprzedać, położyłem się więc na łóżku i próbowałem odtworzyć w pamięci wszystko, co posiadam, ołowiane żołnierzyki, kolekcję matchboksów, papierki po gumie do żucia, rakiety

156

tenisową, rakiетkę do badmintona i do ping-ponga, piłki, figurki, które zrobiłem dawno temu na zajęciach w domu pioniera, ręcznie malowane postaci z filmów rysunkowych, które wyciąłem z dykty laubzegą, swoje francuskie, niemieckie, amerykańskie i jugosłowiańskie komiksy, które dostałem jeszcze od dawnych współpracowników ojca, nóż myśliwski, tomahawk, procę, strzały, swoje plastikowe pistolety, trzy stare łuski po nabojach śrutowych, które wciąż jeszcze miały w sobie zapach prochu, trzy drużyny piłkarskie z guzików, ręcznie rzeźbione szachy z warcabami w środku, plakaty, każdy z osobna, kieszonkowy kalen-

darzyk z aktorkami, który trzymałem pod dolną szufladą, swoje trzydziestosześciorowe flamastry, z których pi-
sał już tylko turkusowy, leżałem tak i zastanawiałem się
nad każdą rzeczą, próbowałem sobie wyobrazić, co by było,
gdybym jej nie miał, czy by mi jej brakowało, czy jeszcze
w ogóle się nimi bawię, matchboksów na przykład co naj-
mniej od roku nie wyjmowałem z szuflady, flamastrami
już też dawno nie rysowałem, większość swoich komiksów
i tak znałem na pamięć, bardzo rzadko je przeglądałem, ale
jakoś zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić, co bym czuł,
gdybym wyciągnął na przykład szufladę z matchboksami
i stwierdził, że jest pusta, albo gdybym spojrział na pół-
kę i nie zobaczyłbym na niej komiksów.

Tymczasem słyszałem, jak w dużym pokoju matka rów-
nież otwiera szafy i wyciąga szuflady, wyrzuca z nich swo-
je ubrania i inne rzeczy, wyobraziłem sobie, jak zdejmuję
z wieszaków po kolei stare kostiumy i układa je na tapcza-
nie, oparłem się o ścianę i siedziałem na łóżku, obejmu-
jąc kolana, słuchałem, jak w dużym pokoju szeleszczą su-
kienki, potem matka poszła do spiżarni, drzwi od spiżarni
157

skrzypaneły, matka stęknęła, wiedziałem, że z najwyższej
półki zdejmuję walizkę, kółka stukały na kuchennej po-
sadzce, kiedy matka taszczyła kufer do pokoju, i wtedy
przyszło mi do głowy, niewykluczone, że matka wybie-
ra nie tylko swoje rzeczy, możliwe, że przegląda również
ubrania ojca, jego koszule, krawaty, buty, paski i garnitu-
ry. Nigdy przedtem nie ruszaliśmy rzeczy ojca, nie wolno
było nawet otwierać jego szafy ani szuflady w jego biurku,
bo kiedy wróci do domu, powinien znaleźć wszystko na
swoim miejscu, tak jak zostawił w dniu, kiedy po niego
przyszli, od tamtej pory wiele razy stawałem przed sza-
fą ojca i przeglądałem się w jej lśniących, politurowanych
drzwiach jak w lustrze, myślałem o zapachu, który się czuło,
gdy ojciec otwierał szafę, by z niej wyjąć ukryte za koszu-
lami cukierki czy gumę do żucia, próbowałem sobie wy-
obrazić, że ojciec stoi za mną i tylko dlatego go nie widzę,
że politura za bardzo się błyszczy, kiedy tak siedziałem na
łóżku i słuchałem, jak matka pakuje walizkę, spróbowałem
znowu zrobić przegląd swoich rzeczy, bo wiedziałem, że
i tak muszę coś wybrać, ale przy każdej przypomniałem
sobie, od kogo i kiedy ją dostałem, co z nią robiłem bądź
zamierzałem zrobić, i wiedziałem, że nic dobrego z tego nie
wyniknie, bo znowu niczego nie wybiorę, nagle wyraźnie
usłyszałem, jak matka otwiera szafę ojca, głęboko wzdy-
chając, i jak szeleszczą garnitury, rzucane po kolei na ka-
nape, wtedy podniosłem się, stanąłem na środku pokoju
i uważnie rozejrzałem wokoło, zupełnie jakbym robił re-
wizję albo był, dajmy na to, złodziejem, jakby to nie był
mój pokój, lecz kogoś obcego, jakbym niczego nie wiedział

o tych wszystkich przedmiotach, skąd się wzięły i do czego służą, jakbym po prostu czegoś szukał, a cała reszta tylko
158

mi zawadzała, tymczasem usłyszałem, jak w dużym pokoju matka pochlipuje, miałem już więc pewność, że pakuje ubrania ojca, wtedy schyliłem się i wyciągnąłem spod łóżka puste tekturowe pudło, z którego chciałem sobie zrobić zbroję rycerską na bal maskowy, podszedłem do półki i zacząłem zdejmować wszystko, jak leci, wrzucałem do pudełka komiksy, modele samolotów, ręcznie malowane ołowiane żołnierzyki, nie zawahałem się nawet, gdy wpadł mi w ręce mój stary album ze znaczkami, tylko cisnąłem go do pudła, a za nim procę, dmuchawę, książki o Indianach i o polowaniu, następnie podszedłem do biurka i wyciągnąłem szufladę z matchboksami, wszystkie powędrowały do kartonu, widziałem, że czerwony ford z otwieranymi drzwiami przypadkiem upadł obok, podniosłem go więc i wrzuciłem do reszty, potem postawiłem szufladę na podłodze i wszedłem na łóżko, by zdjąć ze ściany plakaty, nie mogłem tego jednak zrobić zbyt gwałtownie, bo bałem się, że się podra, nie miałem kiedyś pinesek i przylepiłem je do ściany klejem, bałem się zwłaszcza o te gazetowe z drużynami piłkarskimi i z filmów o Indianach, no i o ten z bramkarzem reprezentacji, na którym był wydrukowany jego autograf, musiałem zdejmować je bardzo ostrożnie, tak by raczej farba odeszła od ściany, niż plakaty się porwały, oparłem się więc o ścianę i wsuwałem dłoń bokiem pod plakaty, delikatnie je naprężając, odkleiliśmy wszystkie po kolei, następnie ułożyłem na łóżku, jeden na drugim, i zwinąłem, postawiłem rulon w rogu pudełka, potem podszedłem do biurka i zdjąłem z półki nad nim rakiety do badmintonu, swoją prawdziwą, wietnamską, po wleczoną z obu stron gumą raketkę do ping-ponga, żółte piłeczki pingpongowe, Wszystkie cztery, i wraz z raketkami wrzuciłem do kartonu,
159

wtedy otworzyłem szafę i wyjąłem pudełko z drużynami piłkarskimi z guzików, miałem tam również prawdziwe bramki obciążone siatką, które zrobiłem z miedzianego drutu i pończochy, zarówno bramki, jak i trzy mistrzowskie drużyny wrzuciłem do pudła, słyszałem, jak guziki się po nim rozsypują, wiedziałem, że mieszają się przy tym drużyny, ale to było już nieważne, wyjąłem wtedy z szafy swoją kaburę ze sztucznej skóry razem z dwoma plastikowymi pistoletami na kapsle, a potem kowbojski słomiany kapelusz z aplikacjami ze skóry jelenia, trzymając go za miedzianą szlufkę od paska, na którą zapinał się pod brodą, pomyślałem, że jeden z tych pistoletów musi być jeszcze nabity czerwonym fosforowym prochem, który zeszkrobałem z łebków zapalek, i już chwyciłem za kolbę pistoletu, kiedy usłyszałem, jak w dużym pokoju matka zamyka wa-

lizkę, wrzuciłem kaburę do kartonu, na nią kowbojski kapelusz, który omal się nie zsunął, bo pudło było już pełne po brzegi, ale zahaczył paskiem o zwinięte plakaty i tak został, wtedy usłyszałem, jak w dużym pokoju zamek od walizki z trzaskiem się zamyka, po czym odskakuje, bo to był bardzo kiepski zamek, zwykle się psuł, trzeba było dwóch osób, by zamknąć walizkę, jedna dociskała, a druga zamykała zamek na klucz, słyszałem, jak matka, dysząc, mocuje się z zamkiem, wiedziałem też, że mnie nie zawoła, bym jej pomógł, ale ja i tak tam pójde, i pomogę.

ZŁOTE ZNALEZISKO

Do tej pory wierzyliśmy, że kopalnię gliny zamknęli, bo podczas wielkiego trzęsienia ziemi osunęła się ściana i odsłoniła wiele bezcennych, prehistorycznych płaskorzeźb, lecz odkąd Zsolt pokazał nam złotą bryłkę, każdy wiedział, że tak naprawdę nie dlatego nie można tam chodzić, tylko dlatego że w ścianach jest pełno złota, wystarczy postukać młotkiem w łupkę tam, gdzie biegną żyły, i już sypią się złote grudki. Zsolt opowiadał, jak wykradł tę bryłkę z szufłady swego ojca, gdzie leżała obok jego kolejarskiej legitymacji i odnaczeń, pozwolił nawet wziąć ją do ręki, była bardzo ciężka, czuło się, że to faktycznie złoto. Wiele razy wybieraliśmy się do kopalni, by sprawdzić, jak jest z tym złotem, póki jednak pilnował jej ujek Vasile razem z dwoma owczarkami niemieckimi, nie mieliśmy szans, bo ujek Vasile był tam dzień i noc, mieszkał w starym barakowozie i nigdy nie wpuszczał nikogo na teren kopalni, psów też nigdy nie trzymał na łańcuchu, a jak kiedyś Zsolt założył się, że wejdzie, i przelażł przez płot, jeden z nich ugryzł go w łydkę i Zsolt musiał potem dostać trzydzieści zastrzyków w brzuch, kiedy więc dotarła do nas wiadomość, że ujek Vasile się powiesił, nikt go nie żałował, a już zwłaszcza

161

ucieszyliśmy się z tego, że przedtem zastrzelił swoje psy. Zsolt od razu powiedział, że trzeba korzystać z okazji i wybrać się po złoto, nim zatrudnią jakiegoś nowego stróża, najlepiej jak zaraz pójdziemy, przynieśmy więc z domu młotki i ruszajmy, bo on chciałby wreszcie zobaczyć te stare płaskorzeźby.

Kopalnia gliny znajdowała się daleko, pojechaliśmy więc na rowerach, ja siedziałem za Zsoltem na bagażniku, a Jancsi przed Csabim na ramie. Płot był dosyć wysoki, lecz nad bramą zamkniętą na łańcuch nie było drutu kolczastego, Jancsi wymyślił, że jak oprzemy rower o bramę, to z siodełka będzie już w miarę łatwo dostać się na górę, i rzeczywiście udało nam się przejść na drugą stronę bez większych problemów, tylko kiedy już wszyscy czterej byliśmy w środku, Zsolt powiedział, że kompletni z nas idioci, trzeba było raczej rozbić kłódkę, wtedy przynajmniej wprowadzilibyśmy rowery, ale Jancsi tylko machnął ręką, nie-

ważne, grunt, że wreszcie tu jesteśmy i że nie musimy się obawiać tych psich bestii.

Myślałem, że te płaskorzeźby są dużo ciekawsze, były co prawda spore, znajdowały się wysoko na wyrobisku, ze cztery metry nad ziemią, nie bardzo nawet potrafiłem sobie wyobrazić, jak weszli tam ci, którzy je zrobili, ale były dosyć zniszczone, trudno się było zorientować, co przedstawiają, dostrzegłem jakieś domy i zwierzęta, i sporo ludzkich postaci, parę z nich strzelało z łuku, parę innych w dwukołowych wozach polowało z dzidami na dziki i niedźwiedzie, był tam również jakiś olbrzym leżący na ziemi, czy to jednak mężczyzna, czy kobieta - nie sposób było stwierdzić, bo z twarzy zostały właściwie same oczy. resztę zniszczył deszcz i śnieg, Jancsi powiedział, że nie

162
rozumie, co w tym takiego bezcennego, skoro prawie nic nie widać, na co Zsolt odparł, że słyszał, że to żadna prehistoria, górnicy dłubali sobie z nudów, a potem zalepili gliną te swoje dzieła, takie były nieudane, i rzeczywiście nie bardzo było co podziwiać.

Buda ujka Vasile stała w załomie ściany pod płaskorzeźbą, jakieś dziesięć metrów od brzegu jeziora, było to coś w rodzaju przyczepy na kółkach, w jakiej zwykle mieszkają robotnicy budowlani, kiedy ją mijaliśmy, Zsolt zaproponował, żeby wejść do środka i rozejrzeć się, co po starym zostało, ale Csabi przeżegnał się i powiedział, Boże broń, tylko byśmy zakłócili spokój ducha ujka Vasile, a ta kopalnia i tak jest miejscem nawiedzonym przez duchy, Zsolt jednak stwierdził, że to tylko zabobony i że on w żadne duchy nie wierzy, chociaż też słyszał, że na dnie jeziora, powstałego w miejscu, z którego wybrano glinę, jest pełno kości, ale i w to nie wierzy, bo ludzie opowiadają takie rzeczy dlatego, że lubią się nawzajem straszyć, może jednak kiedyś, kiedy woda będzie dostatecznie czysta, sam zanurkuje, by się przekonać, jak to jest z tymi kośćmi, ale duchów tak czy siak nie ma, więc duch ujka Vasile też nie istnieje, po tych słowach Zsolt wyjął zza paska młotek i walnął nim parę razy w ścianę budy, wołając, żeby duch ujka Vasile wyszedł, jeśli ma odwagę, z początku rzeczywiście nic się działo, potem jednak coś się w środku poruszyło, słychać było jakieś skrobanie, drapanie, również jęki i nagle cała buda lekko się zakołysała, tak się zląkłem, że omal nie upuściłem młotka, zobaczyłem, że także Zsolt zrobił się biały jak kreda, wiedziałem, że należy stąd uciekać, ale tak mnie ścisnęło w żołądku, że nie mogłem się ruszyć, inni Zresztą też nie, staliśmy we czterech przed tą budą, kiedy

163
nagle zobaczyłem, jak spod niej, pomiędzy kół, wyciąga się ku nam biała ręka, ręka szkieletu, Csabi krzyknął, Boziu ratuj, już po nas, biała ręka zaczęła po omacku błądzić

tu i tam, też miałem ochotę krzyknąć, ale nie mogłem wydobyc z siebie głosu, nagle pojawiła się druga ręka, lecz już ludzka, prawdziwa, wtedy spostrzegłem, że ta koścista ręka to wcale nie ręka, tylko zakończenie kuli, potem cała kula wysunęła się spomiędzy kół, a zaraz za nią druga, jednocześnie usłyszeliśmy przekleństwa, pomruki i dyszenie, spod budy wyczołgał się z trudem jakiś człowiek bez nogi, pusta prawa nogawka jego wojskowych spodni zawiązana była na supeł, miał długie, skołtunionie włosy i gęstą, czarną brodę, kiedy się wreszcie cały wygramolił, złapał jedną z kul i uklęknął, podpierając nią zdrową nogę, potem znowu sięgnął pod barakowóz i wyciągnął za parciany pasek wielki, zielony plecak, wyjął z niego litrową butelkę, po czym włożył sobie pod pachę drugą kulę i stękając, wyprostował się, zobaczyliśmy, że jest bardzo chudy i bardzo wysoki, o całą głowę wyższy od barakowozu, zębami wyciągnął korek z butelki, wypłuł na dach, pociągnął duży łyk i dopiero wtedy spytał, kim jesteśmy i czego, do kurwy nędzy, tu szukamy.

Zsolt zdążył już odzyskać swój normalny kolor twarzy, stanął na baczność, zasalutował i powiedział, że melduje towarzyszowi kapralowi: szukamy towarzysza Vasile, przyszliśmy popracować społecznie, jesteśmy ze szkoły numer trzynaście, przysłał nas nauczyciel prowadzący warsztaty, musimy wyklepać blachę, po czym pokazał młotek, ja tymczasem spostrzegłem, że człowiek bez nogi rzeczywiście ma na kurtce kaprałskie naramienniki, ale tylko z jednej strony, bo z drugiej został jedynie ślad szycia. Z początku

164
kaprał nic nie mówił, tylko mierzył nas wzrokiem, poprawił sobie kulę pod pachą i znowu pociągnął z butelki, potem spytał, czy rzeczywiście przyszliśmy do ujka Vasile, ale bądźmy z nim szczerzy, bo o ile wie, jego biedny tatuś nie miał przyjaciół, podobno nikt po nim nie płacze, wręcz przeciwnie, wszyscy są raczej zadowoleni z jego śmierci, bo ludzie, niech im Bóg wybaczy, nie bardzo jego tatusia lubili i nawet teraz, kiedy nie żyje, nikt dobrego słowa o nim nie powie, mówią tylko, że nie szanował życia, skoro się powiesił, takimi kłamstwami chcą zbrukać jego pamięć, a my tu tak serdecznie wspominamy staruszka i szukamy go, musieliśmy o tym nie słyszeć, wtedy Zsolt powiedział, że nie słyszeliśmy, a kiedy to się stało, człowiek bez nogi odparł, że nie minęły jeszcze trzy dni, ale trzeba nam wiedzieć, że to nie było samobójstwo, powiedzieliśmy wtedy, żeby przyjął od nas szczerze wyrazy współczucia, że bardzo nam przykro i że nie będziemy mu wobec tego przeszkadzać, ja już nawet odwróciłem się, by pójść w kierunku bramy, ale kaprał powiedział, byśmy poczekali, żebyśmy się nie spieszyli, bo chciałby nas spytać o to i owo, poczuje się urażony, jeśli zostawimy go tak samego w żałobie, wszyscy

czterej zawróciliśmy więc, a kapral spytał, od jak dawna znaliśmy jego ojca, Zsolt powiedział, że od dość dawna, od jakichś trzech lat, kapral kiwnął głową, znowu pociągnął z butelki i poprosił, byśmy szczerze powiedzieli, nie bawiąc się w żadne ceregiele, bo kręcąc, tylko zbrukamy pamięć Jego tatusia, a więc byśmy mu powiedzieli, jakim był człowiekiem, jakim go znaliśmy, i wtedy Zsolt po raz pierwszy Zamilkł, i popatrzył w ziemię, potem jednak spojrzął na ka-Prala i powiedział, że był dobrym człowiekiem, surowym i gwałtownym, ale bardzo porządnym, bardzo uczciwym.

165

Kiedy to mówił, za plecami dawał nam znaki, też się więc odezwałem i powiedziałem, że to prawda, był porządnym człowiekiem, Jancsi i Csabi powiedzieli to samo i dodali, niech spoczywa w pokoju. Kapral skinął na to głową i powiedział, że dobrzy z nas chłopcy, i niech nas Bóg błogosławi, potem podał Zsoltowi butelkę i powiedział, żeby pociągnął przez pamięć dla jego ojca, Zsolt wziął butelkę i wypił łyk, kapral tymczasem wyjął chustkę i głośno wysmarkał nos, a kiedy Zsolt chciał mu zwrócić butelkę, powiedział, żeby dał innym, też zasłużyli, bo również lubili jego ojca, tak więc obaj, Jancsi i Csabi, wypili, po czym podali mi butelkę, pociągnąłem, była to ostra, śliwkowa palinka, taka mocna, że aż zakaszlałem, a kiedy opuściłem rękę z butelką, zobaczyłem, że drzwi barakowozu się otwierają i wychodzą z niego, jeden za drugim, trzy potężne psy pasterskie, każdy wielkości bernardyna, łby miały okrągłe jak niedźwiedzie, stanęły przed nami, nawet nie szczekały ani nie warczały, tylko patrzyły, lecz i to wystarczyło, bym z miejsca poczuł, jak sztywnieję i robi mi się zimno, po innych też poznałem, że boją się co najmniej tak samo jak ja, wtedy kapral pstryknął palcami i psy usiadły, powiedział, że przeprasza, nie chciał nas wystraszyć, psy wyszły, słysząc kaszel, bo to psy szkolone do polowania na ludzi, ale nie bójmy się, nic nam nie zrobią, musimy tylko na jedną rzecz uważać, nie próbujemy biec, bo wtedy psy nas dopadną, mają zakodowane w genach, że biegnącego człowieka trzeba przewrócić na ziemię i rozszarpać, żeby nam więc nie przyszło do głowy uciekać przed tymi psami, musimy się poruszać powoli i nie patrzeć im w oczy, a wtedy nic się nam nie stanie, potem wziął ode mnie butelkę, wypił resztkę palinki, cisnął butelkę do

166

jeziora, głęboko westchnął i powiedział, że wstydzi się tylko tego, że tak późno przyjechał i nie mógł być na pogrzebie, chociaż wyruszył, jak tylko otrzymał wiadomość, lecz biednego staruszka bardzo szybko pochowali, to straszne, że się z nim nie pożegnał jak należy, jest tu już pół dnia, ale nie miał odwagi wejść do jego mieszkania, psy również posłał tam dopiero przed chwilą, żeby się trochę rozejrzały, on

pamięta ten barakowóz jeszcze z czasów dzieciństwa i trochę się boi tych wspomnień, chociaż, możemy mu wierzyć, nie jest tchórzliwym człowiekiem, sam właściwie nie wie, dlaczego nam to mówi, jesteśmy przecież dziećmi, i tak nie rozumiemy, jednak musi to komuś powiedzieć i z jakiegoś powodu czuje, że nam może zaufać, chciałby więc nas prosić o pewną, wcale niemającą, przysługę, skoro przyszliśmy popracować, to mamy czas, bądźmy więc tak dobrzy i pomóżmy mu przejrzeć rzeczy po ojcu, bo on się obawia, że sam nie da rady, no i, prawda, o kulach będzie mu trudno je przerzucać, kiedy to mówił, wyciągnął w naszą stronę jedną z kul, psy wtedy zawarczały, a Zsolt powiedział, że oczywiście, to drobiazg. Kapral skinął głową, znowu wysmarkał nos, bardzo nam podziękował, stwierdził, że od pierwszej chwili wiedział, że może na nas liczyć, następnie wskazał na oparte o ścianę barakowozu krzeselko kempingowe, składany stolik i parasol, poprosił, byśmy w takim razie rozłożyli parasol, postawili pod nim krzesło i stół, bo chciałby sobie trochę posiedzieć, tak jak siadywał jego ojciec, a kiedy to zrobimy, powynośmy z budy rzeczy, żeby mógł ogarnąć to, co po starym zostało.

Dosyć ciężko było wbić parasol w gliniastą ziemię, a gdy już udało się go postawić i rozłożyć, trzy razy się zamykał, °o przetyczka za nic nie chciała trafić w otwór, na ten widok

167
jeden z psów usiadł i zaczął ochryple szczekać, lecz kapral tylko podniósł na niego kulę i krzyknął, cicho bądź, Kloska, a pies zaraz ucichł i znowu przywarł do ziemi. Tymczasem udało nam się w końcu otworzyć parasol, postawiliśmy pod nim krzeselko kempingowe i stolik, wtedy człowiek bez nogi przykuśtykał i z wielkim trudem usiadł, położył przed sobą na stole obie kule, oparł się na krzesle, wytarł sobie twarz, po czym powiedział, że ma wrażenie, że jest gotowy, najlepiej więc będzie, jeśli dwóch z nas wejdzie do budy i zacznie wystawiać wszystko, co da się ruszyć, a pozostali będą układać to na kupę, sam potem przyjdzie zobaczyć, co znaleźliśmy, jak dotąd starczyło mu odwagi, by zajrzeć przez drzwi, ale było tego tyle, tyle znajomych rzeczy, że aż się wystraszył, lepiej więc będzie, jak zaraz zaczniemy, bo sporo jest do wyniesienia. Zsolt ruszył więc w stronę barakowozu, poprosił, żebym poszedł razem z nim, zgodziłem się, choć co prawda niechętnie, kiedy mijaliśmy psy, zwierzęta postawiły uszy i znowu zaczęły warczeć, dopiero wtedy zauważyłem, że każdy ma obcięte jedno ucho, kapral kazał im leżeć, bo przyjaciół jego tatusia nie trzeba pilnować, psy się więc nie ruszyły, tylko nas obserwowały, pomyślałem wtedy, że może to i dobrze, że Zsolt wybrał właśnie mnie, a nie Jancsiego czy Csabiego, bo w budzie przynajmniej na psy nie trzeba będzie uważać.

Kiedy wszedłem po ułożonych z cegieł schodkach i sta-

nałem przed drzwiami barakowozu, przypomniało mi się, co Csabi mówił o duchach, poczułem, że nogi się pode mną uginają, potem jednak spojrzałem na psy i chwyciłem się futryny, Zsolt westchnął głęboko, zanim otworzył drzwi, wtedy ja również nabrałem w płuca świeżego powietrza, wciąż bardzo się bałem, mimo to odważyłem się wejść

168

Zrobiliśmy to z Zsoltem jednocześnie, nigdy wcześniej nie byłem w miejscu, w którym ktoś zmarł, nawet trochę mnie ciekawiło, jak to będzie, miałem gęsią skórę na całym ciele. W środku buda wyglądała na dużo większą niż z zewnątrz, była co najmniej dwa razy taka, panowała w niej wilgoć i czuć było pleśń, z początku prawie nic nie widziałem, bo światło wpadało tylko przez drzwi, które akurat sobą zasłaniałem, kiedy jednak Zsolt zerwał z okna zawieszoną tam pałatkę, można się było wreszcie rozejrzeć, faktycznie panował tu niezły bałagan, pośrodku na taborecie stał duży gramofon z tubą, wokół niego na podłodze pełno było gazet, puszek po konserwach i butelek po piwie, potknąłem się o jedną z nich i o mało nie upadłem, lecz chwyciłem się zimowego płaszcza na wieszaku, gdzie zresztą wisiało z piętnaście innych zimowych płaszczy, pod którymi również leżały płaszcze, kiedy kopnąłem w ten stos, wydobył się z niego taki smród stęchlizny, że aż zrobiło mi się niedobrze, powiedziałem do Zsolta, że naprawdę świetnie to wymyślił, na co kazał mi się zamknąć, bo skoro miałem lepszy pomysł, to dlaczego się nim nie podzieliłem, może zresztą ujek Vasile wykopał sobie trochę złota i mamy szansę je znaleźć, a jeśli nie znajdziemy, to trudno, i tak dobrze, że na tym się skończyło, potem zamilkł i wyrzucił na zewnątrz pałatkę, następnie wziął gramofon i też wystawił za drzwi, złapałem więc ze trzy płaszcze i podszedłem jego śladem, wzbiło się przy tym trochę kurzu, który przytłumił smród, zacząłem więc po kolei wyrzucać pozostałe ubrania, w jednym z rogów jedno na drugich stały walizki, chyba z osiem, a obok nich wypchane po brzegi plastikowe torby, wiadra, stos koców, Zsolt zaczął wystawiać walizki, po trzeciej zgiął się wpół

169

i chwyciły go mdłości, zdjął więc podkoszulkę i zakrył sobie nos, ja zrobiłem to samo, od tej pory pracowaliśmy z zawiązanymi nosami, choć i tak czuliśmy tę zatęchłą woń ziemi, z początku zwracałem uwagę na to, co biorę do ręki, przewiązaną paskiem paczkę książek czy nawleczone na sznurek puszek po konserwach, ale potem podawałem Csabiemu przez drzwi wszystko, jak leci, zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy spróbowałem podnieść wielką, zieloną, dwudziestolitrową bańkę z benzyną, nie mogłem jej ruszyć, zawołałem Zsolta, by mi pomógł, we dwóch dotaszczyliśmy ją jakoś do drzwi, Zsolt jednak powiedział, żeby zostawić ją

na koniec, skoro taka ciężka, wkrótce pomieszczenie było już prawie puste, została tylko wsparta na ceglach drewniana prycza przy ścianie, Zsolt zdjął z niej brudną pościel i koc, a nawet jedną z desek i położył przy drzwiach, ja poszedłem po drugą i wtedy zauważyłem, że na suficie nad pryczą przyklejona jest jakaś gazeta, kiedy ujek Vasile leżał na plecach, patrzył pewnie wprost na nią, sięgnąłem i zerwałem ją, żeby przeczytać, co tam jest napisane, był to artykuł o kopalni gliny, o tym, jakie cudowne płaskorzeźby odkryto wysoko na wyrobisku, że są świadectwem historii i mają nieocenioną wartość artystyczną, połowę strony zajmowało zdjęcie tego leżącego na ziemi olbrzyma, a na nim na skos fioletowym flamastrem ktoś dopisał dużymi literami „Dosyć!”, już chciałem tę stronę podrzeć i rzucić na ziemię obok innych walających się gazet, w końcu jednak włożyłem ją do kieszeni.

Kiedy wywaliliśmy ostatnią deskę z pryczy, wzięliśmy się za beczkę z benzyną, wytaszczyliśmy ją z wielkim trudem, syn ujka Vasile wciąż siedział na kempingowym krześle, drapał psa pod brodą, a Jancsi i Csabi rzucali ubrania

170
na kupkę. Kiedy kapral zobaczył nas z bańką, kazał ją sobie przynieść, zauważyłem, że trzyma w ręku nową butelkę palinki, była jeszcze prawie pełna, kiedy postawiliśmy przed nim bańkę, wsadził butelkę między uda, otworzył bańkę, powąchał, chwycił jedną ręką, głośno stęknął i podniósł nad głowę, następnie wlał sobie trochę prosto w usta, ale zaraz wypluł i rzucił bańkę na ziemię, sporo się wylało, krzyczał przy tym, co za kurewski świat, jakie życie jest niesprawiedliwe, jego biedny, dobry tatuś musiał wegetować na szpitalnym niebieskim spirytusie, który nawet przefiltrowany jest niemal nie do wypicia, on tymczasem litrami złopał godziwą śliwowicę, dzisiaj też ma jej pełno w plecaku, lecz nie szkodzi, odtąd już będzie inaczej, wstał, podniósł butelkę palinki i zaczął wylewać zawartość na ziemię, robił to tak gwałtownie, że dwa razy omal nie upadł, kiedy opróżnił butelkę, wrzucił ją do jeziora, potem pokuśtykał do kupki ubrań, pogrzebał w niej kulą, wydobył spod szmat wielki słój po ogórkach, rzucił go Jancsiemu, mówiąc, by umył, Jancsi nie uszedł jeszcze dwóch kroków, kiedy kapral cisnął za nim blaszane wiadro, żeby też umył i przyniósł w nim wodę, potem podniósł jakąś plastikową torbę, stwierdził, że wiedział, że znajdzie tu węgiel drzewny, głęboko westchnął, jak się też jego biedny tatuś musiał nacierpieć, zanim przefiltrował taki spirytus, następnie wysypał na ziemię trochę węgla, kawałek rozdeptał, powiedział, że przynajmniej łatwo się kruszy, potem dalej zaczął grzebać w stosie ubrań, podnosił to jedną, to drugą sztukę, obracał, z powrotem rzucał na kupkę, mówiąc, jak bardzo jego biedny ojciec lubił przedmioty, jak

skrzętnie je wszystkie gromadził, jakim oszczędnym był człowiekiem, nie miał serca niczego wyrzucić, a jemu niech
171

Bóg wybaczy, że często kłócił się ze starym z tego powodu, wypominał mu, że trzyma tyle tego gówna, bo sam nigdy nie rozumiał, po co człowiekowi tyle szpargałów, skoro w jednym plecaku mieści się wszystko, czego potrzeba do szczęścia, do grobu i tak niczego ze sobą nie weźmiemy, najwyżej to, co uda się nam wypić, ale jego ojciec już taki był, w każdym przedmiocie widział jakąś szansę, na każdym łach patrzył, jakby to była nowa rzecz, czego on zresztą nawet teraz nie może swemu biednemu ojcu darować, no, nie bardzo jakoś może, to prawda, znowu wytarł nos, potem schylił się, podniósł duży, płócienny worek, rozwiązał, sięgnął do środka, zaczerpnął z niego garść mąki, polizał, potem wysypał na ziemię i powiedział, że jego dobry, drogi ojciec latami musiał jeść mamałygę, gdy on tymczasem opychał się słoniną i białym serem, jakież to życie jest niesprawiedliwe, ale teraz my również spróbujemy tych specjałów, wyprawimy stypę z mamałygą i filtrowanym spirytusem, skoro już nie mogliśmy być na pogrzebie, to przynajmniej tyle dla starego zrobimy, w ten sposób oddamy mu cześć, on nam pokaże, jak się robi prawdziwą mamałygę, taką z gór, niech no więc któryś z nas pójdzie za barakowóz i przyniesie drewno, a pozostali niech pomogą rozwiązać worki i pootwierać walizki, żeby mógł w końcu przebrać tę kupę badziewia, zaczęliśmy więc wysypywać z worków na ziemię ubrania i szmaty, po kolei otwieraliśmy walizki, w których też były ubrania, lecz już posegregowane, w jednej same koszule, w drugiej zwinięte w kłębek skarpety i kalesony, w trzeciej eleganckie damskie pantofle, chyba z piętnaście par, nawet bardzo wysokie szpilki, inna walizka pełna była krawatów i złożonych starannie spodni, tylko dwie walizki nie zawierały ubrań, w jednej

172
były płyty gramofonowe, w drugiej oprócz pogniecionych, starych banknotów znajdowała się duża, oprawna w skórę książka, na której złotymi literami było napisane, że to encyklopedia dziejów świata od stworzenia po dni ostatnie, kiedy kapral ją zobaczył, rzucił ubłocony zimowy płaszcz, w którym przeglądał kieszenie, wziął ją do ręki, przekartkował i powiedział, że to była ulubiona lektura jego ojca i że w dzieciństwie często mu opowiadał o tym, co w niej wyczytał, bo ojciec przepadał za historią, na próżno jednak, bo on nigdy historii nie polubił, co najwyżej fragmenty o królach, szczerze mówiąc, ojciec też najchętniej opowiadał o władcach z dawnych epok i o królewskich pogrzebach, o tym, że wikingów wyprawiano w ostatnią drogę na płonących statkach, i o tym, jakie grobowce wznosili sobie Egipcjanie i Aztekowie, z jakimi bajecznymi skarbami ich

chowano i ile sług zabierali ze sobą do grobu, żeby miał ich kto na tamtym świecie obsługiwać, kiedy był mały, to wierzył, że w tajemnicy jego ojciec również jest takim królem, tylko musiał się rzec władzy na rzecz ludu.

Tymczasem Jancsi wrócił z wodą, a Csabi przyniósł trzy duże szczapy drewna. Kapral wyciągnął spod budy okopcony kociołek, nalał do niego z wiadra jakieś dwa litry wody, resztę wychlapał, odwrócił wiadro, wyjął z kieszeni scyzoryk, największe ostrze trzykrotnie, raz za razem wbił w dno wiadra, potem do połowy napełnił wiadro węglem drzewnym, postawił je na słoju po ogórkach i nalał niebieskiego spirytusu, przez dziury powoli zaczął kapać przesączony alkohol, był czarny jak rzadkie błoto. Kapral wytarł ręce, spojrzął na nas, potem kopnął w naszą stronę starą blaszaną miednicę ujka Vasile, powiedział, że prosi nas jeszcze o jedną, ostatnią już przysługę, chciałby, żeby każdy

173
znalazł sobie jakąś szmatę i trochę przetań z wierzchu barakowóz, nie trzeba dużo, wystarczy, że będzie widać oryginalny kolor, on w tym czasie rozpali ogień pod małygą, a potem wszyscy jak należy, zasiądziemy do stypy. Poszedłem z miednicą, żeby nabrać wody, która w pokopalnianym jeziorze była szara i bardzo mętna, miała też dość dziwny zapach, przyszło mi do głowy, co Zsolt mówił o kościach na dnie jeziora, kiedy zanurzyłem blaszaną miskę w wodzie, tak głośno chlupnęło, że niemal natychmiast ją wyjąłem, woda utworzyła w misce mały wir, popłukałem i wylałem na brzeg, potem już ostrożniej zaczerpnąłem wody, zaniósłem pozostałym, Csabi wcisnął mi w rękę jakiś pognieciony krawat, zwilżyłem go i zaczęliśmy pucować budę, Zsolt szepnął do mnie, że i tak mamy szczęście, nie musimy szorować wnętrza, na co odpowiedziałem mu szeptem, niewykluczone, że i na to przyjdzie kolej, bo jeśli będzie to zależało od tych trzech przeklętych psów, zostaniemy tu do wieczora, Jancsi szepnął, że wtedy przynajmniej poszukalibyśmy złota, powiedziałem, że wydaje mi się, iż wiem, gdzie jest złoto, po czym opowiedziałem im, co znalazłem w czasie sprząwania, Csabi stwierdził, że wobec tego mamy pewność, że złoto znajduje się w glinianej ścianie wyrobiska, pod płaskorzeźbami, tylko trzeba się tam jakoś dostać, i że skoro przyszło nam tak ciężko pracować, to przynajmniej miejmy z tego jakiś pożytek, Zsolt już się nie odezwał, tylko cisnął szmatę do miski, westchnął, wyjął, potem wyjął i dalej pucował ścianę.

Kiedy pracowaliśmy, kapral siedział na kempingowym krzeselku i przeglądał ową grubą książkę historyczną, nagle zobaczyłem, jak wstaje, ciska ją na ziemię, wylewa na nią z bańki dobry litr spirytusu, po czym rzuca zapaloną

174
zapalkę. Spirytus buchnął niebieskim płomieniem, kiedy

książka zaczęła się palić, kartki się rozchyliły, jakby ktoś chciał z nich czytać, kapral nawet nie zaczekał, aż płomień przygasną, tylko nasypał na nie trochę węgla drzewnego z plastikowej torby, a następnie, niczego nie podkładając, postawił na węglu kociołek, przyciągnął krzesło kempinowe, usiadł, poczekał, aż woda zacznie wrzeć, następnie jedną ręką wsypywał do kociołka mąkę, a drugą, trzymając w niej suchą gałązkę, mieszał mamałygę, zauważyłem, że czasem któryś z psów wstaje, skrada się wolno w kierunku kociołka, wtedy kapral odgania go gałązką, a pies, nawet na niego nie patrząc, uchyla się i okrąża krzesło, po czym wraca grzecznie na swoje miejsce i kładzie się obok pozostałych, niedługo podnosi się następny i robi kółko wokół kaprała.

Buda była wciąż tak samo szara, jak kiedy zaczynaliśmy ją myć, chociaż zeskrobaliśmy z niej mnóstwo brudu, woda w misce przypominała błoto, z rzadka już zanurzaliśmy w niej szmaty, raczej obserwowaliśmy kaprała, jak miesza mamałygę. Nagle zdjął kociołek z ognia, gałąź rzucił psom, wstał i zawołał nas, sam tymczasem podszedł do wiadra, zdjął je ze słoja, postawił obok na ziemi, podniósł słoje, łyk za łykiem zaczął ciągnąć szary alkohol, przestał dopiero, kiedy podeszliśmy, wtedy zobaczyłem, że na stole stoi rzędem sześć musztardówek, kapral z wysoka lał do nich spirytus, słoje po ogórkach miał szeroki otwór, sporo rozlewało się po stole, w końcu jednak wszystkie były pełne po brzegi, wtedy kapral każdemu z nas podał szklaneczkę, jedną wziął sam, następnie wyjął zapałkę i zapalił spirytus w ostatniej musztardówce, powiedział, byśmy wypili do dna, przez pamięć dla jego ojca. Nie bardzo chciałem

175

pić, bo wciąż miałem w ustach smak palinki, ale gdy zobaczyłem niebieski płomień, podniosłem szklanę, pociągnąłem łyk szarego alkoholu, smakował jak dym w płynie, z początku na zimno drapał mnie w gardło, potem zaczął palić, nie mogłem więc nie zakasłać, inni też kasłali, tylko kapral wypił do dna, odstawił szklaneczkę na stół i powiedział, że jego ojciec bardzo lubił spirytus, to go wpędziło do grobu, miał skończyć w tym roku siedemdziesiąt sześć lat, lecz gdyby nie pił, doczekałby setki na pewno, ale przynajmniej trochę sobie ulżył w życiu, bo spirytus po to jest, żeby życie było lżejsze, my tego jeszcze nie wiemy, bo jesteśmy dziećmi, lecz kiedyś się dowiemy, nie ma obawy, dawniej on też nie rozumiał, nawet kłócił się z ojcem o to picie, ale od tamtej pory życie go nauczyło, oj nauczyło, kiedy to mówił, gładził dłonią kikut w spodniach, potem znowu napełnił swoją musztardówkę, na nas też skinął, byśmy podstawili słoiczki, nalał nam, następnie podniósł kociołek, odwrócił, wyłożył mamałygę na stół, wziął sporą garść, po czym z pełnymi ustami powiedział, smacznego, jedzmy, uczcij-

my pamięć jego ojca. Zsolt wziął garść mamałygi i powiedział, niech mu ziemia lekką będzie, biedny wujek Vasile, zjadł mamałygę, chlusnął odrobiną spirytusu na ziemię, resztę wypił, wtedy my również wzięliśmy po trosze mamałygi, tu i ówdzie była czarna od sadzy, poczułem, jak mi trzeszczy w zębach, ale nie była najgorsza, głównie dlatego że zabijała gorzki, dymny smak alkoholu, inni też jedli, kapral wziął sobie drugą porcję, podniósł musztardówkę, wypił spirytus do dna, następnie cisnął szklanką o ścianę barakowozu, aż rozbiła się w drobny mak, i krzyknął, w porządku, napłakaliśmy się, a teraz pora na zabawę, nie ma co się oglądać za siebie, trzeba patrzeć naprzód, jednocześnie

176

wyciągnął z kupki szpargałów jakąś płytę, nastawił, mówiąc, że to była ulubiona piosenka jego ojca i trzeba nam wiedzieć, że nie ma już na świecie nikogo, kto potrafiłby tak śpiewać, potem kazał Jancsiemu usiąść przy taborecie i w razie czego kręcić korbą, potem opuścił igłę na płytę, nigdy przedtem nie słyszałem muzyki z takiego starego gramofonu, tuba dosyć skutecznie wzmacniała dźwięk, było mnóstwo szmerów i trzasków, ale całkiem wyraźnie słyszało się fujarkę, skrzypce i akordeon oraz ostry kobiecy głos, kobieta śpiewała o jakimś lesie, że jest w nim tylko cień, tylko cień i ciemność, tak nieprzenikniona, że tłumi całą dobroć i miłość, nie bardzo pamiętam tekst, raczej to, że stara piosenkarka wprawiała swój głos w drganie, co przypominało dźwięk uderzających o siebie, poruszanych przez wiatr suchych gałęzi, psy podniosły łby i zaczęły wyć, to głośniej, to znów ciszej, zgodnie z muzyką, wtedy kapral zaczął tańczyć, wśród tych wszystkich porozrzucanych ubrań, butów i innych maneli, śpiewał też, choć nie była to zwyczajna piosenka, tylko raczej głębokie, chrapliwe krakanie, jak u wron, kiedy zresztą kapral unosił kulę i skakał na swojej jednej nodze, przypominał wielką, szarą wronę, ale to wcale nie było śmieszne, gdy tak stałem i na niego patrzyłem, poczułem działanie spirytusu, nie tylko zresztą ja, również Zsolt i Csabi, i nawet Jancsi przy taborecie, nagle ożyły nam nogi, jak na komendę rozłożyliśmy ramiona i wszyscy naraz zaczęliśmy tańczyć, wokół nas leżały te stare rzeczy, z początku uważałem, by niczego nie podeptać ani nie kopnąć, przeskakiwałem rozrzucone ubrania, walające się wszędzie słoiki i książki, nagle jednak na coś nastąpiłem, potknąłem się o wybebeszone radio, usłyszałem, jak coś trzasnęło, Zsolt z kolei rozdeptał

7

słomiany kapelusz, muzyka brzmiała coraz głośniej, nad ruchami moich nóg i rąk bez reszty panował alkohol, nie wiedziałem już, po czym stąpam, w co kopię, co miazdę trzewikami, kubek po lodach czy stary model samolotu, tekturowe pudełko czy plastikowy grzebień, a może oku-

lary przeciwsłoneczne, inni też nie uważali, Jancsi kopnął jakąś książkę, z całej siły, leciała otwarta, z wywróconym grzbietem i powiewającymi kartkami, nie widziałem jednak, gdzie upadła, bo kołowałem coraz szybciej w rytm muzyki, kapral skakał razem z nami, przykucał na jednej nodze, następnie prostował się i wyskakiwał w powietrze, podparty na kuli, a wokół niego fruwały krawaty, okładki płyt, zdjęcia, strzępy papieru, banknoty, chusteczki i pończochy, tworzyły wir niczym trąba powietrzna, skakaliśmy, gramofon grzmiał, aż czułem w klatce piersiowej zgrzytanie igły, od dźwięku harmonii szumiało mi w głowie, widziałem, jak kapral odrzucił kule, podniósł bańkę, objął ją niczym kobietę i tańcząc na jednej nodze, wirował wkoło, omal się nie przewrócił, nie wypadł jednak z rytmu, tylko podskakując, zbliżył się do barakowozu, otworzył bańkę i nadal skacząc, zaczął polewać budę spirytusem, woń alkoholu zmieszana z wonią ziemi dotarła aż do nas, bardzo wyraźnie było ją czuć, tymczasem kapral cisnął pustą bańkę za siebie, szeroko się przy tym zamachnął, stracił równowagę i upadł, w tej samej chwili płyta się skończyła, zapadła cisza, Jancsi nie nakręcił ponownie gramofonu, stanęliśmy, czułem zawroty głowy, wszystko wokół mnie wirowało, jakbym wciąż tańczył, ziemia falowała, to zapadała mi się pod stopami, to wybrzuszała, ledwie mogłem ustać na nogach, inni też się zataczali, w przód i w tył, trochę jak w tańcu, opary spirytusu snuły się niczym bladoszary

178
dym, ale nawet przez nie widziałem, jak kapral, leżąc na ziemi, wyjął pudełko zapalek, a kiedy chciał jedną zapalić, wszystkie zapłonęły mu w dłoni, rzucił je wtedy o ścianę i krzyknął, że cały świat należałoby podpalić, cały ten kurewski świat, niech się spali, i buda stanęła w płomieniach. Najpierw ogień rozszedł się po smugach spirytusu, szybko jednak zajęła się farba i drewno, strzeliły wówczas w górę syczące i żółte jęzory, a kapral, wciąż leżąc na ziemi, wyciągnął się i z trudem wyjął spod przednich kół blokujący je klin, wtedy płonąca buda drgnęła i bardzo wolno zaczęła się toczyć po pochyłym brzegu do jeziora, kapral usiłował się podnieść, ale nie miał się czego złapać, bez kul nie mógł wstać, położył się więc z powrotem, odwrócił na bok i patrzył, jak płonąca buda powoli pogrąża się w jeziorze, od dołu płomienie z sykiem przygasały, lecz nie zatoneła, tylko paląc się nadal w górnej części, płynęła w głąb jeziora, nagle stanęła, jakby zahaczyła o dno, już się nie pogrążała ani nie dryfowała, czerwone płomienie odbijały się w szarej wodzie, wydawało się, że cały środek jeziora się pali, kapral leżał bez ruchu na ziemi, podparł głowę ramieniem i obserwował ogień.

Ja też nie mogłem oderwać oczu od płomieni, przyszło mi do głowy, że może ogień oświecła wodę aż do samego

dna i gdybyśmy tak poszli nad jezioro, i zajrzeli, to może zobaczylibyśmy, co się kryje w głębinie, chciałem właśnie ruszyć w kierunku wody, kiedy odezwał się Zsolt, że będzie lepiej, jak już pójdziemy, bo kapral zaraz się obudzi i wymyśli jakąś nową uroczystość dla uczczenia pamięci swego ojca, wtedy spojrzałem i zobaczyłem, że kapral z rozpostartymi ramionami i otwartymi ustami chrapie na ziemi, powiedziałem, faktycznie, chodźmy, bo zaraz

179
również padniemy, ale wtedy Jancsi powiedział, że skoro tyle wytrzymał, to tym bardziej powinniśmy sprawdzić, czy w wyrobisku jest złoto, chociaż i tak nam się pewnie nie uda, bo psy nam nie pozwolą, kapral mówił, że są szkolone do polowania na ludzi, wtedy Zsolt skinął głową i powiedział, prawda, z psami należałoby coś zrobić, powiedziałem, że nawet wiem co, po czym podszedłem do stolika kempingowego i zrzuciłem resztkę mamałygi, polełem ją spirytusem, który został w słoju po ogórkach, było tego jeszcze ze dwa litry, jeśli nie więcej, pusty słoć cisnąłem o ziemię, na ten dźwięk psy spojrzały w moją stronę, a ja powiedziałem do nich, chodźcie, czeka na was pyszne papu, a kiedy się usunąłem, podeszły i zaczęły wcinać zaprawioną palinką mamałygę.

Wciąż jeszcze nieźle kręciło mi się w głowie, poszliśmy jednak na wyrobisko, psy nie podążyły za nami, podeszliśmy prosto pod zniszczoną płaskorzeźbę, stanęliśmy przed ścianą gliny, z bliska wyglądała, jakby miała łuski, przypominała skórę smoka, wydawała się częścią płaskorzeźby, z początku trochę bałem się jej tknąć, ale potem walnąłem młotkiem, pozostali też zaczęli walić, ściana okazała się bardzo miękka, wystarczyło parę uderzeń, by posypały się z niej grudki wielkości pięści, ziemia błyszczała, była taka tłusta, że aż zebrało mi się na mdłości, dalej jednak waliłem młotkiem, nagle usłyszałem jakiś tępy dźwięk, spojrzałem i zobaczyłem rozpląszczoną, lśniącą bryłkę metalu, schyliłem się i podniosłem, była dokładnie taka, jak ta, którą Zsolt nam kiedyś pokazywał, szybko wstałem i znowu wbiłem młotek w glinianą ścianę, wtedy już jednak spod uderzeń innych chłopców również posypały się błyszczące grudki złota, i to nie pojedyncze, tylko p^o

180
dwie-trzy naraz, z każdym uderzeniem było ich coraz więcej, mieliśmy ich pełno wokół stóp, potem już same odpadały ze ściany, rzuciliśmy młotki i Jancsi powiedział, że nie wierzył, ale teraz już widzi, że to prawda, tutaj rzeczywiście jest złoto, przykucnął i zaczął ładować do kieszeni, my też ukucnęliśmy i zaczęliśmy napełniać kieszenie złotem, brałem bryłki, jak leci, razem z ziemią, i chciałem właśnie powiedzieć, że może już dosyć, chodźmy, bo będą kłopoty, kiedy usłyszeliśmy głos kaprała, co do kurwy nędzy tutaj

robimy, stał tuż za nami, wsparty na kulach, odwróciliśmy się i wyprostowaliśmy, a kapral znowu spytał, co robimy, kiedy się odezwał, buchnął od niego taki odór spirytusu, że aż mi się wszystko w żołądku przewróciło, nie byłem w stanie wydobyć głosu, za to Zsolt obruszył się i powiedział, że chyba widzi, zbieramy złoto, dobrze wiemy, że jego ojciec dlatego tak pilnował kopalni, nie z powodu jakichś marnych płaskorzeźb, ale kapral potrząsnął głową i powiedział, diabła tam, tu nie ma żadnego złota, wtedy Zsolt podsunął mu pod nos dwie pełne garście i spytał, co w takim razie trzyma w rękach, a kapral znowu potrząsnął głową i powiedział, że kompletni z nas idioci, jak mogliśmy pomyśleć, że w kopalni gliny znajdziemy złoto, widzimy przecież, że to tylko kule z pistoletu maszynowego, po czym przejechał Zsolta po rękach, aż wypadły z nich wszystkie grudki metalu, krzyknął, byśmy się stąd zabierali, ale już, ile sił w nogach, bo jak nas tu jeszcze raz zobaczy, to zabije, potem obleje benzyną nasze zwłoki, podpali i wrzuci do jeziora, zostaną z nas tylko kości albo i to nie, mamy więc zjeżdżać, zjeżdżać i nie oglądać się za siebie.

ROLADA

Właśnie odrabiałem lekcje, a matka poprawiała klasówki, odkąd zakazali jej uczyć, znacznie częściej niż kiedyś poprawiała klasówki, były koleżanki dawały jej w tajemnicy prace do poprawienia, wiedziały, że z pieniędzy, które dostaje za sprzątanie, w żaden sposób nie wyżyjemy, usiłowały jej więc pomóc.

Nie mogłem się doczekać, kiedy skończę odrabiać lekcje, bo bardzo chciałem już dostać kawałek kasztanowej rolady, którą specjalnie dla mnie matka zrobiła na moje urodziny, z wielkim trudem zdobyła kasztany i śmietankę, puree robiliśmy razem, łyżeczką wybieraliśmy miąższ z ugotowanych i przekrojonych na pół kasztanów, to był mój ulubiony deser, ostatni raz jadłem taki z rok temu, kiedy jeszcze ojciec był w domu, czyli zanim zabrali go nad Kanał, to był również ulubiony deser ojca, od tamtej pory po raz pierwszy udało się zdobyć kasztany, wiedziałem, że jak skończę odrabiać lekcje, wyjmemy go z lodówki, ustawimy na nim świece i będziemy świętować moje urodziny, już się niemal uporałem z lekcjami, kiedy nagle zadzwonił dzwonek.

182

Matka oczywiście się wzdrygnęła, od czasu rewizji zawsze się bała, kiedy ktoś dzwonił do drzwi, fakt, nie spodziewaliśmy się nikogo, rzadko zresztą ktoś do nas przychodził, sąsiedzi raczej wieczorem, żeby o coś poprosić albo coś przynieść, ale po południu prawie nikt do nas nie zaglądał, kiedy spojrzałem na matkę, zobaczyłem, że zbladła, powiedziałem więc, żeby zaczekała, zobaczę kto to i jeśli ktoś obcy, to nie wpuszczę, poszedłem do przed-

pokoju, wyrzałem przez wizjer, ale nikogo nie zobaczyłem, na schodach było pusto, wtedy pomyślałem, że to pewnie chłopaki się wygłupiają, chociaż mówiłem im, żeby z naszym dzwonkiem takich kawałów nie robili, i już chciałem pójść do pokoju, by powiedzieć matce, że nikogo nie ma, kiedy dzwonek znowu zadzwonił, wyrzałem więc, lecz znowu nikogo nie zobaczyłem, wtedy zebrałem się w sobie i otworzyłem drzwi, tylko po to zresztą, by sprawdzić, czy ktoś nie przylepił dzwonka taśmą.

No więc kiedy otworzyłem drzwi, zobaczyłem, że stoi tam dzieciak, mógł mieć najwyżej z siedem lat, dlatego go nie widziałem, do dzwonka też ledwie sięgał, był w szkolnym mundurku, ale kurtka była na niego co najmniej sześć numerów za duża, kończyła się koło kolan, a rękawy miała obcięte mniej więcej w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się łokieć, i ten dzieciak był cały obwieszony wieszakami, drewnianymi nożami i łyżkami, miał na sobie ze sto wieszaków i wałki do ciasta, a w pasie na sznurku klamerki do bielizny, mnóstwo, z pięćset sztuk, naprawdę. Kiedy mnie zobaczył, od razu spytał, czy moja mama jest w domu, Powiedziałem, żeby stąd zjeżdżał, bo niczego nie kupimy, na co odparł, że nie pytał, czy chcę coś kupić, tylko czy twoja matka jest w domu, wtedy mu powiedziałem, żeby

183
spieprzał, bo jak nie, to go zepchnę ze schodów, ale zanim to zrobię, każe mu jeszcze zjeść ze dwa wieszaki, wyglądało jednak na to, że także tym się nie przejął, bo znowu nacisnął dzwonek i wtedy matka zawołała z pokoju, kto to, na co odkrzyknąłem, że nikt, ale ten pędrak też zaczął krzyczeć, że tanio sprzedaje wieszaki i niech szanowna doamna wyjdzie, i zobaczy, bo takiego solidnego drewna w życiu nie widziała, wtedy popchnąłem szczeniaka, ale się nie przewrócił, tylko cofnął o krok i przytrzymał poręczy, znowu powiedziałem mu więc, spieprzaj, i to zaraz, wtedy już jednak zjawiała się matka i spojrzała na mnie, bardzo surowo ściągnęła usta, zmiataj do swojego pokoju, tak do mnie powiedziała, oczywiście nie posłuchałem, tylko z przedpokoju podglądałem, co się będzie działo.

Matka spytała tego kurdupla, jak się nazywa i ile ma lat, powiedział, że Marjus, ma sześć i pół roku, a ile ma rodzeństwa, dzieciak powiedział, że jest ich ośmioro, na co matka powiedziała, no dobrze, wejdź, nie stój na zimnie, chociaż na klatce schodowej wcale nie było zimno, i wtedy Marjus wytarł nogi, a wszystkie drewniane rzeczy tak na nim stuknęły, jakby nie był sam, wszedł do przedpokoju, stanął, zdjął z ramion to całe badziewie, miał na sobie coś w rodzaju upręży, położył na dywanie i zaczął matce tłumaczyć, jak jego ojciec rąbie drzewo, następnie suszy na strychu, i jak razem z rodzeństwem strugają te wieszaki i klamerki, i że takiej ręcznej roboty to już dzisiaj

prawie się nie spotyka. Mówił jak dorosły, bez przerwy, co raz biorąc w rękę to wieszak, to klamerkę, pokazywał je matce jak ktoś, kto rzeczywiście jest dumny ze swojej pracy, tymczasem matka nic nie mówiła, patrzyła, a kiedy dzieciak w końcu zamilkł, spytała go tylko, kto go nauczył

184
tak ładnie opowiadać, a dzieciak na nią spojrzął i powiedział, że tata, wtedy matka spytała, czy reszta rodzeństwa robi to samo co on, a Marjus odparł, że tak, chodzą po sąsiednich blokach, przez tydzień będą w naszym mieście, potem pójdą dalej, obejdą pół kraju i dopiero na Boże Narodzenie wrócą do domu, wtedy matka spytała, czy wobec tego nie chodzi do szkoły, na co Marjus powiedział, że nie, podobnie jak rodzeństwo, to pewnie nie umie czytać, a Marjus uśmiechnął się i kiwnął głową, ale zaraz dodał, że za to liczy, liczyć to umie bardzo dobrze, zwłaszcza dodawać, i kiedy trzeba będzie policzyć, ile kosztują wieszaki, to doamna sama zobaczy, jaką dobrą cenę jej poda, i zaraz spytał, ile wieszaków matka chce kupić, a ile klamerek, i już zamierzał znowu opowiedzieć, z jakiego świetnego drewna są zrobione, kiedy matka spytała go, czy nie jest głodny, a Marjus rzecz jasna powiedział, że jest, wtedy matka wzięła go za ramię i powiedziała, żeby poszedł z nią do kuchni, a ja bardzo się wystraszyłem, bo od razu pomyślałem o roladzie i o tym, co teraz będzie.

Ostrożnie wśliznąłem się za nimi, nie chciałem, żeby matka na mnie krzyczała, tymczasem Marjus był już w połowie grubej kromki chleba ze smalcem, matka właśnie postawiła przed nim kubek i wyjęła butelkę mleka z lodówki, nalała mu do pełna, Marjus z miejsca złapał kubek w obie ręce i wypił, bardzo głośno przełykał, potem odstawił kubek, wytarł usta rękawem swojej szkolnej kurtki, a kiedy matka chowała butelkę do lodówki, Marjus spojrzął prosto na kasztanową roladę, która stała w środku na półce, pokazał nawet palcem i spytał, co to, wtedy nie wytrzymałem, musiałem się odezwać, powiedziałem, że nic, niech go to nie obchodzi, i od razu pożałowałem, bo

185
matka spojrzała na mnie, uśmiechnęła się tym swoim surowym, chłodnym uśmiechem i powiedziała, synku, wygląda na to, że masz gościa, to już prawdziwe święto, po czym znowu otworzyła lodówkę i wyjęła kasztanową roladę, postawiła na stole i kazała mi podać dwa talerze i dwie łyżeczki.

Miała taki surowy ton, że nie śmiałem zaprotestować, wyjąłem grzecznie łyżki i talerze, jeden postawiłem przed dzieciakiem, drugi tam, gdzie było moje miejsce, potem usiadłem, w tym czasie matka zatknęła świeczkę na roladzie, obok napisu z czekolady - dwanaście, i zapaliła ją mówiąc, że tak naprawdę powinno być dwanaście świe

czek, ale teraz symbolicznie musi wystarczyć jedna, wtedy zdmuchnąłem świeczkę i pomyślałem, żeby tylko ojciec wrócił do domu, albo chociaż przysłał jakąś wiadomość, potem matka pokroiła roladę i pierwszy kawałek nałożyła Marjusowi, drugi mnie, Marjus od razu zaczął jeść, więc ja też nie życzyłem mu smacznego, wziąłem łyżkę do ręki, lecz nie rzuciłem się na roladę, przez chwilę przyglądałem się swojemu kawałkowi na talerzu, patrzyłem na białą bitą śmietaną pośrodku kasztanowej masy i myślałem, jak sądzę, o ojcu, potem zjadłem troszeczkę, rolada była równie smaczna, a może nawet smaczniejsza niż ta, jaką zapamiętałem, słodka i gładka, kiedy jadłem drugą łyżkę, spojrzałem na talerz Marjusa, właśnie zniknął ostatni kęs, Marjus popatrzył na matkę i powiedział, że w życiu nie jadł czegoś równie dobrego, nigdy w życiu, i spytał, czy może prosić o jeszcze, sam najchętniej powiedziałbym mu, a gównu, nawet tego jednego kawałka było dla niego szkoda, ale matka już kroila drugą porcję, wtedy zacząłem jeść szybko, już nie delectowałem się smakiem kasztanów, tylko

186
nabierałem łyżkę za łyżką, patrzyłem jednocześnie na Marjusa, pakował do ust, ile tylko się dało, nabierał takie kęsy, że aż musiał kciukiem przytrzymywać, żeby mu z łyżki nie spadło, miał całą brodę w bitej śmietanie i kasztanowym puree, a kiedy zjadł, znowu spojrzał na matkę, ukroiła mu jeszcze kawałek, tymczasem ja dostałem drugą porcję i na porcelanowym talerzu niewiele już z rolady zostało, tylko ta część, na której były cyfry, Marjus wciąż jadł tak samo szybko jak na początku, pochylił się nisko i rękę, w której nie miał łyżki, oparł łokciem na stole, zasłaniając nią talerz, ale matka nie zwróciła mu uwagi, żeby usiadł porządnie, chociaż mnie na pewno by upomniała, kiedy skończył, Marjus znowu wskazał łyżką na półmisek i powiedział, żeby mu matka nałożyła tę resztkę, po co ma się zmarnować, i widziałem, że matka już niechętnie sięga po nóż, przekroiła jednak tę ostatnią porcję, jedną połowę dała jemu, drugą mnie, i kiedy byłem w połowie tego ostatniego kawałka, nagle poczułem, że już nie mogę, oczywiście Marjus dawno zdążył się uporać ze swoim, widziałem, jak spogląda na mój talerz, zjadłem więc jeszcze jedną łyżeczkę, nie czułem już kasztanów, tylko słodki smak rumu, jadłem dalej, chociaż ledwie mogłem przełknąć kolejny kęs, ale Marjus tak patrzył, że przełknąłem, mimo wszystko, a nawet wyškrobałem z talerza resztkę bitej śmietany i oblizałem łyżkę, a kiedy w końcu ją odłożyłem, poczułem, że mi niedobrze, uśmiechałem się jednak, wtedy Marjus spojrzał na mnie i powiedział, żeby mi Bóg dał zdrowie, potem spojrzał na matkę i powiedział, że dziękuje, że go tak ugościła, ale teraz niech powie, czy kupi wieszaki, czy nie, bo on musi już iść, tego dnia mało co sprzedał, i wtedy matka powiedziała, że

dobrze, kupi pięć wieszaków i dziesięć klamerek do bielizny,
187

ale tylko wtedy, gdy Marjus tanio jej policzy, no i zaczęli się targować, matka bardzo lubiła się targować, być może cały ten cyrk zrobiła po to, by móc się potargować, od kiedy musieliśmy sprzedawać ubrania ojca i tak mieliśmy mnóstwo pustych wieszaków.

Wtedy poczułem skurcz w żołądku, wiedziałem, że za chwilę cała kasztanowa rolada podejdzie mi do gardła i nie tylko rolada, również paprykarz z kartofli, który jadłem na obiad, wstałem więc i poszedłem do łazienki, zacisnąłem zęby, bo za nic nie chciałem zwymiotować, stanąłem przy kranie, puściłem sobie zimną wodę na kark, w szkole uczyłem się, że to powstrzymuje odruch wymiotny, napiłem się też trochę wody z dłoni, na szczęście pomogło, mdłości szybko minęły, kiedy wróciłem do kuchni, matka miała już za sobą targowanie, Marjus wkładał właśnie na ramiona uprząż z wieszakami, kiedy mnie zobaczył, powiedział, że skoro mam dzisiaj urodziny, to należy mi się prezent, zdjął ze sznurka przymocowanego do upręży drewniany nóż, wcisnął mi w rękę i powiedział, żebym używał na zdrowie, a ja tylko skinąłem głową, nie chciałem dziękować, bo bałem się, że znowu złapią mnie mdłości, potem otworzyłem mu drzwi i zamknąłem za nim.

Było słyhać, jak schodzi z hałasem po schodach, matka spojrzała na mnie i powiedziała, że powinienem się cieszyć z tego, że nie wiem, co znaczy głód, po czym wróciła do dużego pokoju poprawiać klasówki, a ja szybko poszedłem do swego pokoju, stanąłem na łóżku, otworzyłem okno i zobaczyłem, jak Marjus wychodzi z bloku na chodnik, ścisnąłem w garści nóż, zamachnąłem się, chciałem go trafić w głowę, zaraz jednak zrezygnowałem, bo wiedziałem, że i tak mi się nie uda, był już niestety za daleko.

OBFITOŚĆ

Z początku tylko dlatego poszedłem do samoobsługowego, że na drodze prowadzącej do budowy znalazłem wielką mutrę z dwiema masywnymi śrubami, postanowiłem ją więc napełnić łebkami zapalek, bo pamiętałem, jak Zsolt opowiadał, że kiedy z obu stron dokręci się śruby, zawiąże na tym plastikową torebkę i rzuci z czwartego piętra, to eksplodują tak, że nawet asfalt przedziurawią, właśnie dlatego chciałem kupić zapaliki, ze cztery albo pięć paczek, lecz w cukierni, gdzie je wcześniej kupowałem, nie obsługiwali mnie od tego dnia, kiedy wraz z Szabim podłożyliśmy pod wystawę bombę dymną i musieli wyrzucić wszystkie ciastka, bo były niejadalne, miały smak palonego plastiku od kawałków traktorowej dętki i resztek piłeczek pingpongowych, którymi wypełniliśmy bombę, musiałem zatem iść do samoobsługowego, jeśli chciałem kupić zapaliki, tam jednak mogłem kupić, ile chciałem, bo znałem jedną ma-

gazynierkę, ciocię Ani, którą jednak wszyscy nazywali tłuścą Ani, bo była strasznie gruba, naprawdę jak beka, ale ja nigdy nie nazywałem jej w ten sposób, gdyż była znajomą matki, kiedyś dwa dni u nas mieszkała, bo mąż alkoholik wypędził ją z domu, od tamtej pory była bardzo wdzięczna

189
mojej matce i kiedy tylko poprosiłem, zawsze przynosiła mi z magazynu nierozpieczętowane paczki zapalek i aceton potrzebny do dymnej bomby, nawet po cztery-pięć butelek naraz, i nigdy nie pytała, po co mi to, tylko jak się mamusia czuje, tak więc naprawdę warto było pójść aż do samoobsługowego, chociaż był dosyć daleko. Kiedy dotarłem do ulicy Żniwiarzy, nagle ktoś przebiegł koło mnie, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, i wszyscy skręcali w ulicę Mrówkową, tam gdzie znajdował się samoobsługowy, od razu przyszło mi do głowy, że powinienem się pospieszyć, bo pewnie coś rzucili, ale zaraz pomyślałem, że to idiotyzm, co by mieli rzucić, nie miałem przecież ochoty stać w kolejce po margarynę, mąkę czy jajka, ale wtedy znowu ktoś obok mnie przebiegł, nie wytrzymałem więc i zawołałem za nim, czy nie wie przypadkiem, co rzucili, ale nawet się nie zatrzymał, tylko w biegu odkrzyknął, że nic, mimo to przyspieszyłem kroku, biec jednak zacząłem dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, że naprzeciwko mnie idzie wujek Szóverfi z wypchaną plastikową torbą i je banana.

Nigdy przedtem nie widziałem, żeby ktoś tak po prostu na ulicy jadł banana, parę razy co prawda jadłem banana, ale rodzice zawsze zdobywali je gdzieś spod lady i najczęściej były jeszcze zielone, trzeba było długo czekać, aż dojrzeją, raz nawet spróbowałem takiego zielonego, pokroiłem go w plasterki i posypałem cukrem, ale nie był specjalnie smaczny, w dodatku ojciec mnie zbeształ, jak to zobaczył. Już ze trzy lata nie jadłem żadnych południowych owoców, dlatego teraz biegłem co tchu. Już z daleka słychać było krzyki, kiedy dotarłem do rogu, od razu zobaczyłem kolejkę, ciągnęła się aż do połowy ulicy, miała chyba ze czterdzieści metrów, na końcu ludzie stali grupkami, ale

190
przy wejściu do sklepu kolejka się zwężała, bo tylko dwie osoby mieściły się w drzwiach, i właśnie tam, na początku, jakiś robotnik z fabryki wyrobów metalowych szarpał za kołnierz jakiegoś czerwonego na gębie człowieka w ortalionie, krzycząc, żeby sobie nie myślał, że pozwolą mu wejść bez kolejki, znają takich cwaniaków, nie wepchnie się przed porządnymi ludźmi, którzy spokojnie stoją i czekają, na co ten w ortalionie powiedział, że on również tu stał, tylko musiał pobiec do domu po pieniądze i prosił kogoś, żeby mu popilnował kolejki, ale robotnik krzyknął, że nie ma czegoś takiego jak pilnowanie kolejki, jeśli ktoś czegoś potrzebuje, to niech osobiście postoi, jak każdy uczciwy

człowiek, i popchnął tego w ortalionie, aż tamten usiadł na tyłku i cały utyłł się w błocie, a kiedy wstał, robotnik dalej na niego wrzeszczał, żeby się stąd zabierał, żeby stanął na końcu kolejki, wtedy ten w ortalionie powiedział, że nie stanie, i niech się wszyscy udławią tymi bananami i pomarańczami, chociaż wątpi, by mieli tyle szczęścia, stoją i tak na próżno, bo towar zaraz się skończy, i niech zdechną, po czym odwrócił się i odszedł, ale dokąd, tego już nie widziałem, bo zająłem miejsce na końcu kolejki. Ludzie stali tam po czworo, kolejka prawie się nie posuwała, zrobiliśmy jakieś pół kroku do przodu, choć minęło z dziesięć minut, próbowałem spytać stojącą przede mną kobietę, jak długo stoi, ale nie chciała powiedzieć, tylko syknęła na mnie, cicho bądź, wtedy ktoś się odezwał i powiedział, że dosyć długo, że dwie i pół godziny, widzę przecież, jak to wolno idzie, ci, którzy stoją na początku, przy wystawie, mówią, że w środku kolejka jest jeszcze ze trzy razy zakręcona. Nagle z przodu przy drzwiach zrobił się jakiś ruch, jakby ktoś chciał wyjść ze sklepu, choć to

191

przecież było wejście, ludzie nie zamierzali tego kogoś przepuścić, bo nikt nie chciał się cofnąć nawet o krok, zrobił się wielki ścisk, w końcu jednak kolejka jakoś się cofnęła, kobieta stojąca przede mną poleciała do tyłu, o mało więc nie upadłem, ale stojący za mną twardo naciskali, poleciałem więc do przodu, wtedy już był magiel, jak przy wejściu do autobusu, ktoś mnie dźgnął łokciem w bok, natychmiast oddałem, próbowałem się przecisnąć, jednocześnie byłem cały czas mocno popychany z tyłu, nagle kolejka cofnęła się jeszcze głębiej, byłbym upadł na plecy, gdyby mnie nie podtrzymali ci, którzy stali za mną, nawet stojący na samym końcu musieli się cofnąć, bo z przodu przy drzwiach ktoś rzeczywiście usiłował przejść, słychać też było, jak krzyczy, przepuście mnie, cofnijcie się, towarzysze, nie rozumiecie, usuńcie się z drogi, nie widzicie, że coś niosę. Po głosie już ją poznałem, a kiedy roztrąciła kolejkę, zobaczyłem, że to faktycznie ciocia Ani, trzymała przed sobą kilka skrzynek, ustawionych jedna na drugiej, nimi torowała sobie drogę, krzyczała, żeby wszyscy się zamknęli, żeby się cofnęli i wreszcie byli cicho, jak można się tak niekulturalnie zachowywać, proszę się cofnąć, natychmiast, dalej od drzwi, co towarzysze tu wyprawiają, to oburzające, wprost nie sposób tego zrozumieć, niektórzy myślą, że gdzie się znajdują, żeby tak stać po czworo i wrzeszczeć, zamiast grzecznie, w spokoju czekać, aż przyjdzie ich kolej, proszę się cofnąć. Krzyczała i skrzynkami spychała ludzi do tyłu, w końcu wszystkich odsunęła od wejścia, kolejka się rozsypała, ludzie otoczyli cicię Ani, wielu musiało zejść aż na jezdnię, ciocia Ani stała przy wejściu do sklepu i widziałem, że w środku rzeczywiście

jest pełno ludzi, między regałami deptali sobie po piętach
192

zupełnie jak tu na zewnątrz. Ciocia Ani postawiła skrzynki na ziemi i wyjęła z kieszeni fartucha dużą, zardzewiałą kłódkę, szybko zamknęła drzwi, następnie energicznym ruchem chwyciła skobel i założyła kłódkę, potem schyliła się, podniosła skrzynki i znowu zaczęła nimi roztrącać ludzi, warcząc na nich, by ją przepuścili, żeby ją wreszcie przepuścili, bo musi coś załatwić, no i wtedy robotnik z fabryki wyrobów metalowych zastąpił jej drogę, złapał obiema rękami za skrzynki i spytał, jak mogła zamknąć sklep, skoro tylu ludzi tu stoi, a ciocia Ani wrzasnęła na robotnika, żeby natychmiast puścić skrzynki, ślepy czy co, nie widzi, że sklep jest zamknięty, to znaczy nie jest zamknięty, ale nikogo więcej nie wpuszczą, bo towar się skończył, będzie dobrze, jak starczy dla tych, którzy już są w środku, niech więc reszta idzie do domu, jutro będzie nowa dostawa owoców południowych, a jak nie jutro, to pojutrze, najpóźniej w przyszłym tygodniu, warto przyjść wcześniej rano, no, ale o tym to każdy wie. Wszyscy naraz zaczęli krzyczeć i tłum rzucił się do przodu, mnie też pociągnął ze sobą, kiedy mnie tak pchali, poczułem, że mutra wypada mi z kieszeni, zanim zdążyłem ją złapać, potoczyła się gdzieś między nogi, robotnik tymczasem krzyknął, a gdzie sprawiedliwość, wyszarpnął z rąk cioci Ani skrzynki i cisnął nimi o ziemię, aż się rozpadły na kawałki, deski fruwały wokoło, ślizgały się po asfalcie, ludzie dalej nacierali na drzwi, ktoś tak mnie popchnął, że upadłem, obie ręce miałem w błocie, jedna z desek znalazła się dokładnie na linii mojego wzroku, było na niej dużymi, drukowanymi literami napisane cuba, widziałem Ją tylko przez chwilę, potem ktoś kopnął ją dalej, poczołgałem się możliwie szybko przed siebie, a kiedy usiłowałem

193

wstać, żeby mnie nie zdeptali, namacałem śrubę, wtedy jednak ktoś nastąpił mi na łydkę, gdy wyszarpywałem nogę, mutra znowu wypadła mi z ręki, ale już się po nią nie czołgałem, wystraszyłem się, bo przypomniałem sobie, jak Jancsi opowiadał, że kiedyś na stadionie tłum zdeptał człowieka. W końcu udało mi się wstać, szarżując bokiem, próbowałem się przebić tam, gdzie potoczyła się śruba, od chodnika w stronę środka jezdni, ktoś uderzył mnie kolaniem w udo, omal znowu nie upadłem, jakoś się jednak wydostałem, wtedy już wszyscy wokół mnie wrzeszczeli, schyliłem się i podniosłem śrubę, była zabłocona, wytarłem ją o spodnie. Ludzie się kotłowali, trwała bijatyka, nie wróciłem więc do kolejki, tylko przyglądałem się z boku. Nigdzie nie widziałem ani robotnika, ani cioci Ani, wszyscy napierali na drzwi, zaczęli je szarpać, kłódka z hukiem waliła o futrynę i wtedy zobaczyłem, że jakiś inny robotnik

przedarł się przez tłum, krzycząc, to nie tak, on pokaże, jak trzeba się do tego zabrać, po czym schylił się, złapał za kratkę studzienki ściekowej znajdującej się na skraju chodnika, podniósł i nad głowami ludzi rzucił w największą szybę wystawową. Wielka tafła szkła pękła i rozsypała się na kawałki, ułożone w piramidę konserwy z rybami w pomidorach i w oleju potoczyły się po podłodze, zaczęła się kotłowanina, słyszałem, jak ktoś woła, że się pali, tymczasem poszły dwie inne szyby wystawowe, widziałem, jak dwóch robotników z fabryki wyrobów metalowych chwyciło drzwi wejściowe od dołu za kątownik, wyjęło z zawiasów, podniosło, rozhuštało i rzuciło, drzwi upadły tuż obok mnie na jezdnię, z ich szerokiej, pomalowanej na niebiesko żelaznej ramy posypały się na asfalt odłamki szkła, na końcu urwanego skobla wciąż wisiała zardzewiała kłódka-

194

Wiedziałem, że lepiej tu nie stać, przypomniałem sobie, jak matka mnie prosiła, żebym się w nic nie mieszał, mimo to zostałem i przyglądałem się, stanąłem tylko trochę dalej, tłum wciąż napierał na sklep, niektórzy z rozpędu wskakiwali przez okno, w środku poprzewracały się półki, ludzie zaczęli na zewnątrz wyrzucać konserwy i słoiki z dżemem, słyszałem, jak ktoś wzywa pomocy, jakiś kobiecy głos ciągle wołał, że sklep się pali, wtedy obok mnie ktoś się odezwał, jakaś starsza pani bardzo głośno zauważyła, że nie ma się co pchać z tej strony, trzeba od tyłu, wtedy się okaże, co personel tam pochował, jak tylko to powiedziała, duża grupa ludzi puściła się pędem na zaplecze sklepu, lecz zanim tam dotarli, ktoś już zdążył od środka wyważyć drzwi magazynu, był to robotnik z fabryki wyrobów metalowych, wyszedł i zawołał, proszę, zobaczcie tylko, co tu zachomikowali, no proszę, miał zarzuty na ramię duży worek, który następnie postawił na asfalcie, krzycząc, że to cały worek kawy jak pragnie zdrowia, cały worek prawdziwej, niepalonej kawy i że w tym magazynie jest wszystko, naprawdę wszystko, ten magazyn to róg obfitości, jest tu pełno czekolady, pomarańczy, prasowanych fig i daktyli, stoją całe skrzynki greckiego soku cytrynowego, wszystko tu jest, rozumiecie, wszystko. I rzeczywiście, ludzie jeden przez drugiego wbiegali do magazynu, każdy coś wynosił, torbami i skrzynkami, nawet pomarańcze w czerwonych nylonowych siatkach, również z wnętrza sklepu ludzie przeciskali się do wyjścia, widziałem, jak cała framuga okienna wypadła ze ściany, jakaś wysoka, chuda kobieta torowała sobie drogę, trzymając w jednej ręce sklepową półkę, a w drugiej pod pachą spory słoik zielonych oliwek, zresztą już wtedy ludzie usiłowali

195

sobie nawzajem wyrwać to, co nieśli, dwie starsze panie szarpały, każda do siebie, zapakowaną w nylonową siatkę

wielką kiść bananów, obie szczyrzyły przy tym zęby, w końcu rozerwały kiść, a wówczas piękny, duży banan upadł tuż przy mnie, schyliłem się i podniosłem go, był bardzo zimny, jakby przed chwilą wyjęty z lodówki, wziąłem go i schowałem za podkoszulką, widziałem, jak jakiś człowiek próbuje na powrót upchnąć w pękniętym kartonie duże tabliczki szwajcarskiej czekolady, ruszyłem, żeby sobie wziąć chociaż jedną, kiedy nagle ktoś zaczął krzyczeć, gdzie jest personel, gdzie się pochowali, muszą dostać za swoje, wtedy zauważyłem, że ciocia Ani leży na ziemi obok wejścia do sklepu. Musiała zemdleć, bo właśnie wracała do siebie i próbowała usiąść, kiedy dostrzegła ją jakaś chuda, ruda kobieta, wskazała palcem i krzyknęła, tam jest ta tłusta, bezczelna kurwa, tam jest, wtedy dwóch ludzi podbiegło i zaczęło ją szarpać, pojawił się również robotnik z fabryki wyrobów metalowych, trzymał nawinięty na drucianą tarczę wąż, jakie zwykle wiszą w sklepach obok gaśnicy, sikawka była już do połowy odwinięta, robotnik zrobił na końcu pętlę i założył ją cioci Ani na szyję, wtedy ciocia Ani zaczęła ochryplym głosem krzyczeć, żeby ją puścili, ona jest niewinna, nic nie zrobiła, niech już ją puszcza, czego od niej chcą, no i wtedy od strony ulicy Długiej, zza mostu, rozległo się bardzo głośne wycie syren, słychać było, jak się zbliżają, ktoś zaczął wołać, uciekajmy, bo zaraz tu będzie milicja, a razem z nią służba bezpieczeństwa, i wszystko nam odbiorą, wtedy tłum ruszył, popchnęli mnie, omal nie upadłem, ktoś jednak chwycił mnie za ramię i pociągnął, wszyscy biegli z powrotem w kierunku ulicy Żniwiarzy, usłyszałem jeszcze, jak ciocia Ani krzyczy, na pomoc, 196

zostawcie mnie, nie, nie róbcie tego, wkrótce jednak syreny ją zagłuszyły, wołałem się zresztą nie oglądać, pędziłem do domu tak, że słyszałem tylko, jak krew pulsuje mi w skroniach, i czułem, że banan, którego schowałem za pazuchą, wyslizguje mi się powoli, sięgnąłem więc i przytrzymałem go przez materiał, przycisnąłem do brzucha i biegłem dalej.

KINO

Trzy z czterech śrub wyszły gładko, czwarta za Boga nie chciała drgnąć, na próżno usiłowałem ją odkręcić kluczem francuskim ojca Feriego, naciskałem z całej siły i nic, przerywałem, nabierałem powietrza i znowu zakładałem klucz, lecz tylko ześlizgiwał się z nakrętki, wtedy usłyszałem, jak Feri mówi szeptem, co się tak, do chuja swego starego, z tym pieprze, skoro w każdej chwili mogą włączyć prąd i będzie po nas, jakbym sam nie wiedział, że ten szyb wentylacyjny pod ekranem sięga w ścianę tylko na pół metra, kiedy więc tak leżymy na brzuchu, obaj wystajemy z niego do pasa, gdyby zapalili światło, to cała szkoła by zobaczyła, jak nam tyłki sterczą z tego otworu, szepnąłem więc, żeby odczepił

się od mojego ojca, a mnie pocałował w dupę, i kopnąłem na oślep, trafiłem go, jak sądzę, kolanem prosto w bok, bo słyszałem, że zaczął przeklinać, mocowałem się dalej z tym kluczem, drugą ręką szarpałem za kratę, nie chciała jednak puścić, podobnie jak nakrętka, choć ta chyba zgrzytnęła-tymczasem było słyhać, jak z tyłu na widowni wszyscy wrzeszczą, tupią i gwiżdżą, a towarzysz dyrektor, stojąc gdzieś przed rzędami krzeseł, bardzo blisko nas, krzyczy na całe gardło, żeby każdy został na swoim miejscu, bo

198
póki jest ciemno, będziemy śpiewali pieśni patriotyczne, aż usuną awarię, i niech nikt nie śmie niczym rzucać, bo będzie z tego wielka awantura, i przyjmijmy do wiadomości, że za parę minut prąd znowu popłynie i projekcja zostanie wznowiona, a jeśli kogoś nie będzie na miejscu, kiedy włączą światło, to każe go wbić na pal na szkolnym dziedzińcu i osobiście wyrwie mu serce, bo już najwyższa pora, żeby ta banda niechlujów i blagierów nauczyła się raz na zawsze, co znaczy dyscyplina, wiedziałem, że towarzysz dyrektor chodzi tam i z powrotem i omiata widownię swoją latarką na osiem baterii, wolałem jednak nie myśleć o tym, co by było, gdyby przypadkiem poświecił pod ekran, na szyb wentylacyjny, albo potknął się o nasze wyciągnięte nogi, znowu szarpałem kluczem francuskim, nakrętka i tym razem nie puściła, szepnąłem więc do Feriego, że to był jednak idiotyzm włączyć tutaj, wracajmy na miejsce, bo ten szyb wentylacyjny prowadzi donikąd, nie ma tu nigdzie tajnej sali projekcyjnej, zostawmy to w cholere, lecz Feri tylko szturchnął mnie łokciem w bok i powiedział, żebym wracał, jak chcę, on się nie podda, zostanie tu, bo musi zobaczyć te zakazane taśmy filmowe, i żebym wreszcie coś zrobił z tym kluczem, bo rzeczywiście włączą zaraz prąd, żebym się tak nie pieprzył, chciałem wtedy powiedzieć, że wcale się nie pieprzę, i niech idzie w cholere, lecz dałem spokój, za to zacząłem dociskać jeszcze mocniej, zaparłem się łokciem o ścianę i pociągnąłem, wtedy nakrętka odpadła, tak nagle, że omal nie upuściłem klucza francuskiego, Feri szepnął, w porządku, to teraz zdejmujemy kratę, tylko ostrożnie, bo tu jest bardzo mało miejsca, na co szeptem odpowiedziałem, żeby wymyślił coś takiego, czego sam bym nie wiedział, i potrząsnąłem kratą,

199
wreszcie dała się zdjąć z żelaznej ramy, w której tkwiła, chwyciliśmy ją z Ferim z dwóch stron, lecz w żaden sposób nie mogliśmy jej obrócić, była za duża, musieliśmy się więc niemal zupełnie wycofać, tylko w ten sposób mogliśmy ją położyć, tymczasem do dyrektora dołączył nauczyciel śpiewu, stanął na szczęście trochę dalej, nie zauważył więc, jak się wyczołgaliśmy z kratą, a kiedy wsuwaliśmy ją do szybu, usłyszałem, jak nauczyciel śpiewu mówi cicho

do dyrektora, że skoro towarzysz dyrektor naprawdę życzy sobie śpiewania, to niech będzie tak uprzejmy i poświęci na niego, żeby dzieci widziały, jak nimi dyryguje, ale towarzysz dyrektor nic na to nie powiedział, tylko zaklął pod nosem, bo właśnie dostał od kogoś kredą w głowę, wróciliśmy do szybu, precyzyjnie się przez otwór po kracie i zaczęliśmy się czołgać wąskim tunelem w kierunku tajnej sali projekcyjnej. Feri czołgał się pierwszy, z początku jeszcze słyszałem, jak sapie i uderza to kolaniem, to czubkiem buta o ścianę szybu, ale potem musiał wysforować się daleko do przodu, bo już go nie słyszałem, tylko z sali kinowej dobiegały mnie odgłosy bębnienia i tupania. Tymczasem szyb robił się coraz węższy, czułem, jak szoruję ramionami po ścianach, pomyślałem, że zaraz się zaklinuję, jak wtedy, gdy wczołgałem się do betonowej rury po skórzaną piłkę Prodanów, i faktycznie, wkrótce poczułem, jak plecami ocieram się o sklepienie szybu, wiedziałem, że teraz nawet gdybym chciał, nie mógłbym zawrócić, przeciskałem się więc dalej, cały czas żałując, że wygrałem dzisiaj rano ten zakład. Założyliśmy się z Ferim zaraz po tym, jak towarzysz dyrektor wszedł do klasy i oznajmił, że nie będzie pierwszych trzech lekcji, bo cała szkoła idzie do kina na film dokumentalny o planie 200

pięcioletnim pod tytułem Kraj się buduje, Feri zaproponował, byśmy się założyli o to, czy w czasie projekcji wyłączą prąd, czy też nie wyłączą, sam twierdził, że nie, bo to byłby sabotaż, wyłączyć prąd podczas takiego filmu, ja jednak twierdziłem, że sabotaż byłby wtedy, gdyby nie wyłączyli, bo energią elektryczną trzeba gospodarować bardzo odpowiedzialnie, a produkcja przemysłowa jest ważniejsza niż filmy, nawet patriotyczne, Feri powiedział więc, no to się załóżmy, obiecałem mu, że jeśli on wygra, dam mu swoją procę z prawdziwą białą gumą, on zaś obiecał, że jeśli przegra, pokaże mi, gdzie jest wejście do tajnej sali projekcyjnej, o której opowiadał mu dziadek, trzymają tam taśmy z zakazanymi filmami, które nigdy nie trafiły do normalnego kina, są tam wszystkie filmy, o których tylko słyszeliśmy, nigdy jednak nie mogliśmy ich obejrzeć, wszystkie sześć części Człowieka pająka, wszystkie filmy z Tarzanem i Zorro, i jeszcze mnóstwo filmów kowbojskich, i o Indianach. Podaliśmy sobie ręce i poprosiliśmy Janikę, żeby przeciął zakład, choć nie zdradziliśmy mu, o co się zakładamy, wtedy Feri powiedział, że jeśli faktycznie wyłączą światło, to w ciemności możemy spróbować dostać się do tej sali projekcyjnej, przez przypadek ma akurat przy sobie jeden z kluczy francuskich swego ojca, wziął go w razie, gdyby miał się bić, ale i teraz się przyda, do odkręcenia kraty będzie jak znalazł. Od razu spytałem, jakiej kraty, ale Feri nie odpowiedział, odparł tylko, że

dowiem się później, jak wyłączą prąd, a tymczasem lepiej zrobię, jak pożegnanię się ze swoją procą, bo coś mu się zdaje, że popołudniu to będzie już jego proca.

Kino Płomień Rewolucji, do którego poszliśmy, było największym kinem w mieście, przedtem często tam
201

chodziłem, ale już z rok nie byłem, bo gospodarka kraju przeżywała problemy, zwłaszcza przemysł energetyczny, i nigdy nie można było przewidzieć, kiedy wyłączą prąd, a jak wyłączali, to trzeba było siedzieć po ciemku, bo w żadnym kinie nie działały już generatory, ponieważ prawie wszędzie dawno rozkradli zapasy oleju napędowego, trzeba więc było długo czekać w ciemnościach czarnych jak smoła, aż ponownie włączą prąd albo zjawią się milicjanci lub strażacy, by nas wypuścić, nie bardzo to lubiłem, wolałem już w ogóle nie chodzić do kina. Inna sprawa, że odkąd zabrali ojca, nie miałem za dużo pieniędzy, choć i bez pieniędzy można się było przeszwarcować, należało tylko wiedzieć, jak się rozepchnąć i gdzie stanąć w tłumie, wcześniej wiele razy tak się szwarcowałem, na przykład jak nie dostałem biletu na Kolosa z Rodos, Człowieka pająka, Szeryfa z przestrzeni kosmicznej czy na Herkules podbija Atlantyde, ale na filmy, które grali ostatnio, nawet szwarcować się nie było warto, bo były to same wznowienia marnych filmów partyzanckich i wojennych, takich jak Siódmy towarzysz, Od stóp do głów w zbroi czy Długa zima w mieście 1945.

Zwykle siadaliśmy z tyłu, najdalej jak się dało, w ostatnim albo przedostatnim rzędzie, teraz jednak Feri powiedział, żeby usiąść z przodu, z samego brzegu, byśmy nie musieli za długo wędrować w ciemnościach, tak na wszelki wypadek, gdybym to jednak ja miał rację i gdyby wyłączyli prąd, usiedliśmy więc w czwartym rzędzie, wciągnęliśmy głowę w ramiona, żeby nie dostać z tyłu kredą czy ugniecioną na ślinę kulka papieru. Nim zaczął się film, towarzysz dyrektor wyszedł na środek, stanął przed ekranem, dał znak ręką, żeby wszyscy powstali, następnie odśpiewaliśmy hymn, a kiedy skończyliśmy, też nie mogliśmy usiąść, tylko
202

musieliśmy czekać, aż towarzysz dyrektor wygłosi mowę o tym, jakie znaczenie ma taki seans filmowy i w ogóle że kino to jedno z największych osiągnięć technicznych naszej postępowej epoki, a kiedy skończył, wezwał nas do zachowania dyscypliny i do skupienia, potem życzył nam dobrej zabawy.

Film na początku był głównie o kombinatach i łańcach pszenicy, pokazywali traktory, jak orzą, i kombajny, jak zbierają zboże, potem wielką budowę linii kolejowej, która przetnie góry, następnie metro budowane w stolicy, jakiś towarzysz w okularach pokazywał na planie miasta, gdzie będą wejścia, pokazywali też, jak drążą tunel głęboko pod

ziemią, ogromna obrotowa tarcza wgrzyzała się w ziemię, w ślad za nią robotnicy betonowali ściany, kamera zrobiła zbliżenie na tarczę, na sam środek, i wtedy zapadła ciemność, wszyscy zaczęli gwizdać i krzyczeć, Feri powiedział, że wygrałem, i niech to diabli, zacznijmy się wobec tego czołgać, tylko szybko, mam go chwycić za kostkę, bo w tych ciemnościach nie będę widział, którądy idzie, powiedziałem, poczekajmy, możliwe, że to tylko taśma się urwała, ale Feri stwierdził, że gdyby urwała się taśma, to paliłoby się chociaż światełko nad wyjściem i nie byłoby aż tak ciemno, faktycznie miał rację, zaczęliśmy się więc czołgać wzdłuż rzędów do przodu, po podłodze cuchnącej naftą, za plecami dyrektora, aż do centralnego punktu ekranu, następnie Feri wlaź do szybu wentylacyjnego, którego wylot znajdował się między ekranem a podłogą, i syknął do mnie, żebym się nie guzdrał i też wchodził, a kiedy już leżałem obok niego, szepnął, że zaraz wyjmie klucz francuski, bo trzeba już tylko odkręcić kratę zabezpieczającą przed szczurami, i będziemy na miejscu.

203

Szyb zrobił się tak wąski, że nie mogłem się ruszyć, chciałem zawołać Feriego, by wrócił i mi pomógł, ale ciemność przygniotła mi płuca, w ogóle nie miałem powietrza, wtedy przyszło mi do głowy to, co mówiła matka, kiedy strażacy wyciągnęli mnie z betonowej rury i nocami czułem lęk, że się uduszę pod kołdrą, a więc matka mówiła, że nie wolno o tym myśleć, trzeba sobie wyobrazić, że człowiek stoi na szczycie góry i przez nos oraz usta wciąga czyste górskie powietrze, próbowałem to sobie teraz wyobrazić, lecz na próżno zamykałem oczy, widziałem tylko ciemność, pomyślałem, że jeśli zaklinuję się w tym korytarzu, to nikt mnie nigdy nie znajdzie, zginę tu, zostanę na wieki, i tak się tego przestraszyłem, że jakoś jednak udało mi się ruszyć, co prawda mur nawet przez szkolne ubranie otarł mi skórę na ramieniu, kiedy się obracałem na bok, ale nie przejmowałem się tym, tylko pełzłem dalej, szło to bardzo wolno, czułem jednak, że się posuwam, wtedy nagle usłyszałem, jak Feri mówi gdzieś przede mną, żebym się pospieszył, bo jest jeszcze jedna kratka, którą trzeba zdjąć, i żebym się nie bał, bo szyb zaraz będzie szerszy, i rzeczywiście, podczołgałem się jeszcze trochę i mogłem już stanąć na czworakach, nawet nie musiałem się długo czołgać, po chwili byłem obok Feriego, który powiedział, że szyb się tutaj kończy, a kratę mamy tuż nad głową, jak sięgnę, to poczuje, on już ją obmacał i wydaje mu się, że nie jest przykręcona, sporo wprawdzie waży, ale we dwóch mamy jakoś radę, spróbujmy ją podnieść, chwyciliśmy więc z obu stron i jednocześnie na nią naparliśmy, kratka z początku ani drgnęła, potem jednak dała się unieść, wtedy powiedziałem do Feriego, byśmy

jej nie puszczali, bo bardzo głośno trzaśnie, tylko raczej
204

odsunęli, ale ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, Feri powiedział, że dobrze i że nie trzeba całkiem, wystarczy tyle, byśmy się zmieścili.

Wylazłem pierwszy, było ciemno, świeciło się tylko jakieś blade, czerwone światełko, kiedy ruszyłem w tamtą stronę, potknąłem się o kratę, z echa można się było zorientować, że to całkiem spora sala, tymczasem Feri też się wygramolił, słyszałem, że idzie za mną, a kiedy znalazł się tuż obok, szepnął, że nie przypuszczał, że aż tutaj dotrzemy, bo na dobrą sprawę nie wierzył, że tajna sala projekcyjna w ogóle istnieje, myślał, że to tylko taka bajka, jak ta o tunelu, który z zamku prowadzi pod miastem aż do lasu i kopalni gliny, kazałem mu być cicho, a jeśli już koniecznie chce coś powiedzieć, to niech mówi szeptem, nie krzyczy, wtedy Feri szepnął, że wcale nie krzyczy, tymczasem dotarliśmy do czerwonego światełka, był to czerwony, prostokątny przycisk, świecił się pośrodku dużej tablicy rozdzielczej pełnej guzików, na przycisku czarnymi literami było napisane - rezerwowany generator, używać tylko w uzasadnionych wypadkach, i wtedy Feri powiedział, że to jest jego zdaniem uzasadniony wypadek, i zanim zdążyłem go złapać za rękę, sięgnął i nacisnął.

Czerwone światełko natychmiast zgasło, zrobiło się zupełnie ciemno, tak się wystraszyłem, że nie mogłem złapać tchu, Feri też chyba omal nie narobił w gacie, bo nawet nie przeklinał, tylko stał nieruchomo w ciemności. Upłynęła z minuta, potem usłyszeliśmy, jak gdzieś daleko coś zadudniło, najpierw było to jakieś głębokie bulgotanie, nawet podłoga zadrżała, potem dźwięk zrobił się wyższy i cichszy, w końcu przeszedł w świst, taki był wysoki, wtedy rozległ się trzask i w sali zapaliły się światła.

205

Spojrzałem na Feriego i zobaczyłem, że też mruży oczy, obaj westchnęliśmy, powiedziałem mu, że jest kompletnym idiotą, na co tylko wzruszył ramionami i odwrócił się, wtedy rozejrzałem się po sali i usłyszałem, jak Feri gwizdnął na widok tego, co zobaczyliśmy, sam o mało nie gwizdnałem. Staliśmy w dużej, porządnej sali kinowej, w której jednak nie było krzeseł tylko wielkie skórzane fotele, dwa stały pośrodku obok siebie, a za nimi z obu stron półkolem jeszcze z dziesięć, całą ścianę naprzeciwko foteli zasłaniała szeroka, czerwona kurtyna. Na małej szafce za dwoma fotelami stał projektor, Feri ruszył w tamtą stronę i powiedział, żeby też podszedł i zobaczył, bo to niesamowite, nawet szpula z filmem jest założona, podszedłem, Feri tymczasem zdążył otworzyć szafkę, zobaczyłem więc, że jest pełna płaskich, okrągłych, metalowych pudełek, Feri powiedział, no to złapaliśmy Pana Boga za nogi, bo

tu naprawdę znajdują się wszystkie tajne i zakazane filmy, żebym jednak uważał, bo te szpule z filmami są bardzo ciężkie, musimy je wziąć we dwóch, i żebym sam nie próbował żadnej wyjmować, uspokoilem go, że nie będę, wtedy powiedział, w porządku, jemu to jednak mógłbym pomóc, na początek ostrożnie zdejmijmy tę z wierzchu, ale powiedziałem, że mu nie pomogę, bo nie chcę, byśmy zdejmowali te szpule, i że już nawet nie jestem ciekaw tych filmów, lepiej wracajmy, bo jak nas tutaj ktoś przyłapie, to koniec, takie tajne miejsca zaliczają się do obiektów wojskowych, a więc wchodzenie do nich to z pewnością zdrada ojczyzny, ale Feri tylko się uśmieł i powiedział, że nic się nam nie stanie, niepotrzebnie cały się trzęsę, skoro już tutaj jesteśmy, to głupio byłoby nie zajrzeć do tych filmów, niech pomyślę, jak fajnie będzie opowiedzieć chłopakom.

206
co się dzieje w drugiej części Zorro, odparłem tylko, że wszystko mi jedno, wracajmy, bo nie chcę wpakować się w jakieś kłopoty, wtedy Feri spytał, czy naprawdę mam aż takiego pietra, że nie interesuje mnie, jakie filmy się tu znajdują, sprawdzmy chociaż tytuły, żebyśmy mieli co opowiadać, powiedziałem jednak, żeby dał już spokój z tym opowiadaniem, przecież i tak nie możemy puścić pary z gęby, jeśli nie chcemy, żeby na nas donieśli, ale Feri wysunął już jedną ze szpul i poprosił, żebym mu pomógł, bo zaraz upuści ją sobie na nogę, powiedziałem, żeby się nie wygłupiał, bo chyba nie jest aż taka ciężka, chwyciłem jednak z drugiej strony i razem położyliśmy ją na fotelu, zaczęliśmy ją obracać, bo Feri powiedział, że zwykle pod spodem albo z boku jest napisane, jaki to film i która szpula, bo większość filmów znajduje się na kilku szpulach, ale na tej nic nie było napisane, wzięliśmy więc następną, ale na niej też nie było żadnego napisu, potem sprawdziliśmy jeszcze ze trzy i na jednej znaleźliśmy ślad po nalepce, zachował się tylko koniec z liczbą osiemdziesiąt cztery, Feri powiedział, że to chyba niemożliwe, bo żaden film nie jest taki długi, by składał się z osiemdziesięciu czterech szpul, na co znowu powiedziałem, że wszystko mi jedno, wracajmy, bo jak włączą prąd, to utkniemy tu na zawsze, i wtedy Feri powiedział, dobrze, zaraz pójdziemy, ale najpierw obejrzymy, co jest w projektorze, po czym zaczął ręką obracać dolną szpulę, taśma filmowa wolno przesuwała się z górnej na dolną i kiedy się nachyliłem, zobaczyłem, że obrazy się ruszają, można było normalnie oglądać film, nie dało się tylko przeczytać tytułu, nazwiska reżysera ani pozostałych napisów, bo były odwrócone, jak w lustrze, no i się ruszały, ale potem ukazał się pusty pokój,

207
powoli otworzyły się drzwi i weszła do niego kobieta, spacerowała się wokół, usiadła na łóżku, potem wstała, po-

deszła do fotela, usiadła, wstała, podeszła do okna, otworzyła je, potem wzięła ze stolika gazetę i zaczęła się nią wachlować, jakby jej było bardzo gorąco, Feri zapytał, co jest na filmie, powiedziałem, że nic, same nudy, jakaś kobieta chodzi w tę i z powrotem po dużym pokoju, spytał, czy jest sama, na co powiedziałem, że tak, Feri pochylił się nad filmem i w tej pozycji obracał dalej szpulę, tymczasem kobieta zdjęła żakiet od kostiumu, potem spódnice, stała w bluzce, w halce i w butach na wysokich obcasach, ale ciągle było jej gorąco, bo nadal wachlowała się gazetą, w końcu zdjęła bluzkę, widać wachlarz nie pomógł, wtedy Feri się odezwał i spytał, dlaczego powiedziałem, że to jest nudne, skoro to bardzo ciekawe, to na pewno taki film, w którym będą całkiem gołe kobiety i mężczyźni, słyszał o takich filmach, jak przewiniemy jeszcze kawałek, to zobaczymy, że ta kobieta zupełnie się rozbierze, zdejmie nawet stanik i majtki, nachyliliśmy się więc jeszcze bliżej i dalej przewijaliśmy taśmę, kobieta rzeczywiście zdjęła halkę, została w samych pończochach, majtkach i staniku, chociaż te jej pończochy to wcale nie były prawdziwe pończochy, sięgały zaledwie do połowy ud, trzymały się na jakichś wstążkach, które były przytwierdzone do paska w tałii, zupełnie jak skórzane ochraniacze na łydki u Indian, wtedy Feri coraz szybciej zaczął przewijać taśmę, ruchy kobiety nabrały więc tempa, stały się zamaszyste, za nic jednak nie chciała zdjąć pończoch, tylko przechadzała się po pokoju, raz upuściła gazetę, schyliła się po nią, potem zapaliła papierosa i długo paliła, widać było jej twarz w zbliżeniu, miała bardzo uszminkowane usta, nagle w sali

208

zamrugały światła, powiedziałem do Feriego, uważajmy, psuje się generator, spojrziałem na tablicę rozdzielczą i zobaczyłem, że faktycznie pośrodku pali się na czerwono ten duży przycisk, powiedziałem więc, byśmy natychmiast zostawili to i wracali, bo będą kłopoty, generator całkiem stanie albo włączą prąd, Feri powiedział, dobrze, choć wcale nie zwracał uwagi na to, co mówiłem, dalej przewijał film, powiedziałem znowu, chodźmy już, bo czerwone światełko mrugało coraz szybciej, ale Feri nakazał mi, że bym był cicho, bo kobieta właśnie rozpina stanik, i że bym popatrzył, czegoś takiego na pewno nie widziałem, powiedziałem, że mnie to nie interesuje, chociaż bardzo mnie interesowało, wciąż jednak widziałem to mrugające czerwone światełko, potrafiłem myśleć tylko o tym, co będzie, jak nas złapią, na pewno trafimy do poprawczaka, znowu więc powiedziałem do Feriego, błagam, chodźmy, ale on już wtedy ręką ciągnął film, powiedział, że nic go nie obchodzi, chce się wreszcie dowiedzieć, co kobieta ma pod majtkami, zobaczyłem, jak sięga do kieszeni i wyjmuje brzytwę, spytałem, czy oszalał, co chce zrobić, odpowie-

dział, że kobieta zaraz się rozbierze i niech się dzieje, co chce, on sobie utnie te parę metrów taśmy, powiedziałem, żeby tego nie robił, nie możemy zostawić po sobie śladów, ale Feri otworzył już brzytwę i byłby uciął kawałek taśmy, gdybym go nie złapał za rękę, spytałem, co jest, życie mu niemiłe, chce trafić do poprawczaka? Powiedział tylko, że bym go zostawił w spokoju, i odepchnął mnie, lecz nawet wówczas nie puściłem jego ręki, tylko mu oddałem, mówiąc przy tym, że tak czy inaczej ja wracam, nie chcę, żeby mnie złapali, ale Feri znowu mnie popchnął, tylko znacznie silniej, aż uderzyłem o fotel, ten, który miał w poręczy

209
włączniki, jeden z nich musiałem przycisnąć, bo poczułem, jak brzęknął, wtedy zaczął szumieć jakiś silnik i wielka, czerwona kurtyna na ścianie przed nami powoli się rozsunała, Feri krzyknął, co za idiota ze mnie, jak mogłem zrobić coś takiego, powiedziałem, że sam jest idiotą, to wszystko jego wina, jednocześnie usiłowałem wstać, nacisnąłem przy tym jakiś inny guzik i wtedy światła w sali zgasły, włączył się za to projektor i szpule z filmem zaczęły się obracać, na ekranie pojawił się obraz, nieostry wprawdzie, lecz i tak było widać, jak kobieta pochyla się i zdejmuje stanik, obserwowałem, to już biegnąc, bo pędziłem w kierunku szybu, Feri za mną, tymczasem kobieta zrzuciła stanik i było widać obie piersi i sutki, kamera najeżdżała tak blisko, że wypełniły cały ekran, potem kobieta usiadła w fotelu, oparła się i wysoko podniosła wyprostowaną nogę, zaczęła zdejmować majtki, chociaż wciąż miała na sobie pończochy, staliśmy z Ferim przy wejściu do szybu, wiedziałem, że powinniśmy już zacząć się czołgać, ale się nie wczołgałem, Feri też nie, staliśmy tylko i patrzyliśmy, jak kobieta powoli, bardzo powoli ściąga z pupy majtki, kamera najeżdża na jej rękę, pokazuje czarne, zwinięte figi, następnie przesuwa się w dół i sięga między uda, całkiem z bliska, nagle kobieta w fotelu szeroko rozkłada nogi i w tym momencie zgasł generator, zapadła ciemność, słychać było tylko, jak jedna ze szpul na projektorze wciąż jeszcze się kręci, obaj z Ferim rzuciliśmy się do wyjścia, jednocześnie wskoczyliśmy do szybu i zaczęliśmy się czołgać w kierunku kanału wentylacyjnego, przypominało to zapasy, każdy z nas pierwszy chciał się wczołgać do tunelu, Feri chwycił mnie za rękę i szarpał w tył, mówiąc, że bym go przepuścił, ale nie przepuściłem,

210
tylko podciągnąłem kolano i trafiłem go tym kolanem prosto w brzuch, puścił mnie, po chwili więc byłem już w kanale wentylacyjnym i pełzłem przed siebie, słyszałem, jak Feri posuwa się w ślad za mną, szyb znowu się zwęził, już się jednak nie bałem, tylko na boku przeciskałem z całej siły, nie przejmowałem się tym, że zdieram sobie skórę

z dłoni, tylko parłem naprzód, nagle usłyszałem, jak w sali kinowej cała szkoła głośno śpiewa o bohaterskich górnikach, którzy wciąż głębiej i głębiej drażą kilofem ścianę, wtedy zwolniłem tempo, wiedziałem, że nie włączyli jeszcze prądu i że jeśli starczy nam sprytu, to zanim pieśń się skończy, dotrzemy na swoje miejsce i razem z innymi będziemy śpiewać, jakbyśmy w ogóle nie wychodzili.

UKŁAD

Już pod koniec dużej przerwy wiedziałem, że będą kłopoty, bo nim rozległ się dzwonek, wygrałem od Łupu i jego bandy wszystkie pieniądze, właściwie nie chciałem z nimi grać, wiedziałem, że oszukują, rzucają wyklepaną monetą, nigdy się więc nie odbija, gdy wpada do dziury, tak było i tym razem, ale kiedy zagraliśmy w orła i reszkę, cały czas wygrywałem, szczęście przynosił mi biały król z kości słoniowej, którego wyniosłem od ambasadora i trzymałem w wewnętrznej kieszeni swojej szkolnej kurtki, ile razy rzucaliśmy, zawsze wychodziło na moje, pod koniec zacząłem się już bać, próbowałem mówić dokładnie na odwrót, niż pomyślałem, orzeł zamiast reszki, reszka zamiast orła, wciąż jednak wygrywałem, pozwoliłem nawet, żeby Zolika rzucał za mnie, ale i to nie pomogło, wygrywałem i wygrywałem, w końcu Łupu zegnał się krzyżem i pluł na monetę, rzucał tak wysoko, że nim upadła, zdążył się trzy razy obrócić wokół własnej osi, modlił się nawet do Tudora Vladimiresku, żeby mu przyniósł szczęście, lecz na próżno, bo i tak wygrywałem, pod koniec dużej przerwy patrzyli już na mnie w taki sposób, że najchętniej nie wzięłbym tych pieniędzy, ale oddać też nie miałem odwagi, bo tym

212

samym przyznałbym, że oszukiwałem, choć to wcale nie ja oszukiwałem tylko oni. Bałem się, że kieszeń mi się urwie, kiedy wsypałem do niej te drobniaki, wygrałem tyle, że aż nie śmiałem policzyć, było tego chyba ze dwie dziesiątki, kiedy szedłem po schodach do klasy, wiedziałem, że mi się nie upiecze, w drodze do domu na pewno spróbują mnie dopaść.

Poszedłem okrężną drogą, w stronę źródelka, potem wzgórzem, ścieżką za blokami. Przy dawnym boisku zszedłem ze ścieżki, nie chciałem przechodzić obok rowów pod rury kanalizacyjne, za żadne skarby nie chciałem spotkać robotnika nazywanego Kilofem, bo jak mnie kiedyś inni robotnicy zmusili tu do dobrowolnej pracy społecznej, to dla żartu okłamali mnie, że jest moim ojcem i tylko dlatego nie poznaję go od razu, że ma twarz kompletnie zmienioną przez czarną ospę, i ja niemal im uwierzyłem, bo bardzo czekałem na swego ojca, na jego powrót z obozu pracy nad Kanałem, od tamtej pory ów Kilof wiele razy prosił, bym go odwiedził. W miejscu, gdzie kończyły się rowy, zbudował sobie coś w rodzaju domu, pilnował rur i narzędzi, czekał

na powrót reszty robotników i na wznowienie budowy, na próżno jednak zapraszał mnie przez różnych ludzi, nie chciałem go więcej widzieć, bo i tak ciągle myślałem o jego twarzy zmasakrowanej śladami po ospie i o tym, że na chwilę naprawdę uwierzyłem, że jest moim ojcem. Poszedłem więc dołem, u podnóża góry, między krzakami, wprawdzie dwa razy nadłożyłem drogi, ale przynajmniej nikogo nie spotkałem, byłem już prawie w domu, musiałem tylko przeciąć ścieżkę i ogród za ostatnim blokiem, już myślałem, że mi się udało, kiedy ktoś głośno gwizdnął. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem Zolikę, jak siedzi

213

na czubku Dużego Drzewa, wtedy z krzaków wyszedł Łupu i cała jego banda, otoczyli mnie bez słowa, nawet Zolika zszedł z drzewa, Łupu stanął przede mną i powiedział, że mnie mają i że zaraz się przekonam, jaki jest los oszustów, szczerów takich jak ja, powiedziałem, że nie oszukiwałem i żeby dali mi spokój, ale tylko zaczęli rechotać. Niech się dowiem, odezwał się Marjus, że nie ma przebaczyć, zabijają mnie, rozwałą mi łeb, wtedy zobaczyłem, że trzyma w ręku plastikową torbę, a w niej pół cegły, zresztą nie tylko on, podobnie cała reszta, Łupu wywijał torbę nad głową, że aż świszczało, na serio się wystraszyłem, bo wiedziałem, że jak mnie któryś trafi takim ceglany buzdyganem choćby raz, to połamię mi kości. Wydaje mi się, że jestem sprytny, bo poszedłem okrężną drogą, co? - ciągnął Marjus, muszę więc wiedzieć, że właśnie w ten sposób podpisałem na siebie wyrok śmierci, bo gdyby mnie złapali na ulicy, to najwyżej by mnie pobili i odebrali swoje pieniądze, ale tutaj za blokami nikt nie chodzi, tutaj mogą ze mną zrobić, co zechcą, muszę się więc przygotować na najgorsze. Póki mówił, wolno włożyłem rękę do kieszeni swojej szkolnej kurtki, po czym nagle wyjąłem i rzuciłem im w twarz garść monet, ale nie bardzo mi to wyszło, pieniądze się rozsypały i żaden nie trafił w cel. Miałem nadzieję, że przynajmniej rzucają się i zaczną je zbierać, a wtedy jakoś się wydostanę z tego kręgu i spróbuję dobiec do domu, ale żaden nie schylił się po pieniądze, Łupu tymczasem zamachnął się na mnie swoją torbą, ledwie zdążyłem uskoczyć, cegła przeleciała mi tuż obok głowy, wiedziałem, że to koniec, bo nie żartują, naprawdę chcą mnie zatłuc. Z całych sił zacząłem krzyczeć, wołać o pomoc, jednocześnie znowu sięgnąłem do kieszeni, nabrałem pieniędzy, ale już nie

214

po to by rzucać, tylko dlatego że wiedziałem, że jak będę miał całą garść bilonu, to moje uderzenia będą mocniejsze, walnąłem Marjusa w brzuch, zaraz jednak ktoś kopnął mnie z tyłu, aż poleciałem na twarz, na szczęście zresztą, bo dwóch już się na mnie zamierzyło swoimi plastikowymi torbami, lecz tylko jeden z nich trafił, i to też przejechał na

skos po wierzchu. Jak tylko upadłem, zaraz odwróciłem się na plecy, wiedziałem, że będą mnie kopać w brzuch buciorami, szybko więc podciągnąłem kolana i zasłoniłem ramieniem twarz, tak jak mnie uczył Zsolt, ale nie zamknąłem oczu, widziałem więc, jak Łupu wywija torbę, wiedziałem, że zaraz mnie uderzy, zza gardy obserwowałem jego twarz, wyszczerzył zęby, lecz wtedy rozległ się krzyk i zobaczyłem, że Łupu dostał z boku butelką po piwie. Jak w zwolnionym tempie widziałem, że brązowa butelka walnęła Łupu w głowę, tuż nad prawym uchem, Łupu się zachwiał, wypuścił z rąk torbę i pewnie by się przewrócił, gdyby go Marjus nie podtrzymał, pękła mu skóra na skroni, silnie krwawił, butelka się nie stłukła, kiedy upadła na ziemię, widziałem, że niemal w jednej trzeciej jest jeszcze pełna, piwo się pieniło i wylewało na ścieżkę, tymczasem usłyszałem, jak ktoś wrzeszczy, co robicie, kurwa wasza mać, zostawcie go, bo was co do nogi powybijam, ten głos słyszałem wcześniej tylko raz i w dodatku jako śmiech, mimo to poznałem, spojrzałem w górę i zobaczyłem Kilofa biegnącego ścieżką w naszą stronę, w jednej ręce trzymał długą żelazną rurkę, w drugiej ciężki kamieniarski młot i walił nimi o siebie nad głową, aż się echo niosło po całym wzgórzu, jednocześnie krzyczał - zwycięstwo, zwycięstwo. Na głowie miał górniczy kask, leżąc wciąż na ziemi, widziałem, jak lampka na kasku lśni w słońcu, zupełnie jakby się

215
świeciła. Podbiegł prosto do mnie, wszyscy się przed nim rozstąpili, było widać, że się go boją, nie chciałem patrzeć na jego twarz, ale nie mogłem się odwrócić, była bardzo brzydka, choć nie tak straszna, jak ją zapamiętałem, Kilof stanął nade mną, krzyknął do pozostałych, żeby zjeżdżali, póki jeszcze mogą, bo zaraz im pokaże, co to znaczy zabić, ostatnie draństwo tak w dziewięciu na jednego, na dodatek z cegłą w ręku, po cygańsku, już on ich nauczy, co to jest honor i bojaźń boża. Kiedy tak krzyczał, jego twarz, cała w śladach po ospie, przypominała wrzący, żółty wosk, na którym tworzą się pęcherze, była jednak raczej dziwna niż straszna, Kilof wbił żelazną rurkę w ziemię jak dzidę i powiedział, żeby podeszli, jeśli chcą dostać po ryju, bo muszą wiedzieć, że mają do czynienia z kimś, kto uczył się bić w delcie Dunaju, wśród lipowanów, wtedy już jednak wszyscy rzucili się do ucieczki, biegli co sił w nogach, Marjus, Zolika, Pustyu, Łupu też, Kilof cisnął młot koło rurki, spojrzał w dół na mnie i powiedział, że nie rozumie dzisiejszego świata, do czego to doszło, w jego czasach takie szczeniaki umiały się jeszcze bić uczciwie, jeden na jednego, gołymi rękami, honorowo, a teraz napadają całą watahą, uzbrojeni jak bandyci, jak szczury, straszne, potem spytał, czy coś mi jest, jak mocno dostałem i czy w ogóle mogę wstać.

Ostrożnie zacząłem się podnosić, powiedziałem, że na szczęście nic wielkiego mi się nie stało, wszystkiego parę kopniaków, mam stłuczone kolano i oberwałem cegłą w zębra, ale niegroźnie, drobiazg, z większych opałów już wychodziłem, gorzej, że mam naderwany rękaw u swojej szkolnej kurtki, no i poszarpane spodnie, bo po tym matka od razu pozna, że znowu się biłem, chociaż obiecałem jej> 216

że już więcej nie będę. Kilof powiedział wtedy, że w dzisiejszych czasach nie wolno czegoś takiego obiecywać, następnie kazał mi zdjąć kurtkę. Dopiero wtedy zauważyłem, że robocze ubranie, które ma na sobie, pokrywają ptasie pióra, były naszyte gęsto, rzędami, tuż obok siebie, przypominało to jakąś dziwną, łuskową zbroję, były tam głównie szare pióra wron, gołębi i wróbli, tu i ówdzie jednak dostrzegłem również kolorowe piórka ptaków śpiewających, byłem tak zaskoczony, że ręka zastygła mi w pół drogi, kiedy wyciągałem ją z urwanego rękawa, lecz tylko na chwilę, bo potem zdjąłem kurtkę, a Kilof wziął ją bez słowa, i słychać było, jak w kieszeni głośno zadźwięczały drobniaki. Kilof wyprostował rękaw, obejrzał rozerwane miejsce, włożył w dziurę rękę, wyrócił materiał na lewą stronę pomacał podszewkę, po czym powiedział, że to nic wielkiego, w pięć minut można to zszyć, wystarczą zręczne ręce i igła z nitką, następnie oddał mi kurtkę, wskazał butelkę z piwem i powiedział, żebym mu ją podał, bo wydaje mu się, że coś tam jeszcze jest, na szczęście, i szkoda byłoby zostawić. Ostrożnie podniosłem butelkę za szyjkę, nie chciałem pobrudzić sobie rąk krwią Łupu. Kilof jednym haustem wypił resztkę piwa, wyrzucił butelkę, wytarł ręce o spodnie, po czym stwierdził, no to idziemy, powiedziałem, że dziękuję za pomoc, ale muszę wracać do domu, bo mam jutro klasówkę z geografii. Kilof złapał mnie wtedy za ramię, odwrócił do siebie, spojrzał mi w oczy i spytał, czy się go przypadkiem nie boję, powiedziałem, że nie, przyglądając się równocześnie jego oczom, były bardzo niebieskie, prawie jak woda, nie boję się, powtórzyłem, wtedy Kilof puścił mnie i powiedział, że się cieszy, bo wielu się go boi z powodu twarzy, a przecież nie ma się czego bać, 217

bo on jest bardzo dobrym człowiekiem, a co ważniejsze, do szpiku kości uczciwym. Potem powiedział, żebym go teraz grzecznie odprowadził do koliby, bo już dawno chciał mi coś pokazać, no i w ogóle lepiej będzie, jak się trochę ogarnę, zanim wrócę do domu. Podniósł żelazną rurkę i młot, torba Łupu z cegłą w środku wciąż leżała na ziemi, Kilof kopnął w nią z całej siły, aż poleciała ze świstem na jakieś siedem metrów, po czym plasnęła w błoto między kępami trawy, wtedy Kilof wskazał rurką na dawne boisko do gry w piłkę i powiedział, idziemy.

Kilof zbudował sobie chatę u wylotu rowu, który sięgał aż za boisko, daleko w pole pszenicy. Ostatni odcinek poszerzył i oddzielił od reszty tekturą falistą, blachą i dyktą, przykrył deskami i listwami, płachtami plastiku oraz kawałkami papy, zdobył skądś nawet jakiś żelazny piecyk, komin wyprowadził przez dach, już z daleka było widać, jak unosi się z niego białawy dym. Kilof po drodze nie odzywał się słowem, cicho sobie gwizdał, kopał kępki trawy, zapytałem go, co mi chce pokazać, ale powiedział tylko, że jak poczekam, to zobaczę, i dalej pogwizdywał, a mnie tymczasem przyszyły do głowy historie opowiadane o nim przez chłopaków, że je psy i koty, że wstrzykuje sobie palinkę igłą do zastrzyków, że nocą wchodzi na balkony bloków, zagląda przez okna i śledzi, co ludzie robią, nie bardzo w to wszystko wierzyłem, mimo to pomyślałem, że jednak nie powinienem z nim iść, lepiej byłoby pobiec do domu, ale byłem ciekawy, bo nie słyszałem, żeby Kilof kogokolwiek do siebie zapraszał, szedłem więc dalej. Kiedy dotarliśmy do rowu, Kilof bez słowa do niego wskoczył, chociaż rów był głęboki na dobre dwa i pół metra, ja też chciałem skoczyć, ale Kilof zawołał do mnie,

218

żebym raczej zszedł po schodach, bo taki ze mnie mikrus, że jeszcze sobie coś złamię, wtedy spojrzałem w dół i zobaczyłem, że ze ściany wykopu na skos wystają zardzewiałe zderzaki samochodowe i spokojnie można po nich zejść. Zszedłem więc, Kilof rzucił żelazną rurkę i młot na kupę zardzewiałych narzędzi, potem podniósł z ziemi blaszaną konewkę, podszedł do beczki po oleju, zdjął drewnianą pokrywę, zanurzył konewkę i zaczerpnął wody. Przykrywając beczkę, powiedział tylko, że trzeba je napoić, bo są już pewnie bardzo spragnione, biedactwa, potem podszedł do drzwi, otworzył je i wtedy rozległ się bardzo głośny śpiew ptaków, wszedłem za Kilofem i aż mnie głowa rozboleła, gdy otoczył mnie zewsząd ten ciepły, świdrująco ostry śpiew i swąd sparzonych ptasich piór, Kilof kazał mi szybko zamknąć drzwi, bo ucieknie całe ciepło i biedactwa zmarzną, kiedy się rozejrzałem, zobaczyłem wokół na ścianach pełno wyżłobionych małych dziupli i klatek, jedne miały drzwiczki ze splecionych prętów wierzby, inne z cienkiej drucianej siatki, lecz były i takie, które zasłaniała tylko naciągnięta na ramę nylonowa pończocha albo kawałek tiulowej firanki, za każdą zasłoną coś się jednak poruszało, podszedłem bliżej i zobaczyłem, że to ptaki, rozmaite, części w ogóle nie znałem, a poza tym kosy, trznadle, skowronki, wszystkie w podnieceniu i z widocznym niepokojem skakały, miały się, niektóre rzucały się na siatkę, gdy mnie zobaczyły. Było tam mnóstwo ptaków, ze trzysta, a możliwe, że i z pięćset, całe ściany były zakryte klatkami, Kilof zatoczył ręką wokoło i powiedział, że te

kruszynki to jego maleńkie, skrzydlate dzieci, ale są niewdzięczne, na próżno daje im tyle miłości, chętnie by wyfrunęły, musi je trzymać za kratkami, bo nie rozumieją,
219

że zamarzyłyby w taką zimną pogodę, późną jesienią, zginęłyby, gdyby się o nie nie troszczył, teraz też robią tyle hałasu, zamiast pięknie śpiewać, nie szkodzi, zaraz je uciszy, zobaczę, jaka cisza zapadnie, kiedy to powiedział, zdjął swój górniczy kask, położył na podpartym z jednej strony cegłami kuchennym stole, potem wyszedł na środek izby, dopiero wtedy zobaczyłem, jakie ma jasne, prawie białe włosy, podniósł wysoko ręce, głowę odrzucił do tyłu, aż mu się szyja naprężyła, przymknął oczy i zaskrzeczał, chyba z sześć razy z rzędu, i rzeczywiście zrobiło się cicho, wszystkie ptaki naraz zamilkły, nawet znieruchomiały, Kilof otworzył oczy i mrugnął do mnie, powiedział, że się przestraszyły, bo to był głos orła przedniego, każdy ptak się go boi, nawet ten, który nigdy wcześniej go nie słyszał, ptaki ten strach mają w genach, jeśli je teraz napoimy, to wkrótce cudnie nam zaśpiewają. Podniósł z ziemi konewkę, nalał z niej trochę wody do oplecionej słomą butelki z utłuczoną szyjką, podał mi ją i powiedział, bym uważał i żadnemu ptakowi nie dał więcej niż łyk, bo od nadmiaru wody robią się ociężałe i nie chce im się śpiewać, potem podszedł do ściany i szybkimi ruchami zaczął nalewać ptakom wodę. Ja również podszedłem i zobaczyłem, że do każdej kraty i do każdej klatki prowadzi oddzielne, zrobione z puszki po konserwach małe korytko. Podniosłem butelkę i też zacząłem nalewać, słomiana plecionka była śliska, niewygodnie się ją trzymało, lecz tylko czasem nie trafiałem i rozlewałem trochę, ptaki chyba się mnie bały, bo wszystkie cofały się, kryły w ciemności i z najdalszego kąta, przekrzywiając łebek i zastygając w bezruchu, patrzyły, jak nalewam im wody. Kilof robił to znacznie szybciej, słyszałem, jak co chwila woda ścieka po blasze, za
220

każdym razem był to trochę inny dźwięk, nagle Kilof się odezwał, spytał, czy pamiętam, jak kiedyś nazwałem go tatusiem, a ja poczułem, że się czerwienię, omal nie rozlałem wody, powiedziałem, że tak, dobrze pamiętam. Wtedy Kilof powiedział, że mu przykro, to był bardzo brzydki żart, bo ani z życia, ani ze śmierci nie wolno żartować, potem spytał, od kiedy nie widziałem ojca, na co odparłem, że już chyba z półtora roku, od dawna też nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości i boję się, że moja matka zaczyna powoli wierzyć, że on nie żyje, chociaż ja wiem, że żyje, bo całym sobą to czuję, zaraz bym więc wyczuł, gdyby mu się coś stało. Kilof przeszedł tymczasem na stronę, gdzie nalewalem wodę, i zaczął nalewać obok mnie, powiedział, że ma nadzieję, że to prawda, muszę jednak

wiedzieć, że przeczucia nie zawsze się sprawdzają, często są tylko tym, co człowiek chce czuć, nic nie odpowiedziałem, tylko stałem z tą utłuczoną butelką w ręce i patrzyłem na czyżyka przez pończochę naciągniętą na raketkę od badmintonu, która zakrywała dziuplę, małymi, pazurzystymi łapkami trzymał się kurczowo wetkniętej w ściannę zielonej gałązki, łapki również miał całe zielone i bardzo, bardzo cienkie, wtedy Kilof wyjął mi z ręki butelkę i powiedział, że już mają wodę, chodźmy więc i usiądźmy, bo dopóki stoimy tak blisko krat, na pewno nie złączymy, a bez tego nie będą śpiewać, a on bardzo chciałby, żebym posłuchał, jaki koncert potrafią dać, najlepiej będzie, jak usiądziemy przy stole. Wskazał głową stół na trzech nogach, wysunął spod niego taboret, poczekał, aż usiądę, potem usiadł naprzeciwko mnie. Pogrzebał w szufladzie stołu, wyjął szpulkę nici, z kołnierza swojej kurtki wyciągnął długą igłę i kazał mi dać kurtkę, zróbmy tymczasem coś

221

pożytecznego, odgryził zębami kawałek nitki, poślinił koniec, nawłócił, a potem szybko, drobnym ścięciem zaczął zszywać dziurę w mojej kurtce. Z wyrazu jego twarzy było widać, że jest bardzo skoncentrowany, skóra mu się napięła, a wtedy ślady po ospie wydały się głębsze, grube, jasne jak mleko brwi miał nastroszone, pochylił się bardzo nisko nad kurtką i pracował szybko, że tylko ręka śmigła, było tak cicho, że słyszałem, jak nitka przesuwana jest między jego palcami, ptaków jakby nie było, z klatek nie dochodził żaden szmer, wtedy spytałem, gdzie nauczył się tak ładnie szyć. Kilof odpowiedział, że kiedyś, bardzo dawno temu, przyuczał się do zawodu preparatora zwierząt i właśnie wtedy, ale zostawmy to, bo to zupełnie inna historia, zupełnie inne życie, westchnął, spojrzał na mnie, oblizał usta i poprosił, żebym mu opowiedział o swoim ojcu. Poczuję ucisk w żołądku, wiedziałem, że powinienem powiedzieć nie, nie opowiem, nic mu do tego i nic mu do mnie, lecz nagle przypomniało mi się coś, jeszcze z czasów przedszkolnych, i zacząłem opowiadać Kilofowi, że wtedy ojciec prawie nigdy po mnie nie przychodził, był bardzo zajęty, widywałem go dopiero wieczorami, ale raz zimą, po południu, z jakiegoś powodu po mnie przyszedł, chciał mi pomóc zawiązać buty, chociaż od lat sam to robiłem, byłem już duży, za pół roku miałem iść do szkoły, nie chciałem go też trzymać za rękę, na dworze była wtedy taka mgła, jakiej nigdy wcześniej ani później nie widziałem, gęsta i bardzo biała, ojciec powiedział, że jak śmietana, nie było widać dalej niż na pół metra, ginęły w niej nawet żółte światła samochodów, bo chłoneła światło jak gąbka, pamiętam, że spojrzałem w dół i swoich nóg też właściwie nie widziałem, ledwie majaczyły w tej grubej

222

bieli, no i wtedy ojciec wziął mnie jednak za rękę, byśmy się nie zgubili, i zaczął mi opowiadać o Roaldzie Amundsenie, słynnym norweskim zdobywcy bieguna, jak to raz Amundsen na nartach przemierzał całą Grenlandię, lecz na koniec zabłądził we mgle i nie dotarł do celu, do schroniska swojego przyjaciela, sądził, że kompas odmówił mu posłuszeństwa, zawrócił więc i nadludzkim wysiłkiem doszedł tam, skąd wyruszył, dopiero po paru miesiącach dostał list, w którym przyjaciel pisał, że tamtego dnia odkrył ślady nart dwa metry od swojego domu i że mgła bywa taka zdradliwa i niebezpieczna. Od ciągłego siedzenia po nocach i od papierosów ojciec miał wtedy bardzo schrypnięty głos, ale mgła sprawiła, że stał się miękki, zupełnie jak nie jego, trzymaliśmy się więc za ręce i szliśmy, po drodze jednak myślałem, że musieliśmy chyba zabłądzić, jak Amundsen, na pewno minęliśmy już nasz blok i jesteśmy gdzieś w innej części miasta, tylko ojciec nie ma odwagi mi tego powiedzieć, bo nie chce się narazić na wstyd, miałem wrażenie, że już bardzo długo idziemy, ojciec wciąż opowiadał o Amundsenie, o tym, jak znalazł Przejście Północno-Zachodnie, wyraźnie jednak czułem w jego głosie zdenerwowanie, byłem więc pewien, że zabłądziliśmy, kiedy nagle o coś się potknąłem, spojrzałem w dół i zobaczyłem, że to schody naszego bloku, poczułem taką ulgę i radość, że aż krzyknąłem, no to jesteśmy w domu, naprawdę jesteśmy w domu, lecz ojciec zdawał się nie zauważać ani mojej ulgi, ani radości, tylko dalej opowiadał, jak statek Amundsena, Gjoa, po trzech latach spotkał w Cieśninie Beringa pewien statek wielorybiczny z San Francisco i jak bardzo się ucieszyli, że udało im się odkryć to Północno-Zachodnie Przejście, osiągnąć coś, czego wielu

223

przed nimi próbowało na próżno, co wielu odważnych badaczy bieguna przypłaciło życiem, i że to było odkrycie o wielkim znaczeniu, jeśli nawet nie spełniło pokładanych w nim nadziei handlowych, kiedy wchodziliśmy po schodach, zrozumiałem, że ojciec dobrze wie, że myślałem, iż zabłądziliśmy, tylko po prostu nie dał tego po sobie poznać, żebym się później nie musiał wstydzić, i tak się wtedy zawstydzilem, że nim dotarliśmy na czwarte piętro, gdzie mieszkaliśmy, prawie płakałem, tak mi było przykro, że przez chwilę zważyłem w swego ojca. Od tamtej pory nie myślałem o tej historii, choć kiedyś nawet odpowiadałem z Amundsena, zupełnie jakbym nie chciał pamiętać, że kiedykolwiek mogłem w ojca zważyć. Zamilkłem i potrząsnąłem głową, spojrzałem na Kilofa, powiedziałem, że właściwie to nie wiem, dlaczego akurat teraz mi się przypominała, a całkiem już nie rozumiem, dlaczego opowiedziałem ją komuś zupełnie obcemu, Kilof odpowiedział, bym nie żałował, bo to była bardzo pięk-

na historia, potem oddał mi kurtkę, kazał sprawdzić, że nie ma śladu po rozdarciu. Schował nici do szuflady, podniósł palec i szepnął, żebym uważał, cicho, cicho, widziałem, że sam zachowuje się równie ostrożnie, do tego stopnia, że nie oddycha, wstrzymałem więc oddech, cisza wokół nas zrobiła się jeszcze głębsza i nagle odezwała się sikorka, ze ściany naprzeciwko odpowiedziała jej druga, po czym włączył się trzeci ptak, nie poznałem po głosie jaki, ale śpiewał już czwarty i piąty, a potem wszystkie, lecz nie naraz, bez ładu i składu jak wtedy, gdy przyszlismy, tylko według jakiegoś bardzo skomplikowanego systemu, dużo pojedynczych głosów zlewało się w całość, w jedną potężną pieśń, był to prawdziwy koncert, tylko znacznie

224
głośniejszy, a my siedzieliśmy z Kilofem w samym środku. Trwał wiele minut, może nawet kwadrans, Kilof przytknął oczy i słuchał, cały czas uśmiechnięty, miarowo bujał się na krześle, sam również poczułem, że zaczynam podrygiwać, mój stołek kilka razy stuknął o podłogę, bardzo ciasno otoczył nas ten dziwny, wibrujący ptasi śpiew, miałem wrażenie, że siedzimy w parze albo w gęstej, ciepłej mgie, czułem, że zaraz rozboli mnie głowa. Ptaki musiały się chyba zmęczyć, bo ich pieśń zaczęła się z wolna rozpadać, znowu słychać było pojedyncze głosy, Kilof głęboko wtedy westchnął, otarł oczy rękawem kurtki, spojrzął na mnie, machnął ręką w stronę ptaków i szeptem powiedział, że nie mogą znieść swojej wzajemnej bliskości, dlatego śpiewają, to, co nam się wydaje piękną, chwytającą za serce muzyką, jest tylko krzykiem, przekleństwem i groźbą, bo ptaki śpiewające tak naprawdę się nienawidzą, człowiek nie przypuszczałby nawet jak bardzo, wilgi, te są najdziksze, waleczniejsze od polnych skowronków, szybko giną w niewoli, póki co jednak napawamy się ich gniewem, bo to dla naszych uszu pieśń, przecudna pieśń. Trudno mi sobie nawet wyobrazić, ile wysiłku wymagał taki koncert, ile trzeba było eksperymentować, by wiedzieć, jak rozmieścić ptaki, który na którego reaguje, to wiele lat pracy, i kiedy go tutaj przenieśli, musiał zaczynać wszystko niemal od początku, ale warto było, bo coś takiego można usłyszeć tylko w raj, choć i to nie jest pewne. Przyznałem, że to prawda, niczego piękniejszego w życiu nie słyszałem, włożyłem kurtkę, podziękowałem, że ją zszyl i że mi pomógł, jest rzeczywiście bardzo dobrym człowiekiem, dziękuję za wszystko, ale naprawdę muszę już iść, bo mama Pewnie się martwi.

225

Kilof powiedział wtedy, że dobrze, mogę iść, skoro chcę, on jednak chciałby, żebym obejrzał to, dla czego mnie tutaj zaprosił, bo to znacznie, znacznie ważniejsze, ważniejsze nawet od śpiewu ptaków, to coś takiego, czego od bar-

dzo dawna nikt nie oglądał. Rozpiął kurtkę, z wewnętrznej kieszeni wyjął jakąś poźółkłą kopertę i położył przede mną na stole. Wyciągnąłem rękę, ale Kilof kazał mi poczekać, bo chce mnie przedtem o coś zapytać, o to, czy wiem, co się stało z jego twarzą. Powiedziałem wtedy, co słyszałem od innych robotników, że nad Kanałem nabawił się czarnej ospy i miał szczęście, że na nią nie umarł, ale twarz na zawsze ma oszpeconą. Kilof pokręcił na to głową, prawda jest inna, ale jaka - lepiej żebym nie wiedział, nie musi mówić, że przytrafiło mu się coś paskudnego, bo to i tak widać, niech sobie jednak wyobrażę, że kiedy zdjęli mu bandaż i po raz pierwszy spojrzął w lustro, to zemdłał, a gdy przyszedł do siebie, to już nie pamiętał swojej dawnej twarzy. Wskazał na kopertę i powiedział, że w tej zamkniętej kopercie jest jego stary dowód osobisty, zwrócili mu go, kiedy wychodził z wojskowego szpitala, i tam, w tym dowodzie, jest jego jedyne zdjęcie z czasów, kiedy jeszcze miał zdrową twarz. Nie jest tchórzem, muszę jednak wiedzieć, że tego starego zdjęcia od tamtej pory nie miał odwagi obejrzeć, wolał skłamać, że zgubił dowód, i wyrobić sobie nowy, z tą nową twarzą. Kilof umilkł, spojrzął na kopertę, potem na mnie, i powiedział, że chciałby mnie prosić o wielką przysługę, mam nic nie mówić, tylko wyjąć z koperty ów dowód, otworzyć i obejrzeć jego dawne zdjęcie, a potem zamknąć dowód, schować do koperty, zabrać ze sobą i strzec. To tyle, aż tyle, zdaje sobie z tego sprawę, lecz to znaczyłoby dla niego bardzo wiele, a jeśli się zgodzę,

226

to miałby prośbę, żebym, ilekroć o nim pomyślę, spróbował widzieć go z jego dawną twarzą, żebym sobie spróbował wyobrazić, jak wyglądałby dzisiaj, po tylu latach, jak by się zestarzał, gdzie miałby zmarszczki, on wie, że to trudne, i nie szkodzi, jeśli mi się nie uda, ale prosi, żebym jednak spróbował, będzie mu wtedy dużo łatwiej żyć. Jasne, że jeśli czuję, że nie mam na to dość siły czy odwagi, to nie muszę, mogę spokojnie iść do domu.

Spojrziałem na Kilofa, na jego twarz całą w ranach i w bliznach, i powiedziałem, że dobrze, zrobię to, otworzyłem kopertę, poźółkły papier był już tak cienki od długiego noszenia w kieszeni, że rozpadał mi się w palcach, wyjąłem z koperty dowód, na zatłuszczonej, szarej okładce godło zupełnie się zatarło, napis też, otworzyłem i spojrziałem na zdjęcie, było na pierwszej stronie, kiepskie, czarno-białe, Kilof mógł mieć na nim najwyżej z siedemnaście lat, włosy starannie zaczesane na bok, z przedziałkiem, uśmiechał się, był w rozpiętej pod szyją białej koszuli, miał bardzo wystające jabłko Adama, pod zdjęciem cyrylicą napisane było na maszynie jego nazwisko, nie potrafiłem go przeczytać, zresztą nawet się nie starałem, tylko patrzyłem na tę twarz, na usta, nos, oczy, rysy, na gładką, czystą skórę, mimo że

się uśmiechał, miał w wyrazie twarzy coś nieugiętego, usta ostro zakrzywiały się do góry, zgodnie z jego życzeniem spróbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądałby teraz, ale nie bardzo mi się udało. Kiedy tak patrzyłem na jego młodą twarz, przyszedł mi na myśl ojciec, mój ojciec i jego zdjęcie, które wyrwałem ze starej książeczki wojskowej, poczułem nagle, jak napływają mi łzy, do każdego oka po jednej, zamknąłem wtedy dowód i wraz z resztkami koperty włożyłem do wewnętrznej kieszeni szkolnej kurtki, tuż obok

227

białego kościanego króla, spojrzałem na Kilofa i powiedziałem, że dziękuję, będę bardzo uważał na to zdjęcie, a łzy, obie, spływały mi po twarzy, otarłem je wierzchem dłoni i powiedziałem, że teraz muszę już iść do domu.

Kilof wtedy wstał, podszedł do mnie, położył mi rękę na ramieniu i powiedział, że dziękuję, jestem bardzo dzielnym chłopcem, ojciec na pewno byłby ze mnie dumny.

Pokiwałem głową i powiedziałem, że pewnie tak, gdybym tylko wiedział, co się z nim dzieje. Bo możliwe, że jednak matka ma rację i nigdy już nie wróci do domu.

Kilof na to zdjął rękę z mojego ramienia i powiedział, że jeśli chcę, to on mi pokaże mojego ojca, pewien stary lipowan nauczył go kiedyś widzieć przez lustro na odległość, czy więc chcę, żeby spróbował? Nie lubi tego robić, jeśli jednak ja go poproszę, to zrobi. Wiedziałem, że powinienem powiedzieć, że nie wierzę w takie rzeczy, powiedziałem jednak, że proszę, chcę, i wtedy Kilof stwierdził, dobrze, ale muszę obiecać, że nikomu nie powiem, obiecałem. Kilof wtedy podszedł do ściany, otworzył jedną z klatek, wyjął jakiegoś małego ptaszka, potem powiedział, że bym nie patrzył, ale nim odwróciłem głowę, było za późno, bo zdążył już ukreślić mu łebek, słyszałem delikatne chrupnięcie, Kilof podszedł do stołu, wyjął scyzoryk, obciął ptakowi skrzydełka, widziałem, że to zwykły polny wróbel, resztę rzucił na ziemię, potem wziął garść błota, podsunął mi i powiedział, że bym na nią splunął, splunałem, Kilof wtedy nagłym ruchem sięgnął do mojej głowy, wyrwał z niej włos, położył na kupce błota, potem wyjął ze szpulki nici tę wielką krawiecką igłę, dał mi do ręki i powiedział, że teraz już tylko potrzebna jest krew, że bym się więc ukłuł w kciuk i utoczył na włos trzy krople. Igła była tak ostra,

228

że z początku prawie nie czułem ukłucia, palec zaczął mnie boleć dopiero wtedy, gdy wyciągnąłem igłę i zaczęły z niego kapać duże, czerwone krople krwi. Kilof podstawił grudkę błota pod mój palec, poczekał, aż skapną trzy krople, wtedy kazał mi wyssać ranę, żeby nie wdało się zakażenie, następnie zaczął ugniatać kulkę, mamrocząc przy tym tak niewyraźnie, że rozumiałem tylko co któreś słowo, powoli uformował z błota figurkę człowieka. Wy-

glądała jak szmaciana lalka, tyle że z jako tako ukształtowanymi nogami i rękami, kiedy była gotowa, umieścił na jej plecach oba ptasie skrzydełka, przypominała więc brudnego, brzydkiego anioła, potem podszedł do tylnej ściany pomieszczenia, z jakiejś skrzynki na narzędzia wyjął latarkę i małe lustro, postawił na stole butelkę piwa, oparł o nią lustro, przed nim umieścił figurkę i powiedział, żebym spojrział w lustro, ale w taki sposób, by widzieć tę figurkę z błota, spojrzałem, wtedy Kilof spytał, co widzę, powiedziałem, że widzę tylko tę lalkę, nic więcej, Kilof stwierdził, w porządku, nic innego nie muszę widzieć, następnie podniósł latarkę i skierował na lustro, powiedział, że zaraz ją zapali i że światło odbite w lustrze będzie mi świeciło prosto w oczy, bardzo mnie oślepi, ale nawet wtedy nie wolno mi zamknąć oczu ani spojrzeć w bok, nawet mrugać mi nie wolno, muszę patrzeć prosto w światło, mieć szeroko otwarte oczy i myśleć o ojcu. Następnie włączył latarkę, z początku widziałem tylko blask, a w nim glinianą figurkę, potem figurka się poruszyła i zaczęła machać skrzydłami, pofrunęła wprost w lustro i zniknęła. Wtedy poczułem, że robi mi się zimno, i zobaczyłem, że lustro zaczyna falować jak woda, potem widziałem już tylko brązową, błotnistą, falującą wodę, miałem wrażenie, że

229
jestem ptakiem i lecę nad tą wodą, nagle dotarłem do jakiejś gliniastej ściany i zacząłem biec po niej w górę, wyraźnie widziałem grudki ziemi i warstwy łupku, wtedy obraz się oddalił, zobaczyłem, że w tej wysokiej, gliniastej ścianie wyłobione są rampy i drogi i że pracują tam ludzie, pełno ludzi, jak mrówki, kopią, walą kilofami i ładują na taczki, nagle obraz się odwrócił i zobaczyłem ojca, był bardzo chudy, szedł w górę rampą, miał zarzucony na ramię worek cementu, widziałem, jak dyszy, przed nim i za nim ciągnął się długi szereg ludzi, byli w takich samych pasiastych więziennych ubraniach, czułem, jak mnie ściska w gardle, wiedziałem, że za chwilę wybuchnę płaczem, no i wtedy obraz znowu zaczął falować jak woda, następnie stracił ostrość i widziałem już tylko światło i lustro, skrzydlata figurka zniknęła, Kilof zgasił latarkę i spytał, czy widziałem swego ojca. Powiedziałem, że widziałem, a Kilof spytał, co bym dał za to, żeby go stamtąd wyrwać, bez namysłu odpowiedziałem, że wszystko, wszystko bym dał, a kiedy to powiedziałem, butelka się przewróciła i lustro spadło ze stołu, wykonało obrót w powietrzu i wierzchem do góry upadło na błotnistą podłogę. Nie stłukło się, tylko pękło wzdłuż, a twarz Kilofa zastygła, przeżegnał się i powiedział, że nie wiem, co mówię. Podniósł z ziemi ubłocone lustro, przeciągnął palcem po pęknięciu i powiedział, że to jego wina, nie powinien był pytać, ale może uda się to jeszcze naprawić, potem spojrział na mnie i spytał, czy

życie też bym za to oddał, jednocześnie dawał mi głową znaki, bym powiedział nie, poprosił, żebym się dobrze namyślił, zanim dam odpowiedź, żebym się bardzo dobrze namyślił, poczułem, jak powietrze wokół mnie lodowacieje, spojrzałem na długą rysę na lusterku i powiedziałem, że tak,
230

oddałbym życie, na pewno, wtedy lusterko w ręce Kilofa rozpadło się na dwie części, a on bardzo cicho powiedział, to koniec, dokonano się, co się miało dokonać, już nie da się odwrócić, powinienem jednak wiedzieć, że nie mogę oddać swojego życia tylko czyjeś. Stracę kogoś spośród tych, których kocham, ale ojciec wróci. Pokiwał głową, postawił przede mną szklanę, napełnił ją wodą z konewki, następnie kazał mi wypić i iść do domu, uważać na jego dowód i nigdy nikomu go nie pokazywać.

Podniosłem szklanę, woda była bardzo zimna, ale wypiliśmy, potem wstałem i wyszedłem z koliby. Kiedy szedłem po wybojach, w kieszeni dźwięczały mi monety, usłyszałem, jak w rowie ptaki znowu zaczynają śpiewać. Pomyślałem wtedy o matce i o tym, że jednak powinienem jej jakoś powiedzieć, że widziałem ojca i że on wróci, ale zaraz poczułem, że koniuszek palca znowu krwawi, wiedziałem, że i tak jej nie powiem. Wytarłem rękę o spodnie, sięgnąłem do kieszeni, chwyciłem dowód osobisty Kilofa, lecz go nie wyjąłem, tylko szedłem do domu w milczeniu.

WIDOK

Kiedy wyszedłem z dawnej knajpy Pod Lwem, przechrzczonej teraz na Myśliwską, z dwiema butelkami zimnego czeskiego piwa pod pachą, od razu zauważyłem, że po drugiej stronie ulicy stoi szary furgon, nie miałem wyjścia, musiałem koło niego przebiec, wiedziałem jednak, że będzie za mną jechał aż do samej szkoły, kiedy będę biegł z tym piwem, nie mogłem jednak nie biec, skoro towarzysz Sandor, nauczyciel wuefu, powiedział, że ten, kto do dzwonka nie wróci z dwiema butelkami piwa, będzie miał dwóję na okres, to teraz ważniejsze niż wszystkie biegi na czas, bo jak tych czterech skrzynek piwa, które w zeszłą niedzielę wygrał od głównego kelnera w Myśliwskiej, mocując się z nim na rękę, nie zabierze stamtąd czym prędzej, to stali goście na pewno je wypiją, a więc na start, niech każdy gna, ile sił w nogach, a tych, którzy wrócą pierwsi, być może nawet poczęstuje, mała szklaneczka jeszcze nikomu nie zaszkodziła, sami zobaczymy, jak dobrze robi po biegu, nic nie robi lepiej.

Szary furgon śledził mnie już od dwóch dni, nie miałem odwagi nikomu o tym powiedzieć, bo wiedziałem, że i tak mi nie uwierzą, a jeśli uwierzą, tym gorzej, bo ludzie
232

wiedzą, co się zwykle dzieje z tymi, których zaczyna śledzić bezpieczeństwa, nikt by więc nie śmiał zamienić ze mną

ani słowa. Na szczęście nie jeździł za mną cały czas, tylko kiedy szedłem albo wracałem ze szkoły, widziałem go też parę razy w drodze do źródelka czy na boisko, miał numer rejestracyjny składający się tylko z trzech cyfr, wiedziałem więc, że to nie może być nikt inny tylko oni, któż zresztą poza nimi jeździłby takim szarym furgonem z odblaskowymi szybami, nie potrafiłem sobie wyobrazić, czego mogą ode mnie chcieć, czyżby się jakoś dowiedzieli, że byłem na miejscu, kiedy robotnicy z fabryki wyrobów metalowych podpalili sklep, albo że zakradliśmy się z Ferim do tajnej sali kinowej, kiedy zabrakło prądu, nawet nie chciałem o tym myśleć, wolałem udawać, że ich nie zauważam. Butelki były tak zimne, że ręka omal nie przymarzła mi do szyjek, palce tak mi zdrętwiały, że już nawet nie czułem, co trzymam, tylko samo lodowate zimno, nie zacząłem biec od razu, przez chwilę stałem w drzwiach gospody, oprócz mnie nikogo nie było na ulicy, pozostali już dawno puścili się pędem do szkoły, dotarłem tu jako ostatni, bo biegłem, trochę kulejąc, wciąż jeszcze bolała mnie kostka od tego, jak dzień wcześniej próbowałem strzelić jedenastkę pękniętą skórzaną piłką, którą chłopaki dla żartu wypełnili drobnymi kamyczkami, słowem, nie ruszyłem od razu, zastanawiałem się, co by było, gdybym pobiegł w innym kierunku, wiedziałem jednak, że musiałbym wtedy okrążyć Rynek, nadłożyłbym więc co najmniej półtora kilometra, nie, z tą bolącą nogą w żadnym razie nie zdążyłbym wrócić przed dzwonkiem, wziąłem więc głęboki wdech i zacząłem biec w stronę furgonu, po drodze miałem nadzieję, że to może nie jest ten sam furgon, a nuż jakiś inny i tylko

233
przypadkiem stoi przy chodniku, wcale nie przyjechał po mnie, czułem, jak w butelkach chlupocze piwo, już z daleka widziałem siebie w tylnej odblaskowej szybie samochodu, widziałem, jak biegnę w białej koszulce i czarnych spodenkach gimnastycznych, lustro mnie zniekształcało, raz wydawałem się bardzo wysoki, to znów bardzo niski, w końcu zrównałem się z samochodem, wiedziałem, że za chwilę silnik głośno zawarczy i samochód ruszy za mną, ale nic się nie stało, szybko przebiegłem koło niego, tak się bałem, że prawie nie czułem bólu w nodze, biegłem dalej, pięć metrów, dziesięć, a furgon wciąż stał, byłem już w połowie ulicy, zostawiłem go jakieś dwadzieścia pięć metrów w tyle, i już naprawdę myślałem, dobra, udało się, kiedy furgon głośno zatrąbił, przeraziłem się tak, że omal nie stanąłem i nie upuściłem butelek, następnie silnik zahuczał i usłyszałem, jak samochód ruszył, po chwili był przy mnie i znowu głośno na mnie zatrąbił, lecz nawet wtedy się nie zatrzymałem, tylko dalej biegłem, furgon wówczas mnie wyprzedził, dwoma kołami wjechał na chodnik i stanął, wiedziałem, że to koniec, mają mnie, do

tej pory z jakiegoś powodu zwlekali, ale teraz mnie mają i zabiorą, obejrzałem się za siebie, spojrzałem w stronę gospody, przyszło mi do głowy, że gdybym pobiegł z powrotem, to może tam by za mną nie pojechali, lecz wiedziałem, że to idiotyzm, bo pojechaliby, mimo to muszę zawrócić, nie mogę się poddać, i już miałem zacząć biec, kiedy powoli otworzyły się drzwi auta i ktoś zawołał mnie po imieniu, powiedział, żebym się zatrzymał, żebym stanął, był to głos mojego dziadka, wiedziałem jednak, że tylko ze strachu tak mi się wydaje, i nie wolno mi tam spojrzeć, muszę biec dalej, mimo wszystko spojrzałem, i wyraźnie

234

zobaczyłem, że to dziadek, naprawdę on, krzyknął, żebym nie śmiał się ruszyć, bo jak Boga kocha, zaraz mnie przejedzie, mam wsiadać do samochodu, bo chce ze mną porozmawiać, poczułem wielką ulgę, było to jak zmęczenie po biegu, tylko jakieś bardziej gorące, ale trwało tylko chwilę, bo zaraz znowu ścisnęło mnie w żołądku, nie mogłem sobie wyobrazić, czego dziadek może ode mnie chcieć, tylko dwa razy w roku zwykliśmy się spotykać, a teraz nie miałem ani imienin, ani urodzin, cofnąłem się więc o krok i powiedziałem, że nie mogę wsiąść, towarzyszu sekretarzu, bo biegnę na czas i nie chcę oblać, po co matce dodatkowe zmartwienie, wtedy dziadek powiedział, żebym się nie przejmował biegiem, bo on mnie zawiezie i będziemy na miejscu szybciej niż reszta nieszczęśników, a teraz mam wsiadać i koniec, wsiadłem więc, grzecznie usadowiłem się na siedzeniu ze sztucznej skóry, dwie butelki piwa postawiłem przy nodze, na prążkowanej, gumowej wycieracze, i zacząłem zacierać ręce, by je rozgrzać.

Dziadek zatrzasnął drzwiczki, wcisnął gaz i zjechał z chodnika, przez chwilę nic nie mówił, a potem nagle powiedział, że on nienawidził biegać i ma nadzieję, że ja też nie lubię, na co odparłem, że to prawda, nie lubię, dziadek wtedy skinął głową i powiedział, że to bardzo dobrze, widać, że jestem jego wnukiem, nic nie odpowiedziałem, tylko patrzyłem na dziadka, chciałem zapytać, skąd ma ten furgon i czy to on jeździł za mną przez trzy dni, a skoro tak, to dlaczego, wtedy jednak zauważyłem, że dziadek ma krzywo zapiętą koszulę, nie ma krawata, a kołnierzyk zwisa mu z jednej strony, w końcu więc o nic nie spytałem, tylko spoglądałem przed siebie, przez okno, nigdy wcześniej nie siedziałem w takim furgonie, siedzenie było w nim

235

znacznie wyżej niż w normalnym samochodzie, widziałem więc dużo dalej.

Kiedy dojechaliśmy do rogu, nie skręciliśmy w stronę szkoły, tylko w dawną ulicę Błotną, a potem też nie w lewo, do Rynku, tylko w prawo, w kierunku Kalwarii, i wtedy pomyślałem, że jednak powinienem spytać dziadka, dokąd

jedziemy, ale nim zdążyłem się odezwać, dziadek odwrócił się w moją stronę, pokręcił głową i powiedział, że aż przykro na mnie patrzeć, taki jestem wystraszony, zupełnie nie rozumiem, dlaczego tak się go boję, chciałem powiedzieć, że wcale się nie boję, tylko wciąż jeszcze od biegania boli mnie noga, i że marznę w tym kostiumie gimnastycznym, ale nie zdążyłem, bo dziadek mruknął pod nosem, żebym się tak nie martwił, daje mi słowo honoru, że przed dzwonkiem wrócimy, najpierw jednak chce mi coś pokazać, mojemu ojcu też to kiedyś pokazywał, mam się więc wreszcie uspokoić i nie bać, nie zrobi mi nic złego, patrzyłem na niego w milczeniu, byłem całkiem zaskoczony, bo dziadek do tej pory nigdy nie wspominał o moim ojcu, nigdy, ani razu, i nie znosił, by ktokolwiek wspominał o nim w jego obecności, udawał, że w ogóle nie ma syna, gniewał się tak dlatego, że ojciec zszargał nasze nazwisko, przyniósł wstyd jemu i całej rodzinie, kiedy podpisał tę petycję, bo każdy myślał, że to dziadek ją podpisał, bo ojciec nazywał się dokładnie tak samo jak dziadek, i tak jak ja, każdy pierwszy syn w rodzinie tak się nazywał, wybuchł wtedy straszny skandal, dziadek natychmiast musiał podać się do dymisji i przejść na emeryturę, mógł się tylko cieszyć, że nic gorszego go nie spotkało, byłem więc naprawdę bardzo zdziwiony i nadal nic nie mówiłem, potem jednak pomyślałem, że powinienem coś powiedzieć, bo nie może być tak, że tylko siedzę

236

i całą drogę się nie odzywam, przyszło mi do głowy, żeby chociaż zapytać, jak się czuje babcia, czy ma się lepiej, a jeśli nie o babcię, to przynajmniej o to, co dziadek mi chce pokazać i dlaczego to jest takie ważne, że specjalnie przyjechał po mnie tym furgonem, właśnie zastanawiałem się, jak zadać pytanie, kiedy dziadek się odezwał, nie patrzył na mnie, ale widziałem, jak się uśmiecha, powiedział, że bardzo się cieszy, że nie jestem ciekawski, tylko spokojnie, jak dorosły, czekam, mam już widać wystarczająco dużo rozumu, by pojąć, że nie trzeba wszystkiego wiedzieć z góry, jestem naprawdę dużym chłopcem, znowu więc nic nie powiedziałem, tylko skinąłem głową i dalej wyglądałem przez okno.

Byliśmy już prawie na samym szczycie Kalwarii, minęliśmy cmentarz wojskowy i dojeżdżaliśmy do pałacyku myśliwskiego naczelnego dowódcy sił zbrojnych, z którego ten korzystał raz na pięć lat, gdy składał wizytę w naszym mieście, przez chwilę sądziłem, że dziadek chce mnie tam zabrać i pokazać mi wnętrze, wujek Feriego był raz w środku, gdy zakładał światło, opowiadał potem, że tam wszystko jest ze szczerego złota, i kran, i wieszak, wszystko, nie paliłem się do oglądania, choć może bym i obejrzał, minęliśmy jednak wysokie ogrodzenie z cegły i czarną żelazną bramę, dziadek nawet nie zwolnił, tylko jechał

dalej, przez pas lasu, w końcu dotarliśmy do dużej polany na górze, pod punktem widokowym, gdzie po pochodach pierwszomajowych urządzano zwykle grillowanie, dziadek skręcił z asfaltowej drogi, przeciął chodnik, ominął ławki, przejechał obok lądowiska dla helikopterów, furgon na wybojach tak podskakiwał, że butelki z piwem przy moich nogach podzwaniały o siebie, a ja musiałem się trzymać

237

siedzenia, dziadek podjechał prosto na prawy skraj łąki, do wielkiego orzecha, tam gdzie zaczynała się stromizna, zwolnił, potem stanął, wyłączył silnik, powiedział, że jesteśmy na miejscu, i kazał mi wysiąść.

Trochę mnie mdliło, bo furgon porządnie wytrząsał mi żołądek, oddychałem więc głęboko, jak uczyła mnie matka, po chwili mdłości minęły, jednak w lusterku samochodowym widziałem, że nadal jestem blady, tymczasem dziadek wysiadł, podszedł do wielkiego orzecha i stamtąd zawołał, żebym przyszedł i zobaczył, mamy u stóp całe miasto, stąd, spod tego drzewa, jest najpiękniejszy widok, dawniej stała tu ławka, ale już nie stoi, nawet poręczę ukradli, nie szkodzi, robi się wiosna, ziemia jest już dość ciepła, kiedy to mówił, zdjął marynarkę i rozłożył ją na kępkach trawy pod drzewem, usiadł po turecku na brzegu i wskazał miejsce obok siebie, żebym też usiadł, na co czekam, chciałem powiedzieć, że nie usiądę, bo ziemia jest zimna i nie chcę się przeziębic, w końcu jednak usiadłem, dziadek poklepał mnie po plecach i powiedział, że kiedy mój ojciec był mały, przyprowadził go tutaj i pokazał mu miasto, jego rodzinne miasto, bo niegdyś jego ojciec, a mój pradziadek, którego już nie mogłem znać, również go tu przyprowadził, wtedy już wiedziałem, że dziadek za chwilę powie, bym obiecał, że kiedyś przywiozę tutaj swego syna, ale dziadek nic nie powiedział, tylko westchnął, po czym podniósł z ziemi leżące obok marynarki dwie butelki piwa, nawet nie zauważyłem, kiedy je wyjął z samochodu, byłem pewien, że dziadek zaraz obie wypije, lecz nic nie powiedziałem, bo wiedziałem, że to i tak nic nie da, dziadek spojrzał na mnie i uśmiechnął się, powiedział, żebym się nie bał, pan od wuefu to stary towarzysz i jeśli choć słowem mnie

238

zbeszta, mam powiedzieć, że dziadek przesyła mu uszanowanie, i żebym się nie denerwował, bo nic złego mnie nie spotka, mam sobie zapamiętać, że jestem wnukiem kogoś, kto coś znaczy, dziadek umilkł, trzymał butelki nachylone tak, że zahaczały o siebie kapslami, nigdy wcześniej tego nie widziałem, następnie wykonał ruch, jakby chciał ułamać szyjki, i obie butelki otworzyły się jednocześnie, przycisnął kciukiem z wierzchu, lecz z jednej biała piwna piana popłynęła mu po ręce, strząsnął ją na trawę, następnie powiedział, żebym sobie zapamiętał, że dżentelmen nigdy nie

pije przed południem, ale jemu już i tak wszystko jedno, po czym podniósł butelkę i za jednym zamachem wypił prawie połowę, następnie wyciągnął w moją stronę, pytając, czy mam ochotę, powiedziałem, że nie, patrzyłem na rękę dziadka, w której trzymał butelkę, była cała pomarszczona, szeroki, brązowy pasek od zegarka ciasno oplatał mu przegub i skóra wokół paska tak się jakoś pogniotła, jakby była z papieru albo z materiału, który się nagle zbiegł, dziadek skinął głową i powiedział, że w porządku, mam rację, będą ze mnie ludzie, uśmiechnął się, potem znowu pociągnął łyk piwa i wskazał miasto, powiedział, że bym mu się przyjrzał, że bym się dobrze przyjrzał, jakbym je widział po raz pierwszy albo ostatni w życiu, miasto rzeczywiście wyglądało bardzo ładnie, całe śródmieście, zamek, Rynek z trzema kościołami, teatr, muzeum, stary szpital, ratusz, trochę dalej duże, szare dzielnice bloków z nowymi cztero- i sześciopiętrowymi budynkami, po drugiej stronie miasta widać było rzekę, wielką zaporę i fabrykę wyrobów metalowych, nagle dziadek objął mnie i powiedział, że bym nie wypatrywał, gdzie się co znajduje, tylko że bym spróbował ogarnąć całość, za jednym zamachem, jakbym patrzył

239
na obraz albo na piękną dziewczynę, mam spróbować widzieć wszystko naraz, co nie jest łatwe, ale jak się uda, to inaczej będę odtąd widział świat. Dziadek umilkł, patrzył na miasto, czasem pociągał z butelki, ja też patrzyłem, ale widziałem tylko poszczególne budynki, domy, ulice i place, zerwał się lekki wiatr, miałem gęsią skórę na rękach i nogach, wtedy dziadek znowu się odezwał, powiedział, że bym uwierzył, że to najpiękniejsze miasto na świecie, nawet teraz, przy tej pochmurnej pogodzie, jest cudowne, tak, to najpiękniejsze miasto na całej kuli ziemskiej, mnie jednak radzi, że bym, jeśli tylko będę mógł, wyjechał stąd, wyjechał i nie wracał nigdy więcej, i nie tylko z tego miasta, również z kraju mam wyjechać, mam zostawić swoją ojczyznę. Umilkł, wypił ostatni łyk piwa, potem nagle cisnął butelkę prosto przed siebie, minęło parę sekund, zanim usłyszę liśmy, jak rozbija się na dole, u podnóża stromego zbocza o wielkie głazy, ciągle patrzyłem na miasto, ale nie było wi dać ani naszego bloku, ani naszego boiska do gry w nogę nie wiedziałem, co mam powiedzieć, skinąłem więc tylko głową, a wtedy dziadek zapytał, czy słyszałem, co powiedział, przytaknąłem, wtedy spytał, czy go zrozumiałem a ja powiedziałem, że tak, ale dziadek pokręcił głową i powiedział, że nie, nie sądzi, bym go zrozumiał, bo jestem za młody, by to zrozumieć, mam to sobie jednak zapamiętać dobrze zapamiętać, i jak nadejdzie pora, to sobie przypomnieć, powiedziałem więc, że dobrze, zapamiętam, a dziadek skinął głową, wziął w rękę drugą butelkę piwa i zaczął wolno pić, łyk za łykiem, wciąż patrząc na miasto.

Wiatr się tymczasem nasilił, zacząłem porządnie marznąć, wiedziałem, że zaraz będę szczekał zębami, lecz równie dobrze wiedziałem, że dopóki dziadek nie wypije drugiej

240

butelki, dopóty nie ruszymy, przyszło mi do głowy to, co czytałem w książce o jodze, którą pożyczyłem od Szabiego, że jak się człowiek skoncentruje na swoim pępku, to tak nie zmarznie, próbowałem się więc skoncentrować, ale nic z tego nie wyszło, marzłem tak samo jak przedtem, pomyślałem, że trzeba by wstać i iść, choć przed dzwonkiem i tak już nie zdążę wrócić do szkoły, możliwe, że na koniec dużej przerwy też nie, na pewno będzie awantura, każą mi iść do dyrektora, wezwą matkę, próbowałem wymyślić jakieś kłamstwo, którym mógłbym się wykręcić, ale nic nie przychodziło mi do głowy, popatrzyłem na dziadka, a nuż uda mi się na jego zegarku zobaczyć, która godzina, ale dziadek w lewej ręce trzymał butelkę, nie było więc widać tarczy, zauważył jednak, że na niego patrzę, bo spojrzał na mnie i powiedział, że wie, że zawsze noszę przy sobie zdjęcie ojca, na co skinąłem głową, wtedy dziadek spytał, to teraz pewnie też je mam, powiedziałem, że nie, bo jestem w stroju gimnastycznym, zostało więc w mojej szkolnej kurtce, jest schowane, nie noszę go w kieszeni, tylko z boku, pod podszewką, dziadek wtedy westchnął i powiedział, że szkoda, bo chętnie by obejrzał, on niestety nie ma żadnego zdjęcia mojego ojca, nieważne zresztą, nie mam, to nie mam, nie szkodzi, bo mimo wszystko wciąż dosyć dobrze pamięta jego twarz, takich rzeczy się nie zapomina, na szczęście, umilkł, wypił łyk piwa, butelka była jeszcze prawie do połowy pełna, ale dziadek powiedział, idziemy, dość już się tu nasiedzieliśmy, po czym z trudem zaczął się podnosić, szybko więc wstałem i podtrzymując go za łokieć, pomogłem mu, dziadek oparł się o mnie, wyprostował i powiedział, że dziękuje, potem mnie puścił i wygładził sobie zagniecenia na spodniach, poprosił, żebym

241

mu podał marynarkę, schyliłem się i podałem, trzymając za kołnierz, dziadek jej jednak nie włożył, tylko przewiesił przez ramię, potem spojrzał pod światło na butelkę, w jednej trzeciej była jeszcze pełna, powiedział, że tego już nie wypije, następnie ją odwrócił, trzymając w wyprostowanej ręce, zaczął podnosić wysoko do góry i wylewać resztkę na ziemię, strumień robił się coraz cieńszy, wiatr roznosił krople, poczułem więc zapach piwa, które pieniało się biało na trawie, myślałem, że zaraz ciśnię pustą butelką, lecz tylko ją upuścił i powiedział, chodźmy, zarzucił marynarkę na ramiona, jedną rękę włożył w rękaw i ruszył w kierunku furgonu, drugi rękaw plątał się, kiedy próbował w niego trafić.

Spojrzałem w dół, piwo zdążyło wsiąknąć, zobaczyłem

już tylko czarną ziemię pomiędzy kępami trawy, a tam, gdzie siedzieliśmy, gdzie leżała marynarka dziadka, trawa była mocno wygnieciona, tuż obok leżały dwa złote kapsle, schyliłem się, podniosłem je i ścisnąłem w garści, następnie ruszyłem za dziadkiem.

POGRZEB

Nigdy nie widziałem tylu samochodów co wtedy na drodze prowadzącej do cmentarza, zresztą odkąd benzyna była na kartki, ruch samochodowy bardzo się zmniejszył, szliśmy z matką pieszo, a koło nas co i rusz przejeżdżały auta, taksówki i rowerzyści w czarnych garniturach, kiedy dotarliśmy do Kalwarii, okazało się, że także pieszych jest mnóstwo, każdy, kto nas mijał, mówił nam dzień dobry, byli też tacy, którzy mówili, szczerze wyrazy współczucia, matka kiwała wtedy głową i zawsze odpowiadała to samo, że dziękuję, bardzo dziękuję. Czasem odwracali się również rowerzyści, machali ręką albo uchylali kapelusza, nawet bym nie przypuszczał, że tak wiele osób wie, kim jesteśmy, że tyle ludzi w mieście zna moją matkę i mnie.

Nie pamiętałem, że cmentarz jest tak daleko, chociaż zimą często chodziliśmy tam z chłopakami pojeżdżać na sankach, teraz jednak droga wydawała mi się o wiele dłuższa, co prawda lakierki mnie uwierały, a czarny krawat, który matka przerobiła z krawata ojca, tak ścisnął mi szyję, że parę razy myślałem, że się uduszę, i tylko dlatego nie sięgnąłem, by poluzować węzeł, że nie chciałem rozgniewać matki, bo zanim wyruszyliśmy, z dziesięć minut mi

243
go poprawiała, by był bez zarzutu, dokładnie tak, jakby go ojciec wiązał, słowem, bardzo chciałem dotrzeć już na miejsce.

Raz nawet zatrzymała się przy nas jakaś biała taksówka, kierowca otworzył drzwi, podniósł dwa palce do skórzanej czapki z daszkiem i powiedział do matki, proszę przyjąć ode mnie szczerze wyrazy współczucia, szanowna pani, czy pozwoli pani podwieźć się kawałek? ale matka tylko machnęła ręką i powiedziała, że mowy nie ma, skoro aż tutaj doszliśmy pieszo, to te paręset metrów już naprawdę nie robi różnicy, a wtedy ten w skórzanej czapce powiedział, że szkoda, bo chętnie by nas podwiózł, po czym wychylił się i spytał szeptem, czy są jakieś wieści o panu doktorze, a matka potrząsnęła głową i powiedziała, nie ma żadnych, taksówkarz wtedy unióś brwi i westchnął, no tak, chociaż on myślał, że przynajmniej na pogrzeb puszcza go do domu, na co matka powiedziała, akurat, niech pan nie gada bzdur, i kiedy taksówkarz zatrasnął drzwiczki, dodała tak tylko, pod nosem, a to parszywy szpicel.

Poprzedniego dnia matka specjalnie wyprała i wyprasowała mój szkolny mundurek, żebym jakoś wyglądał, mówiłem jej, że czarny i tak nie będzie, zostanie granatowy,

w dodatku dosyć spłówiały od częstego prania, i że trzeba by go może ufarbować, bo słyszałem, że na pogrzeb wypada iść tylko w czarnym, ale matka powiedziała, że nie sądzi, by dziadek się zmartwił, że nie jestem w czarnym ubraniu, bo skoro palnął sobie w łeb, widać było mu wszystko jedno, na co odparłem, że słyszałem w szkole, że dziadek wcale nie strzelił sobie w głowę, a to, że zmarł śmiercią tragiczną, jak napisano w nekrologu, nie oznacza, że popełnił samobójstwo, tylko że dostał wylewu, lecz matka się

244
zaśmiała i powiedziała, że to tylko wersja tej idiotki, mojej babci, rozpowszechnia ją w mieście, bo jej wstyd, a każdy wie, jaka jest prawda, dziadek wykombinował skądś pistolet, włożył sobie w usta i strzelił, z głowy więc nic nie zostało, nie było co zbierać, zresztą sam zobaczę, że trumna będzie zamknięta, bardzo niesmaczne jest to, co wyprawia babcia, zakłada kapelusz z czarną woalką i paraduje po mieście, udając załamaną wdowę, lamentuje, jaki to cios na nią spadł, jaka tragedia i co z nią teraz będzie, kiedy jej biedny, ukochany mąż nie żyje, chociaż, póki żył, nie nazywała go nigdy swoim biednym, ukochanym mężem, tylko sekowała wieczną zazdrością i całym mnóstwem urojonych chorób, nic dziwnego, że dziadek nie wytrzymał, nic dziwnego, że miał już dość i strzelił sobie w usta, kiedy matka to powiedziała, zaczęła nagle płakać, nigdy przedtem nie widziałem, żeby tak rozpaczliwie szlochała, cała się trzęsła, musiała się oprzeć o moje biurko, potem usiadła na brzegu łóżka i rogiem mojej kołdry usiłowała wytrzeć sobie twarz, wiedziałem, że to nie z powodu dziadka, z jego powodu tak by nie płakała, mogła tak płakać tylko z powodu mojego ojca, który już prawie dwa lata był nad Kanałem i od bardzo dawna nie mieliśmy o nim żadnych wiadomości, sam się wtedy omal nie rozpłakałem, lecz nie ojciec przyszedł mi na myśl, tylko dziadek, i nie jego twarz, a ręka, gest, jakim zwykle otwierał mi drzwiczki swojego renaulta, końcami palców popychał szybę, żeby ją opuścić, zawsze wtedy widziałem, jak bieleją i rozplaszczają się na szkle opuszki jego palców, zobaczyłem je teraz tak wyraźnie, jakby stał tuż obok, na chwilę zamknąłem nawet oczy, miałem nadzieję, że znikną, wciąż jednak widziałem rękę dziadka, jak bieleje, zaciskając się na szyjce butelki z piwem,

245
potrzęsnałem głową, westchnąłem, pogłaskałem matkę po ramieniu i powiedziałem to, co do mnie powiedział w szkole Żelazna Pięść, mój nauczyciel geografii, kiedy na dużej przerwie zawołał mnie do salki, w której trzymał pomoce naukowe, by mi zakomunikować złą wiadomość, jak również, że nie muszę zostawać na lekcjach, mogę iść do domu, słowem, powiedziałem jej, żeby nie płakała, żeby się uspokoiła, bo życie toczy się dalej.

Kiedy skręciliśmy w ulicę wiodącą do cmentarza, zauważyłem, że przy chodniku z obu stron stoi pełno zaparkowanych samochodów, oba skrzydła czarnej, kutej z żelaza bramy były otwarte, za bramą koło kiosku z kwiatami i kaplicy stało bardzo dużo ludzi, każdy miał w ręku bukiet, były też wiązanki i wieńce ze wstążkami w barwach narodowych, a także z czerwonymi i czarnymi, wtedy spytałem matkę, dlaczego my nie przynieśliśmy kwiatów, na co powiedziała, że przecież widzę, kwiatów będzie dosyć, a my raczej położymy potem na grobie kamyki, skoro już musimy, dziadkowi i tak wszystko jedno, nie sądzi, żeby staremu jakoś specjalnie zależało, jeden bukiet więcej, jeden mniej, zwłaszcza że zrobiono z pogrzebu aż taką narodową uroczystość. Faktycznie był tłum, tylu ludzi naraz widziałem tylko wtedy, kiedy szykowaliśmy się do wizyty naczelnego dowódcy sił zbrojnych, z tą różnicą, że tam było więcej milicjantów, a tu widziałem co najwyżej piętnastu czy szesnastu, stali w mundurach przy bramie cmentarza, przed nami szedł jakiś niski mężczyzna w kapeluszu, usłyszałem, jak mówi do kogoś koło siebie, wygląda na to, że milicja się boi, widać coś się szykuje, dlatego tylu tu ich jest, ale ten drugi tylko pokręcił głową i powiedział, gdzie tam, co by się mogło wydarzyć na pogrzebie, pochowają starego, 246

potem każdy pójdzie w swoją stronę i tyle, ale ten w kapeluszu powiedział, że on tak nie sądzi, bo słyszał, że... wtedy jednak znaleźliśmy się z matką tuż obok nich, kiedy nas zobaczyli, zamilkli, ten w kapeluszu uniósł kapelusz, a potem obaj powiedzieli, szczerze wyrazy współczucia, i że bardzo żałują mojego biednego dziadka, znowu nie wiedziałem, co wypada odpowiedzieć, ale matka zaraz powiedziała, że dziękuje, są naprawdę bardzo mili, i za to, że przyszli, też im dziękuje, podziękowałem wobec tego i ja, oni zaś skinęli głową i poszli dalej w kierunku kostnicy, gdzie tłum był już naprawdę gęsty, na skraju szerokiej głównej alei stały rzędem, jedna za drugą, staroświeckie, lśniące, czarne limuzyny na partyjnych numerach, wydaje mi się, że widziałem nawet parę pobied, czajek i moskwiczy, rzecz jasna były też renaulty i citroeny, oparty o jeden z czarnych samochodów stał i palił papierosa ów ambasador, u którego byliśmy kiedyś, żeby poprosić o pomoc w wyjaśnieniu, co się stało z moim ojcem, widziałem go tylko od tyłu, ale i tak poznałem, matka na szczęście go nie zauważyła, nie sądzę, by się ucieszyła z tego spotkania.

Główna aleja była dosyć długa, już z daleka zobaczyłem, że na jej końcu, na szczycie nowej, betonowej kostnicy powiewają wielkie, czarne flagi, kiedy szliśmy, matka nagle się potknęła, powiedziała, że to nic, tylko obluźowała się jej klamra przy bucie, i żebym chwilę poczekał, to ją poprawi, i przykucnęła. Ja w tym czasie sięgnąłem do kie-

szeni i wyjąłem odznaczenie, które dostałem od dziadka na urodziny, odpiąłem agrafkę i przypiąłem sobie na piersi, nad sercem, tam gdzie kiedyś przypiął mi je dziadek, ukłułem się trochę agrafką, kiedy usiłowałem ją zapiąć, ale się tym nie przejąłem. Kiedy matka wstała, od razu zauważyła

247
odznaczenie, wiedziałem, że zaraz każe mi je zdjąć, ale nim zdążyła się odezwać, stanęła przy nas jakaś kobieta, szła w naszą stronę tak szybko, że usłyszałem, jak szeleści jej spódnica, była w wielkim kapeluszu z szerokim rondem, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem, czarny welon spływał z kapelusza i szczelnie okalał jej głowę, nie było więc widać twarzy, przez chwilę myślałem, że to może babcia, ale potem stwierdziłem, że nie, bo była od niej znacznie wyższa i znacznie szczuplejsza, a kiedy odrzuciła welon do tyłu na kapelusz, spostrzegłem, że jest też znacznie starsza, nie wiedziałem kto to, ale ona musiała nas znać, bo zaraz powiedziała do matki, witaj moja droga, nachyliła się i pocałowała ją w policzek, potem zrobiła krok w tył i nagle zaczęła bardzo głośno płakać, podniosła rękę i przycisnęła do oczu dużą, białą chustkę, stała tak ze dwie sekundy, z tą chustką przy oczach, zauważyłem, że ma na rękach białe, szydełkowe rękawiczki, a z wierzchu na palcu serdecznym ogromny sygnet, chustka zakrywała jej całą twarz, matka dała mi znak głową, że idziemy, wtedy jednak stara kobieta opuściła chusteczkę i z oczami pełnymi łez powiedziała, jaki to smutny dzień, tak nagle nas tu zostawił ten dobry, kochany człowiek, po czym nachyliła się do matki i szeptem spytała, czy to prawda, co ludzie gadają, czy dziadek naprawdę popełnił samobójstwo? Matka potrząsnęła głową i powiedziała, że nie wie, a oczami nakazała mi, bym wreszcie ruszał, tymczasem zwróciła się do starej kobiety, niech się ciocia nie gniewa, droga ciociu Iwonko, ale musimy iść, i wyminęła ją, wtedy tamta chwyciła matkę za ramię, przyciągnęła do siebie i szepnęła, takim syczącym szeptem, że ja również wyraźnie słyszałem, niech się matka dowie, że dziadek się zabił, bo zawsze kochał tylko ją, swoją

248
Iwonkę, strzelił sobie w serce, bo nie mógł już znieść życia bez niej, swojej Iwonki, dowiedzmy się też i tego, że babcia ukryła list pożegnalny, bo inaczej prawda wyszłaby na jaw, ale nie szkodzi, nie szkodzi, los jej za to odpłaci, sami zobaczymy, o tak, zobaczymy, kiedy to mówiła, kiwała głową, aż welon spadł jej na twarz, wtedy znowu zaczęła płakać i przez welon przyciskać do oczu chusteczkę, słyszałem, że głośno łka, matka tymczasem chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w kierunku kostnicy, mówiąc, idziemy, bo w końcu naprawdę spóźnimy się na ceremonię, popatrzyłem za siebie, bałem się, że starsza pani pójdzie za nami, ale się nie ruszyła, stała dalej na chodniku ciągną-

cym się wzdłuż głównej alei i poprawiała sobie kapelusz, wtedy spytałem matkę, kto to był, a matka powiedziała, że nikt, że tylko ciocia Iwonka, zbzikowana starsza pani, kiedyś najlepsza przyjaciółka babci, która zawsze z uporem maniaka twierdziła, że to ją dziadek powinien był poślubić, całe lata prześladowała dziadka, robiła okropne sceny, wywoływała awantury, nieważne zresztą, nie mówmy już o niej, najlepiej będzie, jak o tym zapomnę, poza tym zaraz będziemy na miejscu.

Faktycznie, dochodziliśmy do kostnicy, z ustawionych na statywach dużych, czarnych głośników rozbrzmiewał trochę zniekształcony trzaskami marsz żałobny, im bliżej byliśmy, tym bardziej gęstniał tłum, nam jednak wystarczyło powiedzieć, przepraszam, proszę nas przepuścić, a wszyscy posłusznie się rozstępowali i patrzyli na nas, jakbyśmy byli jakimiś sławnymi ludźmi, wielu mówiło nam dzień dobry, a prawie każdy, że dziadek był porządnym człowiekiem i jak im przykro, jak bardzo żałują, no i szczerze wyrazy współczucia, a matka kiwała głową, ja

249
również, i tak szliśmy przed siebie w stronę głównych schodów, nigdy wcześniej nie widziałem tych dużych, czarnych, złożonych drzwi otwartych, co prawda na niewielu pogrzebach byłem, a już z pewnością nie na takim, na schodach też stali ludzie, lecz kiedy zobaczyli matkę, oni również uprzejmie ustąpili nam z drogi, wchodziliśmy więc po schodach w szpalerze licznie zgromadzonych mężczyzn w czarnych garniturach i kobiet w czarnych kostiumach, aż weszliśmy do środka.

Myślałem, że w środku będzie ciemna albo przynajmniej mrocznie, jak zwykle w kościele, było jednak tak jasno, że niemal zakreśliło mi się w głowie, na szeroko rozgałęzionym stalowym żyrandolu, jedno nad drugimi, świeciły się trzy rzędy żarówek, chyba ze dwieście, matka wzięła mnie za rękę i tak szliśmy przed siebie, sala była ogromna, wokół na ścianach wisiały czerwone draperie, nigdzie jednak nie było portretu sekretarza generalnego sił zbrojnych, tylko różnej wielkości tablice z długimi cytatami z jego przemówień, zaraz też zauważyłem trumnę, licząc od tylnej ściany mniej więcej jedna trzecia kostnicy miała podłogę wyższą o jakieś trzydzieści centymetrów, przypominało to scenę, na środku podwyższenia, na stole przykrytym czerwoną draperią, stała trumna, bardzo duża, czarna trumna, i rzeczywiście była zamknięta, czarny lakier lśnił tak, że wydawał się niemal płynny, z obu stron przy trumnie stały po trzy wysokie, czarne pochodnie, ale się nie paliły.

Zatrzymaliśmy się, od razu podszedł do nas jakiś młody człowiek z aktówką z bordowej skóry, przedstawił się, lecz nie zrozumiałem, jak się nazywa, bo mówił bardzo pręd-

ko, on również złożył nam wyrazy szczerego współczucia
250

i serdecznie nas powitał, jest sekretarzem towarzysza Bherkmeriego, miejski komitet partii powierzył mu zadanie zorganizowania tej uroczystości, prosi więc, byśmy byli tak uprzejmi i weszli na podium, bo osoby najbliższe zmarłemu powinny stać na podium, bądźmy więc tak uprzejmi i stańmy obok towarzyszki, wskazał na trumnę, spojrzałem wtedy i zobaczyłem, że babcia już tam stoi, po prawej stronie, była sama, patrzyła na trumnę, jakby wcale nie zauważyła, że przyszedliśmy, matka się jednak nie ruszyła, wtedy sekretarz pomachał aktówką w stronę podium i powiedział, byśmy się pospieszyli, bo niedługo przyjedzie towarzysz Bherkmeri, żeby osobiście wygłosić mowę pożegnalną, kiedy to mówił, pomachał w bok, gdzie przy ścianie pokrytej czerwoną draperią stał pulpit z mikrofonami, wtedy ruszyliśmy, najpierw na podium weszła matka, potem ja, a za nami sekretarz.

Na podium światło było jeszcze silniejsze, bo nad tylną ścianą kostnicy palił się dodatkowy rząd białych neonów, ściana była tak oświetlona, ponieważ wisiał na niej wielki, ozdobny gobelin, zobaczyłem, że przedstawia partyzanta z pistoletem maszynowym, znajdował się on na środku pola pszenicy i symbolicznie wykuwał pług z leżących na kupce połamanych mieczy, w tle nadjeżdżały traktory, a za traktorami widać było góry pełne skarbów naszej ojczyzny, lasów iglastych i szybów naftowych, podeszliśmy do babci i stanęliśmy po lewej stronie trumny, powiedziałem dzień dobry, ale babcia jakby tego nie słyszała, spojrzała tylko na matkę i wyszeptowała, jak jej nie wstyd, jak śmiała się tu pokazać, co sobie wyobraża, najchętniej toby ją opluła i przegnała, matka wtedy uśmiechnęła się do babci i powiedziała, że bardzo się cieszy, bo widzi, że babcia lepiej
251

się czuje, a jeśli tylko chce, to spokojnie może wywołać skandal, tutaj, zaraz, na oczach całego miasta, dziadek z pewnością bardziej by się ucieszył z porządnej awantury niż z tego całego cyrku, widziałem, że babcia robi się jeszcze bledsza pod pudrem, oblizuje usta, bierze głęboki wdech i pewnie zaraz powiedziała by matce coś bardzo nieprzyjemnego, lecz wtedy w ścianie z gobelinem otworzyły się drzwi, do tej pory ich nie zauważyłem, bo maskował je gobelin, i wszedł przez nie mężczyzna w roboczym ubraniu, podszedł prosto do babci i powiedział, to my teraz, szanowna pani, zaczniemy wnosić wieńce, bo zaraz tu będzie towarzysz pierwszy sekretarz, a potem spytał babcię, czy mogą już zapalić pochodnie, babcia wtedy wyjęła z torebki chusteczkę, na chwilę przycisnęła ją do oczu, po czym powiedziała, że skoro już pora, to proszę bardzo a mężczyzna w roboczym ubraniu powiedział, tak jest, sza

nowna pani, i wyszedł, ale zaraz wrócił, trzymając w rękach ogromny wieniec, po nim weszło jeszcze pięciu robotników wszyscy nieśli wieńce i kwiaty, szybko ułożyli je przed trumną w piramidę, następnie wyszli i przynieśli nowe wieńce i wiązanki, kiedy tak chodzili w tę i z powrotem koło mnie, poczułem od nich silną woń potu, wtedy przyszło mi do głowy, że to na pewno nie są zwykli robotnicy tylko grabarze i na pewno tak się spocili, bo kopali grób dla dziadka, spojrzałem wtedy w dół i zobaczyłem, że jeden ma spodnie ubłocone aż po kolano, wiedziałem więc, że mam rację, cofnąłem się o krok, bo nie chciałem, by mnie przypadkiem któryś z nich dotknął, grabarze tymczasem zręcznie poprawili szarfy przy wieńcach, żeby dobrze było widać napisy, który wieniec od kogo, przeczytałem parę nazwisk, ale żadnego nie znałem, tymczasem ten pierwszy

252
robotnik przyniósł trzystopniową drabinę i gąsiorek, po kolei przystawiał drabinę do pochodni, szybko się wspinał i nalewał trochę nafty do czarnego zbiorniczka, potem zapalał ją długą zapałką. Wysokie, pomarańczowe płomienie z początku łopotały bezładnie, potem się wysmukliły, tymczasem marsz pogrzebowy zabrzmiał głośniej, nos wypełnił mi świerkowy zapach wieńców i woń nafty, przyszło mi na myśl Boże Narodzenie, kiedy wyłączali prąd i musieliśmy z matką spędzać święta przy lampie naftowej, obserwowałem błyszczący lakier na trumnie, wiedziałem, że gdybym podszedł dostatecznie blisko do pomalowanego na czarno drewna, mógłbym jak w lustrze zobaczyć swoją twarz, wtedy ścisnęło mnie w gardle, poczułem, że zaraz się rozplącę, sięgnąłem do kieszeni swojej szkolnej kurtki, żeby wyjąć świeżo wyprasowaną chusteczkę, którą matka mi tam włożyła. Była to jedna z najlepszych chustek mojego ojca, kiedy jej dotknąłem, przypomniałem sobie, co mówił do matki taksówkarz, że słyszał, iż ojca przywiozą na pogrzeb, przełknąłem ślinę i pomyślałem, że jednak powstrzymam się od płaczu, jak na prawdziwego mężczyznę przystało.

Marsz żałobny nagle ucichł w połowie taktu, z głośników jeszcze parę sekund wydobywał się szum, po czym zapadła cisza, wtedy w gobelinie znowu otworzyły się drzwi i wszedł jakiś wysoki, łysy człowiek w czarnym garniturze, z nikim się nie przywitał, tylko podszedł prosto do pulpitu, sekretarz opuścił nas i pobiegnął w tamtą stronę, położył przed nowo przybyłym oprawne w bordową skórę dokumenty, wiedziałem więc, że to musi być towarzysz Bherkmeri, który stanął za pulpitem i palcem wskazującym popukał w mikrofon, powiedział, że wita serdecznie

253
zgromadzone na pogrzebie towarzyszkę i towarzyszy,
i niech mu wolno będzie powiedzieć parę słów o dziadku,

o towarzyszu sekretarzu, którego zasługi dla miasta nie podlegają dyskusji. Tutaj towarzysz Bherekmeri zamilkł i rozejrzał się wokół znacząco, by przydać wagi swoim słowom, potem sięgnął do górnej kieszeni marynarki po okulary, założył je, otworzył aktówkę z czerwonej skóry i wyjął z niej plik spiętych spinaczem kartek, odchrząknął, po czym zaczął czytać przemówienie. Na wstępie znowu serdecznie powitał zebranych, potem powiedział, że opowie, jak poznał mojego dziadka, dziadek był jeszcze wtedy studentem i zarabiał na chesne, sprzedając wieczorami w restauracjach i gospodach kosmetyki, wody kolońskie, płyny po goleniu i do włosów, kremy przeciwzmarszczkowe, odmładzające maści i pachnące toaletowe mydła, musiał zawsze w dwóch wielkich walizkach taszczyć ze sobą próbki, te walizki były naprawdę ciężkie, potwornie ciężkie, ale dziadek nigdy się nie skarżył, nigdy, ani słowem, znosił nawet to, że podchmieleni goście nieraz sobie z niego żartowali, i zdarzyło się kiedyś w gospodzie Pod Słoniem, w gospodzie o dosyć kiepskiej reputacji, że właściciel zaproponował dziadkowi zakład - jeśli dziadek zgodzi się posmarować płynem do włosów... - w tym momencie tłum nagle zafalował i wydał z siebie pomruk, słychać było, jak ktoś wysokim głosem krzyczy, że chce przejść, niech się ludzie rozstąpią, niech przepuszczą, towarzysz Bherekmeri zamilkł w pół słowa, opuścił kartki i spojrział w tamtą stronę, ja też się odwróciłem i zobaczyłem, że to ta starsza pani, ciocia Iwonka, z wielkim bukietem czerwonych róż przepycha się do przodu i woła, że nie pozwoli, nie dopuści, by pochowano jej biednego ukochanego bez pożegnania,

254

mimo wszystko podejdzie do trumny, bo to ona powinna stać obok pohańbionego ciała mojego biednego dziadka, zawsze ona była jego prawdziwą miłością, nie babcia, ta stara, wredna czarownica. Krzycząc i wymachując rękami, ciocia Iwonka zbliżała się do podium, usłyszałem, jak babcia zduszonym głosem mówi, by ją natychmiast wyprowadzili, to oburzające, wprost nie do zniesienia, niech ją wyprowadzą, bo zaraz sama pójdzie i wydrapie jej oczy, zabije ją, ciocia Iwonka tymczasem znalazła się tuż obok podium, była ledwie dwa kroki od wieńców, kiedy ktoś z tyłu złapał ją nagle i odciągnął, poznałem, był to taksówkarz, którego spotkaliśmy po drodze, zapaśniczym chwytem podniósł starszą panią, a kiedy nią potrząsał, ciocia Ivonce spadł pantofel, upuściła też bukiet róż, rozkrzyczała się wtedy na dobre, ale taksówkarz już ją wyprowadzał, ciocia Iwonka na całe gardło wrzeszczała, że wszyscy powinni dowiedzieć się prawdy, mój dziadek się zabił, a babcia zniszczyła list pożegnalny, bo inaczej by się okazało, że dziadek całe życie kochał właśnie ją, tylko ją, nie babcie, babcia upierała się też przy zamkniętej trumnie, by prawda nie wyszła

na jaw, w końcu taksówkarz wyprowadził ciotkę Iwonkę z kostnicy, nie można więc już było zrozumieć, co krzyczy, wciąż jednak krzyczała, potem nagle zamilkła, wtedy otworzyły się wytapetowane drzwi i wszedł jeden z grabarzy, szybko zszedł z podium, podniósł czarny pantofel, potem schylił się po bukiet róż, położył go wśród innych kwiatów, po czym z pantoflem w ręce wyszedł.

Moja babcia zaczęła wtedy bardzo głośno płakać i zataczać się, omal nie upadła, sekretarz towarzysza Bherekmeriego musiał ją podtrzymać, babcia powiedziała coś do niego przez łzy, zrozumiałem tylko tyle, że trumna, 255

wtedy sekretarz wyjął z kieszeni niebieską chusteczkę, podał babci, po czym podszedł do pulpitu i szepnął coś towarzyszowi Bherekmeriemu na ucho, towarzysz Bherekmeri zmarszczył czoło i gwałtownie potrząsnął głową, złapał go kaszel, odchrząknął więc, pochylił się nad mikrofonem, zebrał i wyrównał kartki, postukał nimi o pulpit, po czym znowu zaczął czytać, ale nie od miejsca, w którym przerwał, od zakładu z restauratorem i płynu do włosów, tylko od jakiegoś długiego zdania, o tym, że kiedy razem z dziadkiem rozpoczynali walkę, to dokładnie wiedzieli, że oni sami nie będą jeszcze cieszyć się z jej owoców, nie doczekają spełnienia swych marzeń, mimo to odważnie stawili czoła wyzwaniom, bo od własnego szczęścia ważniejsza, ale to znacznie ważniejsza, była dla nich przyszłość, to, żeby... - ale nie dowiedziałem się, co było dla mojego dziadka ważniejsze niż jego własne szczęście, bo wtedy właśnie babcia strząsnęła z siebie rękę sekretarza towarzysza Bherekmeriego, podeszła na skraj podium i krzyknęła do towarzysza Bherekmeriego, Pista, że też się nie wstydzisz tak łącać w żywe oczy, co to znaczy, że nie można otworzyć, sam dobrze wiesz, że można, dlaczego mi to robisz, potem podeszła do trumny, uderzyła w nią ręką i zawołała, żeby otworzyli, natychmiast otworzyli, bo ona po tym wszystkim chce raz jeszcze, po raz ostatni zobaczyć dziadka, ma do tego prawo, ma prawo się pożegnać, słyszała zresztą, że tu krążą różne plotki, jakoby dziadek strzelił sobie w głowę, dlatego trumna jest zamknięta, chciałyby więc raz na zawsze uciąć to całe złośliwe gadanie, chciałyby obalić podejrzenie, a nawet cień podejrzenia, że to była śmierć samobójcza. Jest przekonana, że dziadek również by tego chciał, również by przy tym obstawał, niech więc 256

otworzą trumnę, bo jeśli nie, to sama ją otworzy, ma do tego prawo, rozumiano, ma do tego prawo.

Twarz towarzysza Bherekmeriego wówczas była już czerwona jak jego skórzana aktówka, cisnął kartkami o pulpit, było widać, że z trudem nad sobą panuje, potem jednak zrobił głęboki wdech i powiedział, że oczywiście,

nic nie stoi na przeszkodzie, ale widziałem, że kącik ust mu drgał, kiedy skinął na sekretarza, ten podszedł do gobelinowych drzwi, otworzył je i wyszedł, a towarzysz Bheremeri powiedział, że może jednak będzie kontynuował przemówienie, pora wreszcie oddać sprawiedliwość zasługom naszego drogiego zmarłego, przez chwilę znowu porządkował kartki, lecz kiedy zaczął czytać, już nie uważałem, bo zobaczyłem, że drzwi się otworzyły i weszło dwóch grabarzy, jeden miał klucz francuski, drugi łom, podeszli do trumny i zaczęli po kolei odkręcać śruby z lakierowanego, czarnego drewna, pracowali bardzo szybko, nie minęło pół minuty, jak z lewej strony wyjęli wszystkie trzy, potem przeszli na prawą stronę, tam z ostatnią trochę się biedzili, lecz i ona w końcu puściła, wtedy odłożyli narzędzia na podłogę, następnie jeden podszedł z jednego końca, drugi z drugiego, chwycili wieko trumny i zgranym ruchem je zdjęli, ale nie widziałem wnętrza, bo kiedy grabarze odwracali wieko, zasłoniło mi cały widok, zobaczyłem więc tylko udrapowany czerwony aksamit, którym trumna była wysłana, i poczułem lawendowy zapach kremu dziadka, jednocześnie wiedziałem, że tylko mi się zdaje, bo na pewno posmarowali mu twarz jakimś balsamem dla nieboszczyków, nagle usłyszałem, jak ludzie zgromadzeni w kostnicy zaczęli głośno szemrać, znacznie głośniejsze niż kiedy przechodziła ciocia Ivonka, z początku myślałem, że tylko

257
dlatego, że otwarto trumnę i widzą mojego dziadka, ale matka chwyciła mnie za ramię i odwróciła się w kierunku drzwi, a przy drzwiach tłum zaczął się rozstępować, wszyscy patrzyli w tamtą stronę, wtedy już matka bardzo mocno ścisnęła mnie za ramię, usłyszałem też, jak mówi, twój ojciec, prowadzą twego ojca, i naraz wszyscy zaczęli głośno szeptać, wszyscy powtarzali nazwisko ojca, i że był, zdaje się, nad Kanałem, ktoś dodał, że podobno w obozie reedukacyjnym, wtedy ja również spojrzałem tam, gdzie wszyscy, i zobaczyłem, że pięciu ludzi idzie przez tłum, jednym z nich rzeczywiście był mój ojciec, od razu go poznałem, chociaż nawet nie widziałem twarzy, szedł ze spuszczoną głową, był w tym samym szarym garniturze, w którym go zabrali, otaczało go czterech mężczyzn w czarnych mundurach, nigdy wcześniej nie widziałem takich mundurów, szli dosyć wolno, mimo że wszyscy ustępowali im z drogi, ojciec cały czas patrzył w ziemię, wielu wymawiało jego imię, ale ojciec nie podnosił głowy i na nikogo nie patrzył, widziałem, że z przodu ma ręce zakute w kajdanki, a przez środek kajdanek przeciągnięty jest długi łańcuch, którego koniec trzyma jeden ze strażników, nóg nie miał skutych, mimo to robił tak drobne kroki, jakby miał kostki spętane łańcuchem, wiedziałem, że powinienem tam pobiec, popędzić do niego i go objąć, wtedy usłyszałem, jak matka

obok mnie powiedziała, Jezus Maria, i musiała się o mnie oprzeć, ja również poczułem, że nogi się pode mną uginają, ale jakoś się pozbierałem i powiedziałem do matki, żeby się nie bała, bo wreszcie ojciec tu jest, teraz już nic złego się nie stanie, ale matka znowu powiedziała tylko, Chryste Panie, i słyszałem, jak ciężko oddycha, strażnicy tymczasem powoli zaprowadzili ojca na podium, ale nie po

258
naszej stronie, tylko po przeciwnej, zatrzymali się o jakieś cztery kroki od trumny, jeden z nich pociągnął za łańcuch, wtedy ojciec wolno podniósł głowę i spojrzał, zobaczyłem jego twarz i poczułem ucisk w żołądku, twarz ojca była szara od zarostu i bardzo wychudzona, lecz nie tego się przestraszyłem, tylko tego, jak patrzył, miał zupełnie puste spojrzenie, wiedziałem, że musi widzieć, musi widzieć matkę i babcię, i mnie, ale jego twarz pozostała bez wyrazu, jakby zupełnie nie zdawał sobie sprawy, gdzie jest, patrzyłem w jego oczy, błyszczały, jakby były ze szkła, i wtedy zaświtało mi w głowie, że to nie ojciec, że ten, na kogo patrzę, to już nie ojciec, nie pamięta mnie ani matki, ani w ogóle niczego, że już nawet nie wie, kim jest, usłyszałem, jak matka koło mnie jęknęła, wciąż patrzyłem na ojca, pragnąłem, by się odezwał, żeby przyszedł do siebie, żeby mnie zauważył, zauważył i coś powiedział, niech wreszcie wyrwie ręce z kajdanek, niech do nas podejdzie, niech nas obejmie, niech obejmie mnie i matkę, niech tak nie stoi, niech oprzytomnieje, niech nareszcie oprzytomnieje, i wtedy usłyszałem, jak matka znowu jęknęła i jak głośno łyka powietrze, wiedziałem, że próbuje powstrzymać płacz, że przetyka łzy, bo nie chce, by ojciec widział, jak płacze, i wiedziałem, że za chwilę krzyknę, zaraz wrzasnę na ojca, wtedy skrzydełka nosa ojca się poruszyły, dwa razy chrapliwie wciągnął powietrze, za trzecim razem już wciągnął je głęboko, nagle zamrugał, twarz mu zadrgała i spojrzał w dół, na otwartą trumnę, ja wtedy również pierwszy raz tam spojrzałem, dziadek nieomal ginął w udrapowanym czerwonym aksamicie, którym wysłana była trumna, leżąc tak, wydawał się znacznie mniejszy i chudszy, spojrzałem na jego twarz, nie było na niej widać żadnych obrażeń,

259
skóra świeciła się tłusto, zupełnie jak wtedy, gdy żył, usta były lekko otwarte, na piersi gęsto, tuż obok siebie, miał przypięte prawie wszystkie swoje medale, zakrywały klatkę piersiową, spojrzałem na miejsce nad sercem, odniosłem wrażenie, że szary materiał pośród odznaczeń nasiąknięty jest krwią, ale wiedziałem, że tylko mi się zdaje, bo to czerwony aksamit musi się tak odbijać w wypolerowanym sidole metalu, i że woń krwi też sobie uroiłem, i tak jakoś przyszło mi do głowy, że to wszystko nie dzieje się naprawdę, to nie może być prawda, tylko sobie wyobrażam, że ojca

przywieźli, że stoi po drugiej stronie trumny, podniosłem wtedy wzrok, lecz ojciec ciągle tam był, był tam naprawdę, wciąż stał bez ruchu i patrzył na trumnę, na trumnę i na dziadka w trumnie.

W kostnicy panowała głucha cisza, ojciec stał nieruchomo już chyba z minutę, pomyślałem, że może i tego nie widzi, tak samo jak nas, lecz nagle zadrżały mu ramiona, zrobił krok do przodu i chwycił skutymi rękami brzeg trumny, wtedy już wiedziałem, że jest przytomny, że jednak ten widok dotarł do jego mózgu, przez chwilę myślałem, że weźmie dziadka za rękę, ale tylko ścisnął brzeg trumny, potem wolno odwrócił głowę i powiodł oczami po całej postaci swego ojca, zatrzymał wzrok na twarzy, razem z nim spojrzałem wtedy na twarz dziadka, na linię jego ust, na niebieskawe kępki zarostu w miejscu, gdzie skóra się zapadła, pod kośćmi policzkowymi, jakby dziadek niedokładnie się ogolił, i wiedziałem, że ojciec zaraz podniesie wzrok i znowu spojrzy na nas, na mnie i na matkę, i że teraz już nas pozna, jeśli nawet nie będzie w stanie się do nas uśmiechnąć, to i tak nas pozna, będzie wiedział, że jesteśmy tu dla niego, że na niego czekamy i będziemy

260
czekać, aż kiedyś wreszcie pozwolą mu wrócić do domu, nagle ojciec puścił trumnę, cofnął się i rzeczywiście spojrzał w górę, prosto na mnie, prosto w moje oczy, i z tego, jak błyszczał mu wzrok, wiedziałem, że mnie poznał, otworzył usta, twarz mu zadrżała, było widać, że nie jest w stanie wydobyć głosu, wtedy matka z płaczem powiedziała, Chryste Panie, co z nim zrobili, co z nim biednym zrobili, puściła moją rękę, wyminęła babcię i gwałtownie ruszyła w kierunku ojca, była już niemal po drugiej stronie trumny, kiedy jeden ze strażników zastąpił jej drogę i warknął, że do więźnia nie wolno podchodzić, matka wtedy krzyknęła, że nie będą jej rozkazywać, podejdzie, tak jest, podejdzie, niech ich wszyscy diabli, i z całej siły popchnęła strażnika, aż się zatoczył, widząc to, drugi strażnik na odlew uderzył matkę w twarz, wtedy ojciec zaczął krzyczeć, bez słów, chrapliwie, bardzo głośno i ruszył ku matce, ale strażnicy szarpnęli za łańcuch i pociągnęli go w tył, matka wówczas dopadła jednego ze strażników i pięściami zaczęła walić go w klatkę piersiową, krzyczała, żeby jej ludzie pomogli, nie stali tak, tylko pomogli, towarzysz Bherekmeri wrzasnął wtedy do mikrofonu, żeby każdy został na swoim miejscu i zachował spokój, nagle i babcia, głośno szlochając, zaczęła wołać, jej synek, że chce podejść do swego synka, i też ruszyła w kierunku ojca, strażnicy ciągnęli ojca w stronę gobelinowych drzwi, lecz ojciec zaparł się ze wszystkich sił, chwycił za łańcuch i charcząc, usiłował się uwolnić, wtedy jeden ze strażników podciął mu nogi i zaczęli go wlec ku drzwiom, matkę trzymało

dwóch strażników, babcia z tyłu próbowała jednego z nich odciągnąć, cały czas coś krzyczała, lecz wówczas już otworzyły się gobelinowe drzwi i wpadli przez nie milicjanci
261

i grabarze, milicjanci mieli gumowe pałki, a grabarze styliska od łopat, spojrzałem na ludzi, którzy tylko stali i gapili się, jak w cyrku, krzyknąłem do nich, chodźcie, pomóżcie, nie pozwólcie, by ojca zabrali, ale nikt się nie ruszył, stali i patrzyli, wtedy sekretarz towarzysza Bherekmeriego kazał mi się zamknąć i stać tam, gdzie stoję, na co ja się odwróciłem i ruszyłem w kierunku gobelinowych drzwi, sekretarz towarzysza Bherekmeriego wrzasnął na mnie, czy nie słyszałem, że mam zostać na miejscu, i tak mnie popchnął, że omal nie upadłem na trumnę, lecz nie przejmowałem się nim, chciałem za wszelką cenę zobaczyć, co się dzieje z ojcem i z matką, wtedy sekretarz towarzysza Bherekmeriego znowu mnie pchnął, matki nigdzie nie widziałem, ale ojca owszem, strażnicy wywlekali go właśnie przez gobelinowe drzwi, wtedy schyliłem się i podniosłem łom, który grabarze zostawili koło trumny, ruszyłem za ojcem, lecz drzwi były już zamknięte, pilnowali ich milicjanci, wiedziałem, że nie uda mi się ich sforsować, sekretarz towarzysza Bherekmeriego zastąpił mi drogę, z miejsca zdzieliłem go łomem w udo, aż zgiał się w pół i zaklął, zeskoczyłem wtedy z podium i wymachując łomem, zacząłem torować sobie drogę do wyjścia, krzychałem, dalej, usuńcie się, jak wtedy, gdy na dużej przerwie biliśmy się w dawnym schronie przeciwlotniczym z chłopakami ze starszej klasy, nie patrzyłem, gdzie biję, tylko na główne wejście, wtedy już wszyscy krzyczeli, lecz nie zwracałem na to uwagi, dźgałem, waliłem i parłem naprzód, ktoś mnie z tyłu kopnął, ale to drobiazg, bo byłem już przy zamkniętych teraz, czarnych, złoconych drzwiach, dopadłem ich i pchnąłem, ustąpiły z trudem, na tyle jednak, że zdołałem wydostać się na zewnątrz, z drugiej strony też je pchnąłem, by się za mną zamknęły, choć
262

wiedziałem, że zaraz je otworzą i będą mnie gonić, ale to było nieważne, słyszałem jeszcze zgiełk dochodzący ze środka, zrobiłem potem krok do przodu i stanąłem na szczycie schodów, rozejrzałem się wokół, lecz ojca nigdzie nie widziałem, ani jego, ani strażników, na cmentarzu nie było nikogo, tylko samochody, stały jeden za drugim po obu stronach głównej alei, na chwilę znowu przyszło mi do głowy, że wszystko to sobie wyobraziłem i że ojca wcale tu nie przywieźli, wtedy jednak zza kostnicy wyjechała szara więźniarka i wolno ruszyła główną aleją cmentarza, krzyknąłem, żeby się zatrzymała, żeby poczekała i zacząłem za nią biec, wiedziałem, że zaraz przyspieszy, nagle dostrzegłem za kratą w tylnych drzwiach kościanobiałą twarz ojca, wtedy wiedziałem już i to, że nieważne, jak szybko

będzie jechać, i tak ją dogonię, muszę dogonić, trzymałem łom wysoko nad głową i biegłem coraz szybciej, i szybciej, i szybciej za więźniarką.

SPIS ROZDZIAŁÓW

TULIPANY.....	7
SKOK.....	20
KONIEC ŚWIATA.....	28
KILOF.....	39
MUZYKA.....	54
LICZBY.....	65
WENTYL.....	76
PREZENT.....	91
WOJNA.....	105
AFRYKA.....	135
ZABAWA W REWIZJE.....	155
ZŁOTE ZNALEZISKO.....	161
ROLADA.....	182
OBFITOŚĆ.....	189
KINO.....	198
UKŁAD.....	212
WIDOK.....	232
POGRZEB.....	243

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.

www.czarne.com.pl

sekretariat: ul. Kołłątaja 14, iii p., 38-300 Gorlice

tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl

redakcja: Wołowiec ii, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70

e-mail: redakcja@czarne.com.pl

dział promocji: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa

tel./fax +48 22 62110 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, joanna@czarne.com.pl

anna@czarne.com.pl

dział sprzedaży: Beata Motyl, mtm Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa

tel./fax +48 22 632 83 74

e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: design plus

ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków

tel. 012 432 08 52

Druk i oprawa: opolgraf sa

ul. Niedziałkowskiego 8-12, 48-085 Opole

tel. 077 454 52 44

Wołowiec 2007

Wydanie 1

Ark. wyd. 10,6; ark. druk. 17

Taras Prochaśko z tego można zrobić

KILKA OPOWIEŚCI

Muharem Bazdulj koncert
Już w księgarniach:
Renata Śerelyte
Eginald Schlattner
Zsuzsa Bank
Jurij Andruchowycz
Serhij Żadan
Taras Prochaśko
Nenad Veličković
Danilo Kiś
GWIAZDY EPOKI
LODOWCOWEJ
CZERWONE RĘKAWICZKI
PŁYWAK
DWANAŚCIE KRĘGÓW
BIG MAC
NIEZWYKLI
KOCZOWNICY
GROBOWIEC DLA BORYS
DAWIDOWICZA
Dubravka Ugresic forsowanie
Renata Śerelyte
Terezia Mora
Serhij Żadan
Danilo Kiś
Vaclav Pankovćin
Zsuzsa Bank
Fatos Kongoli
Mircea Cartarescu
Adam Bodor
Jani Yirk
POWIEŚCI-RZEKI
IMIĘ W CIEMNOŚCI
KAŻDEGO DNIA
DEPECHE MODE
CYRK RODZINNY
MARAKESZ
NAJGORĘTSZE LATO
PSIA SKÓRA
TRAVESTI
Z POWROTEM DO
USZATEJ SOWY
ŚMIECH ZA DREWNIANI
PRZEGRODA
Felicitas Hoppe pigafetta
www.czarne.com.pl